DLA MILIONA.

(Dokończenie).

XXVII.

— Mamo, nie mogę czytać dłużej! zawołała panna Zofia, odkładając książkę z wyrazem zniechęcenia.

— Dlaczego? — zdziwiła się pani Bratkowska, która z robótką w ręku słuchała powieści, — przecież to twój ulubiony autor.

— Znudzą się i słodycze. Zawsze i wiecznie to samo w kółko, on ją kocha, ona jego, między nimi setki, tysiące przeszkód nastroszonych, które w ten lub ów sposób przezwyciężą i zatryumfują...

— Cóż w tem złego? — spytała matka, — przynajmniej w książkach dobre otrzymuje nagrodę, a złe karę.

— Lecz jeśli to marzenie powieściowe przeniosę w życie, widzę rozdźwięk wszędzie i zawsze... Od powieści żądam czego innego...

Matka spojrzała na nią zaciekawiona, pytając:

— A czegóż chcesz, prócz chwil zapomnienia o przykrościach życia codziennego?

— Powieść pisze przecież artysta, który ma wzrok bystrzejszy, słuch doskonalszy, duszę wrażliwszą, więc niechże ja czytając dostrzegę w mem zwykłem życiu widnokręgi dalekie, niech dosły-

szę harmonię świata, niech moje myśli i uczucia nie zrywając z rzeczywistością, ujrzą i odczują piękną, nieśmiertelną prawdę życia w oświetleniu artystycznem.

— Stawiane przez ciebie wymagania od powieści są dla mnie dowodem, że w teraźniejszem twem życiu odczuwasz niepokój, brak równowagi i harmonii pomiędzy pragnieniami a rzeczywistością.

— Ależ mamo, mówiłam tylko o powieści — zawołała lekko zmieszana.

— Moja Zosiu, dawniej to nasze życie, ciche i skromne zadawalniało ciebie, dziś inaczej.... Już dosyć dawno chciałam z tobą pomówić szczerze, jak przyjaciółka z przyjaciółką — mówiła matka składając robótkę, — chodźmy do ogrodu, tam nikt nam nie przeszkodzi.

Usiadły na ławeczce w cieniu rozłożystego kasztana. Żar dnia pogodnego od czasu do czasu przesuwał swą leniwą falę gorąca po przez cieniste drzewa, zwieszały się liście zmęczone, a kwiaty na poblizkiej grządce otwierały szerzej swe wonne kielichy.

— Moje dziecko powiedz mi szczerze, jak ci się podobał pan Haecht?

— Tak mało go znam...

— Był u nas jednak coś z osiem razy... możesz więc wiedzieć coś o nim.

— Lubię jego towarzystwo, on wnosi do nas inną atmosferę, może świata obcego, ale różną od tej, w której się tu obramy. Jest inteligentny, rozumny...

— Moja Zosiu, i nic więcej?

— Ach mama myśli, że jestem w nim zakochana, — zaśmiała się swobodnie, — od podobania do miłości daleka droga. Lubię go to prawda, bo w jego towarzystwie zapominam o Drohobyczu...

— Szkoda, że on cudzoziemiec — westchnęła matka.

— W każdym razie, nie Niemiec, — zawołała panna Zofia może zbyt gorąco.

— Tak, zapewne; ale on zawsze obcy.

— I dlatego są dla mnie interesujące jego wrażenia kraju i ludzi.

— Byleś się nim zbyt nie interesowała moja Zosiu, gdyż on pewno wkrótce wyjedzie... i tak jestem zaniepokojona plotkami krążącemi po mieście z powodu jego częstych wizyt.

— Plotki zawsze będą, bo to mała mieścina, a o moją opinię jestem spokojna.

— Zawsze lepiej nie dawać cienia pozorów...

— Moja mamo, cóż w tem złego, że młody człowiek bywa u nas przecież nie jesteśmy zakonnicami, i nie ukrywamy jego wizyt.

— Młoda jesteś i nie wiesz, jaki świat zły i podejrzliwy...

— Czy my jednak moja mamo żyjemy w tym świecie, czy ten świat zasługuje na to, by wyrzec się dla jego opinii najmniejszej przyjemności?

Po dłuższem milczeniu odezwała się matka:

— Taka jestem Zosiu niespokojna... Od trzech dni stryj powinien był przysłać pieniądze, pilnuje się zawsze tak terminu, a teraz nic nie pisze.

— List może gdzieś być na poczcie... Czy niema mama już pieniędzy?

— Na jakiś czas wystarczy mi jeszcze... ach ta zależność od tych przesyłek! — westchnęła z żalem.

— Skończy się, moja mamo, skończy. Po wakacyach dyrektorka szkoły obiecała mi napewno posadę. Moja pensya i lekcye wystarczą nam zupełnie, zwłaszcza że Karol sam na siebie zarabia korepetycyami... i wówczas podziękujemy stryjowi za pomoc, dobrze moja mamo?

— I ja pragnę tego, bo nie chciałabym nadużyć jego szczerej dobroci, ale nie mogę wkładać na ciebie tak ciężkich obowiązków.

— Pomówimy o tem moja mamo, jak otrzymam miejsce nauczycielki — zaśmiała się wesoło.

Matka spojrzała się na nią rozkochanym wzrokiem mówiąc:

— Żebyś tylko dosyć sił miała, moja Zosiu, tak mi was żal moje dzieci, że w lecie w takiej spiekocie musicie siedzieć w mieście...

— Tu w ogrodzie, nie czujemy mamo przykrości miasta.

— Nie wmawiaj we mnie Zosiu, i w tej chwili rozgrzane powietrze przynosi aż tutaj zapach fabryk i dymu.

— Nic łatwiejszego mamo, jak uniknąć tego, chodźmy na spacer za miasto, już dość dawno nie byliśmy w polu.

— A jeśli pan Haecht przyjedzie? — zaśmiała się matka.

— Pan Haecht? Przyjedzie i odjedzie, nie zastawszy nas w domu.

— A jeśli zastanie?

— Pójdzie razem z nami.

— Jeśli mamy iść, należałoby się przebrać.

— Może mama weźmie inną suknię, bo ta zbyt wyszarzana, ja zostanę w tej sukience.

— Nie weźmiesz liliowej, tak ci w niej dobrze...

— Szkoda mi liliowej, że nie będę swobodną, a dziś chcę dojść nareszcie do tego samotnego krzyża w polu.

— Tak daleko?

— Pójdę z Karolem, a mama z Tadziem zaczekają na nas.

— Chodźmy Zosiu do pokoju.

— Zaraz mamo... zdaje mi się, że zaturkotał powóz... tak, to pan Haecht — kończyła różowiejąc pod wzrokiem matki.

— Może zostaniemy Zosiu?

— Dlatego że on przyjechał, nie wyrzeknę sie spaceru, tu istotnie duszno.

Poprzez liście drzew i krzewów widać było spiesznie idącego chemika, który spostrzegłszy panie skłonił się z rozpromienioną twarzą:

— Sądziłem, że nie zastanę pań, tem milsza niespodzianka dla mnie.

— Właśnie wybieramy się na dalszy spacer, — mówiła panna Zofia, podając białą rękę na powitanie. — Pan z nami?

— Najchętniej, upał czyni miasto nieznośnem, tem milsze są pola.

— W braku morza, — zażartowała pani Bratkowska.

— Ach dziś przydałoby się morze, wiatr morski oczyściłby tę zatęchłą atmosferę.

— Poprzestańmy jednak na mnszem i idźmy w pole, — uśmiechnęła się panna Zofia. — Na chwilę zostawiamy pana samego, idziemy się przebrać.

Pan van Haecht skłoniwszy się w milczeniu patrzał prawie z zachwytem na chód i ruchy panny Zofii i w niecierpliwem oczekiwaniu przechadzał się od węgła domu i grządek kwiatowych i napowrót.

Wyszła panna Zofia w towarzystwie brata, w pasterce ubranej modrakami, smukła, zgrabna, w sukience popielatej mieniącej się w promieniach słońca, z blond włosami z odbłyskiem złota, i pan van Haecht patrzał na nią zdziwiony jak gdyby po raz pierwszy ujrzał ją i ten wdzięk właściwy kobietom, mającym już z urodzenia formy wykwintne. Szła ku niemu jasna, promienna słońcem i młodością, rzucając pytanie z uśmiechem:

— Czy długo?

— Widząc panią jestem już nagrodzony,

— I ta nagroda zadawalnia pana, chociaż nie w brzęczącej monecie?

— Nie mówmy o pieniądzach.... Chciałbym za sobą zostawić wszystko materyalne, pieniężne... Patrząc na panią, mam wrażenie, że żyłem gdzieś kiedyś na dworze królów czy książąt, i oto przez panią przeżywam te dawne, piękne minione czasy.

— Czy jestem podobną do prababek pana? — zaśmiała się szczerze.

— Nie znam i nie widziałem mych prababek, ale może dusza moja żyła w owych czasach, i dziś odżyło dawne wspomnienie.

— Aby pana złudzenie było zupełnie, każę panu zerwać dla mnie kilka kwiatów — zawołała żartobliwie.

— Rozkaz pani uszczęśliwia mnie — odpowiedział tym samym tonem.

Zbliżył się do kwiatów, zerwał kilka i podał siedzącej na ławeczce.

— Jak silnie pachną! — mówiła odbierając kwiaty.

— Tam nad grządką odurza prawie ich zapach; słońce całuje kielichy, a one odwzajemniając się oddają swe wonie...

— I giną...

— W upojeniu miłości. Tak chciałbym zginąć, nie czułbym goryczy i strachu przed próżnią zagrobową.

— Próżnią??

— Takie mam przekonanie. Teraz wiem, że żyję, myślę, czuję, a po śmierci? Może jestem jak ów kwiat, który oddał słońcu swoją duszę, swój zapach, a sam zostawia drobne nasionko, a może jestem tylko koroną, która więdnie, a ziarno jest wieczne i niezmienne.

— Nie mów pan o śmierci w tak pięknym dniu.

— Cień towarzyszy światłu, a śmierć miłości i... życiu.

— Takie rozmyślania dobre są w nocnej ciszy, a teraz idziemy między ludzi, w ruch, w życie — mówiła i wstała, by zbliżyć się do nadchodzącej matki.

Wyszli na ulicę Samborską.

Zbliżający się zachód zmniejszył upał dnia letniego. W ogródkach przed dworkami, na gankach i w oknach otwartych używali mieszkańcy świeższego powiewu powietrza, a wystrojone mieszczki, żony urzędników i przemysłowców szły w kierunku ogrodu publicznego. Panie Bratkowskie, a może więcej pan Haecht, którego dochody olśniewały, a chemiczny wyrób wosku pszczelnego rozsławił, zwracali na siebie powszechną uwagę.

Ubrania pań Bratkowskich, tych zabłąkanych szlachcianek, były poddawane surowej krytyce: gorszono się swobodą obejścia

a oburzano się takiem „afiszowaniem” stosunków z młodym człowiekiem, który przecież będąc bogatym inżynierem, nie ożeni się z biedną zbankrutowaną szlachcianką, zapewne jest tylko kochankiem.

I cnotliwe niewiasty, zwłaszcza matki obdarzone dorosłemi córkami, odwracały się z lekceważeniem, polecając i córkom unikanie tak gorszącego widoku.

Pani kasyerowa, spotkawszy na rogu panią kontrolerową, szły wspólnie do publicznego ogrodu.

— Czy pani kasyerowa zauważyła ich skandaliczne zachowanie? — spytała sznurując usta do wzgardliwego uśmiechu.

— Ta któżby nie widział takiego zgorszenia... Nie będzie można wyjść na ulicę z porządnemi panienkami — odpowiedziała z godnością, wskazując parasolką na swe dwie córeczki.

— To okropne, — mówiła pani kontrolerowa, — bo sama matka ułatwia romans! Czy wie pani kasyerowa, on codziennie tam chodzi, a wraca późno nocą, mówiła mi to Małka, która nosi bułki.

— Wiem ja o lepszych rzeczach, moja pani kontrolerowo, tam poprostu Sodoma i Gomora — mówiła ciszej, by córeczki nie posłyszały tych słów.

— Powinien magistrat wdać się w tę sprawę, — zawyrokowała pani kontrolerowa, — nie można dopuszczać takich rzeczy.

— A wie pani, ona, taka skompromitowana panna, stara się o miejsce nauczycielki w naszej szkole!

— Ładnychby rzeczy nauczyła, — zaśmiała się pani kontrolerowa zjadliwie, — chyba nie dopuszczą do tego, całe miasto podniosłoby gwałt.

— Dziś mówiłam z panią naczelnikową, ta panna miała udzielać lekcyi tej młodszej córeczce, pani ją zna?

— Czy ta z krzywemi nogami?

— Ta sama, to taka kapryśnica, że żadna służąca nie może wybyć kwartału; ale mama zaślepiona w córeczce, i dochowa się ona pociechy, dochowa! — kończyła z ironią, rzucając wokoło ciekawe spojrzenia.

— Tak bywa, gdy matka zbyt kocha, unieszczęśliwia i dziecko, i siebie.

— Otóż moja pani, byłam dziś u niej, i naczelnikowa stanowczo oświadczyła, iż po tych zajściach z tym Francuzem nie przyjmie tej panny do swego domu.

— I bardzo słusznie, pani kasyerowo, bo czy to sens bratać się z jakimś Francuzem, bo to farmazony bez czci i wiary.

— Mówią, że on dobrze zarabia, a od Krausberga wziął pięć czy dziesięć tysięcy.

— A żeby on był cały złoty, nie pozwoliłabym mu bywać i starać się o moją Emcię!

Pani kasyerowa uśmiechnęła się skrycie z tych zastrzeżeń, bo wiadomo, że panna niegładna i złośnica, ale odpowiedziała z pobożnem westchnieniem:

— To racya! Wielka racya! On nawet nie śmiałby zrobić wizyty u nas!

Teraz przyszła kolej uśmiechu ironicznego na panią kontrolerową, bo wiadomo, że do panien kasyerówien ciągną każdego, ale napróżno, dodała jednak z uznaniem:

— Gdzieżby się on odważył, on wie, co gdzie wolno!

Na tę ujemną opinię o paniach Bratkowskich wpłynęło nietylko plotkarstwo, czepiające się zawsze chętnie bagna i brudu, ale i hardość tych pań, które nie umiały ocenić i uznać małostkowych odcieni majątku, znaczenia i wpływu pań miasteczkowych. Zemsta dla małych ludzi bywa zawsze słodką, a tem słodszą, gdy przy tej sposobności można siebie przedstawić w świetle korzystnem i cnotliwem.

Nie znając tych gromów, zaledwie przeczuwając niechęć ze spojrzeń i uśmiechów złośliwych, panie Bratkowskie w towarzystwie pana van Haechta i dwóch młodych synów dążyli za rogatki miejskie.

Przed nimi białą wstęgą ciągnął się gościniec, ujęty w dwa rzędy wysmukłych włoskich topoli, stojących w tej chwili przedzachodniej cicho, bez szelestu i ruchu. Z lewej strony gościńca, rozrzucone w nieładzie bieliły się domki przedmieszczan z po za sadów licznych. Z prawej rozciągały się pola uprawne na wzgórkach przerzniętych wązkiemi łąkami, odbijającemi świeżą zielenią, podsycaną strumykami przepływającymi. Na miedzach stały gdzieniegdzie grusze, a w małych jarkach czerniły się przysadkowate wierzby; kopy zżętego zboża złociły się w promieniach słońca, a na polach było ludno i gwarno od żniwiarek i żniwiarzy; tam wybiegła piosnka, ówdzie pastuszek gwizdał na fujarce, nawoływał gospodarz do szybszej roboty. Cała okolica tchnęła spokojem, pracą bez wysiłku, harmonią pomiędzy naturą a ludźmi.

— Chyba i w ojczyźnie pana nie znalazłby się piękniejszy krajobraz, —mówiła panna Zofia idąca przodem z panem Haechtem, gdy matka wysłuchiwała uważnie dziejów wycieczki koleżeńskiej opowiadanej przez Karola.

— W mojej ojczyźnie? — odpowiedział chemik rozglądając się wokoło. — U nas inaczej, nasze pola orne wyglądają jak ogrody żyzne, każde ujęte w ramki drzew, poprzecinane działkami różnych zbóż. Na każdym kroku widać umiejętną i zabiegliwą pracę człowieka, który ze wszystkiego korzysta. A tu, bezmierne pola, obfitość ziemi, uprawa niedostateczna, mnóstwo nieużytków...

— Gdzież pan widzi te nieużytki? — spytała podrażniona.

— Spójrz pani na te wązkie łąki podmokłe strumykiem wijącym się dowolnie; na te wierzby grube, rosochate, rzucające cień w około; na te gruszy dzikie, bezużyteczne...

— Czytałam, a teraz słyszę od pana o tej waszej ziemi ujętej w karby niewolnicze. Całej naturze, jak i waszym parkom, nadajecie piętno waszych gustów, zamiłowań, zachcianek. Zdaje mi się, że tam u was ziemia musi wyglądać jak stary, spracowany człowiek... A nasza przyroda, nasze krajobrazy, mają wdzięk młodości, swobodnego działania sił przyrody, nieujętych systemem i niewolą służby, tu czuć powiew wolności!

Słuchał, rozkoszując się melodyjnym dźwiękiem jéj głosu, błyszczącemi oczyma, zmiennością wyrazu jej pięknej twarzy.

— Pani sądzi nas fałszywie i z uprzedzeniem.

— Ja?

— My właściwie możemy mówić o wolności, bo człowiek tem bliższy jest wyzwolenia, im bardziej zwycięża siły natury i nad niemi panuje. A my wydarliśmy morzu nasze pola, ogrody, łąki... z mokrych, nieurodzajnych piasków i gliny wytworzyliśmy urodzajną rolę, to też drogą jest nam każda piędź ziemi, każde drzewo, każdy kwiat, bo drogo i szaloną pracą całych pokoleń zdobyliśmy to wszystko — widząc ją słuchającą w skupieniu i z uwagą, mówił dalej podniecony. — Powiedziała pani, że tu w tym krajobrazie czuje pani powiew wolności, ależ to zaledwie daleki odbłysk wyzwolonych z pęt sił przyrody, to lampa, a u nas słońce, bo my mamy morze bezmierne.

— Czy pan bardzo lubi morze?

— Bardzo i nie wiem co wybrałbym, kochankę daleką na kontynencie, czy morze?

— Aż tak dalece! — uśmiechnęła się.

— Pani nie widziała, nie zna morza, ale wierz mi pani, że patrząc na nie, doznaje się już rozkoszy. Czasem bywa ono rozpromienione jak kochanka; lub chmurne i posępne jak zbrodnia, a szalejące jak namiętność; czasem zbliża się do pani falą cichą, łagodną, ponęt-

ną i posłuszną jak dziecko, albo uderza z druzgocącą wściekłością, a zawsze jest żywe, zmienne, barwne...

— Bardzo pragnęłabym zobaczyć morze, w słowach pana czuję prawdę, a jeśli morze jest takie, nie dziwię się, że pan w niem zakochany.

— Wiedziałem, że prędzej czy później przyjdę z panią do zgody — uśmiechnął się.

— Z uznania piękności morza niech pan nie wnioskuje, że krytykuję nasze krajobrazy, — przemówiła z żywością, — pan nie wsłuchał się, nie wpatrzył, nie odczuł naszej ziemi. Nie widział pan naszej zimy iskrzącej się brylantowo, naszej jesieni mglistej, naszych wiatrów, które huczą, wyją, szaleją, a czasem łkają i płaczą w kominach jak tylko rozpacz potrafi. Zdaje mi się, że wszędzie zatęskni łabym na śmierć bez mego kraju.

— Tak się mówi proszę pani, ale gdy przyjdzie konieczność życia lub uczucia, człowiek poświęca pobyt w kraju rodzinnym i wyjeżdża.

— Z nadzieją powrotu.

— Naturalnie.

— A ja myślałam o pożegnaniu wszystkiego na zawsze.

— Dotychczas sądziłem, że słowa „zawsze” można używać tylko w obliczu śmierci i grobu, a dziś...

— Cóż dziś?

— Dzisiaj dochodzę do przekonania, iż są uczucia tak trwałe, silne, bezwzględne, które muszą mieć bliższe określenie w słowie zawsze.

Panna Zofia nie chciała pytać o rodzaj uczucia tego, obawiała się go nawet, odgadując że on mówi o swej miłości, zwolniła kroku, aby się zrównać z matką.

— Zamiast o uczuciach mówić, — zaczęła po chwili, — rozmawiajmy o krajobrazie... Czy panu nie podoba się pewna fantazya widoczna np. w tych odosobnionych gruszach, w nachylonych nad wodą wierzbach, w tym samotnym krzyżu w polu...

— Fantazya przypadkowości! — zaśmiał się, — a ja wolę mieć do czynienia z fantazyą czynu, odbierającego olbrzymowi morzu jego dno, uwielbiam po prostu zwycięstwo ludzi nad przyrodą. W mojej pracowni chemicznej miewam chwile takich zwycięstw i czuję się dumny.

— Nad czem pracuje pan obecnie? Czy jeszcze zawsze nad naftą.

— Zdaje mi się, że jak na dzisiejsze maszyny, któremi tu rozporządzam, lepszej rafineryi dać nie mogę, i za tydzień będę już zwolniony z obowiązku fabrycznego.

— A to winszuję panu powrotu do Belgii, — mówiła z odcieniem mimowiednego żalu. — Czy wie mama, pan van Haecht odjeżdża za tydzień.

— I naturalnie cieszy się z tego, — rzekła równając się z idącymi.

— Czy się cieszę? Tak być powinno, a jednak nie jest. Tam nikt mnie nie oczekuje, nikt nie tęskni, nikt nie myśli o mnie, po za krajem, do którego mam nostalgię, będę tam samotny.

— Niema pan rodziny, krewnych?

— Są tacy, dla których jestem najzupełniej obojętny i niepotrzebny; bliżsi w grobie.

— A koledzy, przyjaciele?—dopytywała się pani Bratkowska.

— Są nimi póki na oczach... Dusze bratnie, pokrewne są tak rzadkie, nadzwyczajne, że tylko bardzo lekkomyślny porzuca je i rozłącza się z niemi.

— Więc znalazł pan jednak taką bratnią duszę, — uśmiechnęła się panna Zofia.

— Mam to złudzenie, i dlatego... żal mi porzucać ten kraj.

Słowa te wypowiedział poważnie, podkreślając spojrzeniem ich znaczenie, zrozumiane przez pannę Zofią, że ta cała zaróżowiona spuściła oczy, a matka odezwała się prawie szorstko:

— Radzę panu nie dowierzać złudzeniom.

— O ile potrafię, — odpowiedział z uśmiechem uprzejmym, — zastosuję się do rady pani.

— Może pójdziemy tą polną drogą, mamo, tu podnosi się kurz.

Istotnie z pól i zagonów zjeżdżały na gościniec ładowne snopami wozy, podnosząc pył drożny, wracały z pastwisk trzody krów i owiec, szły gromady żeńców z sierpami błyszczącymi w promieniach zachodzącego słońca. Weszli na wązką drożynę.

— Czy chcesz Zosiu dojść do tego krzyża?

— Jeśliby mama pozwoliła, poszłabym z panem Haechtem Karolem; mama zmęczyłaby się nadto.

— Nie moja Zosiu, pójdziemy wszyscy — a widząc idącego po ściernisku pana Haechta z powodu wązkiéj drożyny przystanęła i szła za nimi z synem.

Zbliżali się do krzyża.

— Czy nie wie pani, na jaką pamiątkę postawiono go?

— Nie wiem... widzę jednak tabliczkę, może ona objaśni.

Na blasze były czytelne jeszcze wyrazy: Na chwałę Jezusowi Chrystusowi za uratowanie zbłąkanego wśród zamieci śnieżnej. Gdy mu przetłómaczyła napis, rzekł z westchnieniem:

— Szczęśliwy człowiek, zazdroszczę mu!

— Czego?

— Został uratowany, a ileż razy błąkam się bezradny i nikt mi drogi nie wskaże.

— Uwierz pan, a spełni się cud.

— Nie powtarza się cud w tej samej formie. Na morzu kierują się żeglarze gwiazdami...

— Można to samo zrobić na lądzie, — uśmiechnęła się.

— Teraz na widnokręgu mego życia zajaśniała gwiazda...

— Więc pan uratowany — rzekła wesoło.

— Byle mi jej chmury nie zakryły, a będę szczęśliwy.

XXIX.

Pan van Haecht od dłuższego czasu pracował w chwilach wolnych od zajęć fabrycznych nad cerezyną.

Rozbiór chemiczny wosku wskazywał mu zawartość cerezyny, dochodzącą do osiemdziesiątego procentu, gdy w dotychczasowej fabrykacyi pan Winter dochodził do czterdziestu dziewięciu najwyżej. Szukał sposobu ulepszonego przerabiania wosku i znalazł nadwyżkę pięciu procentów przy tych samych maszynach z małą zmianą filtrów.

Nie zadowolnił się jednak tym rezultatem, rozumował bowiem, że brakujące procenta cerezyny po przeróbce wosku są naturalnie utajone w t. zw. „asfalcie“, masie gęstej, czarnej, łatwo twardniejącej, którą z kotłów i filtrów wyrzuca fabryka na hałdy, jako rzecz bezużyteczną, obciążającą koszt dobywania cerezyny.

Tę masę poddawał działaniu różnych czynników, a w tej chwili był zajęty badaniem zmian w asfalcie pod wpływem siarku węgla. Wprawdzie w retorcie uzyskał był już część cerezyny, ale procent był zbyt mały, i środki za kosztowne, gdyby jednak siarek węgla rozpuścił cerezynę zawartą w asfalcie zagadnienie byłoby rozwiązane.

Obok pięknej panny Zofii, która weszła mu już w krew i serce, stała mu się bardzo drogą, kochaną i pożądaną, zabłysły krocie i miliony jako następstwo jego wynalazku. U jej nóg złoży całe góry złota, a gdy go zobaczy tak pokornym, cierpliwym i kochają-

jącym, zmięknie jej serce, pokocha go i będą zawsze razem, szczęśliwi, swobodni, bogaci.

Z marzeń zbudziło go wejście pana Krausberga.

— Panie inżynierze, ja przyszedłem z wielkiem zmartwieniem.

— Co się stało?

— Pan inżynier może mi tylko pomódz. Mój dyrektor Winter wyjeżdża, on wraca do Niemiec, on nie chce być dłużej.

— Poszukaj pan innego dyrektora.

— Ja przyszedłem do pana inżyniera, niech mi pan zrobi tę łaskę i zostanie dyrektorem w mojej fabryce.

— Nie przyjmę.

— To niech mi pan poleci kogo, ja z ręki pana przyjmę każdego.

— Namyślę się, poszukam w pamięci i dam panu znać.

— Aj żebym ja miał takiego dyrektora jak pan inżynier, ja byłbym bogaty, moja cerezyna byłaby najpierwszą.

— Ja panu podam sposób wzbogacenia się — uśmiechnął się chemik.

— Jaki panie inżynierze?

— Zaraz powiem, ale wpierw chciałbym zapytać pana, czy wie pan dokładnie, jaki procent cerezyny ma pan z wosku?

— Ja wiem, bo to przecież moja fabryka.

— A więc?

— No, czterdzieści osiem.

— Teraz posłuchaj pan mnie uważnie. Pan przerabia 20,000 centnarów rocznie i ma pan 9,600 centnarów cerezyny. Ja podam panu sposób zwiększenia produkcyi o pięć procent, czyli będzie pan miał rocznie tysiąc centnarów więcej.

— Aj, aj, to byłoby dobrze, — wymknęło się panu Krausbergowi, ale zapanował wkrótce nad swoją radością i mówił: — Tysiąc centnarów to pieniądz, ale pewno całą fabrykę trzeba byłoby przerobić, to już byłby mały zysk.

— Nie panie Krausberg. Należałoby tylko zmienić jeden nieznaczny oddział za jakie tysiąc guldenów.

— Panie inżynierze, a co to za sposób?

— Zapłać pan, to powiem.

— A ile panie inżynierze?

— Pięćdziesiąt tysięcy guldenów.

— Co? Tyle? To nie dla mnie interes.

— Jak pan chcesz, dla mnie to obojętne, kupi inna fabryka, puści taniej cerezynę i was poderwie.

— Panie inżynierze, taka suma to żarty, niech pan powie swoje słowo.

— Już powiedziałem.

— Nu, a jeśli dowiedzą się inne fabryki, i zrobią to samo, co mi przyjdzie z tego?

— Ja nie powiem, a jeśli kto odkryje ten sposób, fabryka wprowadzi u siebie to ulepszenie.

— Pięćdziesiąt tysięcy! Nie... ja nie mogę.

— A drugie pięćdziesiąt zarobi pan w jednym roku.

— Tak wygląda, ale nie mogę dać takich pieniędzy.

— I ja nie mogę taniej.

Po chwili milczenia odezwał się pan Krausberg:

— Panie inżynierze, ja panu coś powiem.

— Słucham.

— Ja dam 50,000, ale pan inżynier będzie dyrektorem mojej fabryki, i będzie pan brał pieniądze w miarę dochodu z tych pięciu procentów cerezyny.

— Nie panie Krausberg, prawdopodobnie wyjadę wkrótce i żądam gotówki.

— Jakto może być, aby pan wyjechał? A ta piękna panna zostanie sama?

— Jaka?

— Nu, panna Bratkowska.

— Pan ją zna? — spytał z żywością.

— Ja znam ją, i jej matkę, i ojca znałem.

— Jaki był jej ojciec?

— On był niczego człowiek, ale nie znał się na interesie. On stracił pieniądze swoje, a ich zostawił w biedzie.

— To tam jest bieda?

— Co tu gadać, czy taka nauczycielka może być bogata, żeby jeść miała, to dobre. Teraz będzie jej gorzej...

— Dlaczego?

— Ona potraci lekcye, któremi zarabiała na życie.

— Ale dlaczego? — dopytywał się głosem zmienionym.

— Ja nie wiem... tak mówią na mieście..... Panie inżynierze ile pan chce? — spytał spostrzegłszy wrażenie, które wywołały jego słowa.

Zaniepokojony wiadomością o utracie lekcyi, doszukując w myśli powodu, odpowiedział zniecierpliwiony:

— Już raz powiedziałem panu.

— Nu po starej znajomości, ja powiem tak. Ja może i dam pięćdziesiąt tysięcy, ale pan inżynier przez miesiąc musi prowadzić sam moją fabrykę, pan nauczy mego syna jak się to robi, i ja zapłacę.

— Ale połowa pieniędzy zaraz.

— Ja dam po próbie, niech zobaczę. A to nowe przerobienie fabryki odbędzie się kosztem pana inżyniera.

— Niech i tak będzie. Jutro zacznę robotę.

— Panie inżynierze, zacznij pan po wyjeździe Wintera, on zobaczy i powie Niemcom.

— Masz pan słuszność.

Pan Krausberg uśmiechnął się rad z umniejszenia wymaganej sumy, gdyż miesiąc bezpłatnej roboty i koszta przeróbki fabryki zostały mu w ręku. A możeby użyć panny Bratkowskiej, aby ona zmiękczyła inżyniera, błysnęło mu w umyśle, ale nie, one są złe na niego, nie chcą go znać, nawet lekcyi nie daje u niego, chociaż on płaciłby jej regularnie. Lepiej nie zaczynać z temi kobietami. Pan Krausberg wstał z krzesła, mówiąc na odchodnem:

— Panie inżynierze, ja mam słowo pana. Pan inżynier miesiąc jeden kieruje moją fabryką, nauczy pan mego syna sposobu, a pokaże się więcej cerezyny, pięć procent, ja zobaczę i zapłacę.

— A umowa?

— My zrobimy notaryalną, to za wielka suma.

Po jego wyjściu przeszedł chemik do swej pracowni, by zbadać dalsze działanie siarku węgla, jednak taki wielki niepokój ogarnął go o ukochaną dziewczynę, że kazał zaprzęgać konie, aby dziś jeszcze zobaczyć ją i dowiedzieć się o szczegółach.

Właśnie matka z córką, smutne i zgnębione siedziały przy pracy, gdyż przed kilku dniami otrzymały list bezimienny, kalający ich dobrą sławę, a dziś dyrektorka nie przyjęła ich u siebie, jakkolwiek widziały ją w oknie.

— Moja Zosiu, nie martw się, to złe minie, sprawa się wyjaśni, i wszystko wróci do zwykłego trybu, — uspakajała matka nie wierząc sama w te słowa.

— Idzie mi tylko o zmartwienie mamy, te ohydne plotki muszą ustać, bo nie poczuwam się do żadnej winy.

— Wiem moje dziecko, ale niechże to na przyszłość będzie ci nauką, aby unikać i nie dawać pozorów najlżejszych. Opinia panny to pył motyla, raz starty z trudnością wraca. Nie tyle w tem twojej winy, ile mojej i jego.

— Jego?

— Powinien był bywać rzadziej, nie zajeżdżać powozem...

— Ależ on nic nie winien, — broniła córka, — cudzoziemiec ani wiedział, ani przypuszczał nawet, aby stosunki towarzyskie pociągały za sobą takie plotki.

Matka spojrzała na nią badawczo i odezwała się wzdychając:

— Zanadto go bronisz, boję się o ciebie...

— Jestem tylko sprawiedliwą.

— Za obcym nie przemawia się tak gorąco.

— Bo mi też obcym nie jest, zawdzięczam mu tyle przyjemnych wrażeń.

— I żałujesz, że wyjedzie?

— Tak mamo, żałuję, bo znów wrócą smutne, jednostajne dnie.

— Więc ty go kochasz? — spytała matka z odcieniem obawy i żalu.

— Nie wiem mamo. Jego towarzystwo jest mi miłe, widuję go chętnie, lubię go słuchać, bo mówi rozumnie i pięknie, ale nic więcej....

— I to dosyć moja Zosiu, wystrzegaj się go, o cierpienie tak łatwo.... Jeśli dłużej tu zostanie, muszę go prosić o mniej częste bywanie u nas.

— Dlaczego mama chce mu zrobić taką przykrość,—zawołała czerwieniąc się, — i tak wyjeżdża, niechże ma dobre wyobrażenie o gościnności polskiej.

— Nie moja Zosiu, to mój obowiązek strzedz cię przed obmową.

Do pokoju wpadł syn Karol mówiąc:

— Mamo, Zosiu, pan Haecht przyjechał.

Córka wstała i całując rękę matki prosiła szczerze:

— Moja droga mamo, niech ta wizyta jego będzie bez wymówek mamy. On i tak za tydzień wyjeżdża.

Matka westchnęła głęboko mówiąc:

— Ulegam twej prośbie, chociaż czuję, że źle robię.

— Ten jeden, jedyny raz mamo.

— Dobrze, już dobrze. Idź, przygotuję tu herbatę i przyjdę.

Po przywitaniu, pan Haecht, widząc jej pobladłą twarzyczką, spytał z większem współczuciem, aniżeli zamierzał:

— Co pani jest panno Zofio? Była pani chorą? Miała pani zmartwienie?

— Drobnostka — uśmiechnęła się.

— Więc to prawda, co mi mówiono, — zawołał wpatrując się uważnie w jej twarz i oczy podsiniałe.

— Cóż mówiono? — spytała zaniepokojona.

— Że pani traci lekcye...

— Dotychczas żadnej, może w przyszłości, a i to tylko przypuszczenie.

— Jeśli mógłbym w czemkolwiek pomódz, poradzić, rozkazuj pani, jestem przecież przyjacielem państwa.

— Dziękuję panu, nic nam nie potrzeba.

— Ale powiedz mi pani przynajmniej przyczynę tej gadaniny o lekcyach.

— Zwykłe plotki małomiasteczkowe, które na razie bolą i są przykre, a z czasem umilkną.

— Należałoby jednak im zapobiedz, usunąć powody, wyjechać...

Uśmiechnęła się słuchając go i rzekła weselszym tonem:

— Powód sam się usunie, a wyjechać nie możemy.

— Tak pragnąłbym widzieć panią szczęśliwą, wesołą, bez trosk i kłopotów, że nie zawahałbym się przed żadną ofiarą, bo ja bardzo.., kocham panią — kończył drżącym głosem szukając jej oczu.

Słuchała go pobladła, poważna i po chwili rzekła:

— Ulega pan wrażeniu chwili, jest pan daleko od kraju, wśród obcych, i przyjaźń bierze pan za miłość.

— Ma pani słuszność, bo nie rozumiem miłości bez przyjaźni, a tej bez szacunku, ale ja wiem, że szczerze i serdecznie kocham panią, że na myśl o jej utracie wszystko ciemnieje wokoło, brzydną mi ludzie, świat, życie; boś pani moim celem, moją gwiazdą, mem słońcem. Nie rozumiem, jak mogłem żyć tak długo, nie znając ciebie, nie wiem czy potrafię żyć, gdy mi odmówisz swej ręki, gdy znów zostanę sam, z tem przeświadczeuiem, że byłem tak blizko szczęścia i utraciłem je.

Wziął jej rękę, której mu nie broniła i prawie szeptał:

— Ja panią kocham, uwielbiam i szanuję. Złożę u nóg twoich wszystko, co dotychczas miłowałem, będziesz moją panią, będę cię zawsze czcił i wielbił, tylko nie odtrącaj mnie... Żaden skazaniec nie czekał z takiem drżeniem i trwogą wyroku, jak ja w tej chwili, o powiedz, powiedz.

— Ale ja nie wyjadę, nie porzucę mego kraju, — powiedziała patrząc mu w oczy.

— Już powiedziałem, żeś ty moją panią, ty rozkazujesz—ja słucham. Zrobię co tylko każesz, przyjmę wszystkie warunki i cze-

kam wyroku, czy chcesz iść wspólnie przez życie, uszczęśliwić mnie, zostać moją żoną? Powiedz, powiedz.

— Chcę — szepnęła.

Rzucił się przed nią na kolana, całował jej ręce, suknię, mówiąc:

— Kocham, kocham, i jestem szczęśliwy, a tak bardzo się bałem, że zniknie mi gwiazda moja, słońce moje!

— Wstań pan, — rzekła z uśmiechem rozpromieniającym jej twarz, — i pomówmy rozsądnie.

Posłuszny usiadł obok, a ona zaczęła:

— Pierwszy warunek, że zamieszkujemy stale w moim kraju, co nie przeszkadza nam wyjeżdżać do Belgii, o ile będą fundusze...

— O te będą zawsze!

— Tem lepiej dla nas, tylko znów powtórzę, że ja niemam żadnego posagu.

— Słyszałem, i tem szczęśliwszy jestem, że sam otoczę cię zbytkiem i przepychem.

— Następnie dzieci nasze muszą się kształcić początkowo tu, u nas...

— Zgadzam się najmilsza.

— I dom prowadzimy polski, bo mieszkając tu, musisz pan nauczyć się po polsku.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że pani będziesz moją nauczycielką.

— Przyjmuję ten obowiązek — odpowiedziała z powagą.

— A teraz moje warunki, — zawołał pan Haecht, —jest jeden, ale starczy za wszystkie.

— Jaki?

— Kochaj mnie — i całował jej ręce.

— Czyż nie kochając, zgodziłabym się zostać żoną pana?

— Więc mnie kochasz? Powiedz, powtórz...

— Kocham.

— Teraz dopiero jestem pewny mego szczęścia — zawołał i znów chciał uklęknąć, wstrzymała go mówiąc:

— Trzeba mamę uprzedzić.

— Ja powiem, bo chciałbym wołać głośno, aby słyszeli wszyscy, że jestem bardzo szczęśliwy.

— Teraz mogę powiedzieć powód plotek i utraty lekcyi.

— Jaki?

— Zbyt częste wizyty pana.

— Moje? A cóż one szkodziły ludziom?

— Ludziom nie, ale nam zaszkodziły, później dam panu do przeczytania listy, które nam nadesłano.

Weszła pani Bratkowska i chmurna spojrzała na gościa siedzącego blizko córki, ten wstał i mówił po przywitaniu:

— Mam zaszczyt prosić o rękę córki pani, którą bardzo kocham.

— Pan?

— Od dawna pragnąłem wyjawić moje uczucia, ale dopiero dziś miałem dość odwagi zajrzeć w oczy memu losowi i jestem szczęśliwy...

— Zosiu! — zwróciła się do córki, która zarumieniona skinęła głową.

— W téj chwili niemam majątku, ale zawsze mam tyle, aby pannie Zofii nie zbywało na niczem. Całe moje życie poświęcę, aby tylko była szczęśliwą. Czy pani uznaje mnie godnym tego wielkiego szczęścia?

— W tej sprawie może rozstrzygać tylko Zosia, ja z mej strony nie widzę powodu sprzeciwiania się, jeśli ona widzi w tem swoje szczęście.

— Zawsze będę panią czcił i kochał, jak rodzoną matkę, bo słowa pani dopełniły mego szczęścia. Panna Zofia przyrzekła mi swoją rękę.

Córka widząc trochę smutną twarz matki zbliżyła się szybko, a matka tuląc ją do siebie szeptała ze łzami w oczach:

— Daj ci Boże, byś była szczęśliwą!

XXX.

Dwie wiadomości poruszyły giełdę pod apteką, pierwszą przywieziono ze Schodnicy, drugą z Borysławia.

Kupcy i pośrednicy byli mocno zainteresowani nowiną, że do Schodnicy zjeżdża wysoki dygnitarz Spółki kopalnianej, który na miejscu ma zbadać stan interesów i sprawdzić słuszne żale, skargi i narzekania innych przemysłowców nafcianych, ponoszących wielkie straty z powodu gospodarki pana Floryańskiego.

Druga wiadomość zaalarmowała przedewszystkiem Borysław, gdyż na domach, słupach, latarniach, rozwieszono afisze z podpisem: Jan Łasica prezes Związku Robotników, wzywające wszystkich robotników na zgromadzenie ogólne, aby się porozumieć jakich środków należy użyć na właścicieli kopalń, odmawiających Związkowi

pomocy. Kupcy i właściciele składów nafty i wosku, w obawie rozruchów, opróżniali szybko swoje magazyny, przepłacając furmanki, tracąc na cenie.

Poważny pan Lindeman mówił do gromadki słuchaczów:

— Wczoraj Aron ze Schodnicy przywiózł wiadomość, że przyjedzie sam prezes spółki, dzisiaj był tam mój syn Moryc i dowiedział się, że Floryański przygotowuje się ze strachem wielkim na przyjęcie i sam pojechał po niego na dworzec. Teraz jest czas pokazać prezesowi, jak ten Floryański traci pieniądze na domy, fabryki, na robotników....

— Jak odrzuca najlepsze interesa i nie chce syndykatu, chociaż my sami proponujemy — dodał pan Stillbach.

— Właśnie dlatego nie chce, że my chcemy, — zaśmiał się z goryczą pan Kernstein.

— Nu jego trzeba teraz nauczyć—rzekł z zawziętością p. Lindeman, — myśmy już dali znać naszym adwokatom, aby pilnowali go w bankach.

— Jak on kredyt straci, to co on zrobi? zawołał ze złośliwą radością jeden ze słuchaczy.

— Nu, a co wy mówicie na to bydło, na robotników, oni znowu się zbierają, — spytał jeden z członków giełdy przystępując do grupy.

— Oni pokrzyczą i pójdą pić — zawyrokował pan Stillbach.

— Póki gadają to dobrze, im lżej na sercu jak się wykrzyczą, a my spokojni.

— Dopiero będzie źle, jak robotnicy umilkną a nie przestaną zbierać się razem — objaśniał p. Lindeman.

— Nu, zaczekajmy co powie Krausberg?

Inni skinęli głowami uznając potęgę króla tej małej giełdy.

Przyszedł oczekiwany, i wokoło niego skupiła się prawie cała giełda, opowiadając hałaśliwie obie wiadomości. Pan Krausberg udał, że pierwszy raz słyszy o przyjeździe dygnitarza i zebraniu robotnikéw, a gdy uciszył się gwar, zebrał kilku poważniejszych i przemówił:

— Tego Floryańskiego mamy już wszyscy dosyć, a ja mam go tu i tu, — wskazał na żołądek i serce, — nas jest kilka tysięcy to my damy mu już radę; ale co pomoże skarga, gadanie z prezesem, oni trzymają ze sobą i Floryański wykłamie się zawsze przed nim. Tu trzeba innej rady...

— Ty Lejzor poradź, ty masz szczęście! — zakrzyczano z różnych stron.

Uśmiech dumnego zadowolenia zajaśniał na ciemnej, opalonej od wiatrów i słońca twarzy, pogładził brodę i rzekł:

— Tego Floryańskiego trzeba bić jego własną bronią. On chce nam przeciwstawić gojów i robi zmowę z nimi, my obróćmy tych gojów na niego, niech oni ze sobą się pobiją.

— Aj to mądrze!

— Ten Lejzor, to głowa!

— Ty tylko gadaj!

— My róbmy swoje, aby on stracił kredyt, a na niego, kiedy jest sam prezes Spółki kopalnianej, trzeba posłać gojów. To jest tak, robotnicy zbierają się w niedzielę, my możemy tam posłać naszych lepiarzy i innych, niech i oni będą z robotnikami, czy im nie wolno?

— Dlaczego nie? Lejzor ty mów, my słuchamy!

— Tam będzie wielkie gadanie na wyzyski wszystkich co mają pieniądze, nu a kto ma największe kapitały? Floryański... Od kogo można zabrać najwięcéj? Od niego. Kto nie daje zarobku tragarzom i furmanom? On, bo zrobił sobie rury. U kogo są w niewoli? U niego, bo im nie wolno pić i jeść gdzie sami chcą, tylko u jego nastawników... Czy rozumiecie?

Kiwali głowami potakująco, dziwiąc się jego wielkiemu rozumowi.

— Tak, tak, my już wiemy! — mruczeli.

— Nasi to zrobią.

— Lejzor, ty zapomniałeś, że tam będą żandarmi, policya, — rzekł z namysłem pan Kernstein.

— Na zgromadzeniu będą, ja wiem, ale po karczmach nie będą siedzieli, a jak chłopi nie będą mieli za co pić, oni polecą do Floryańskiego; a zresztą nasi mogą to zrobić po cichu, czy zaraz trzeba gwałtu krzyczeć? — kończył uśmiechając się wyniośle.

— Kernstein, ty daj spokój, Lejzor dobrze radzi — odezwali się inni.

— My już to zrobimy — dogadywali słuchacze.

— Jak prezes zobaczy — zaczął znów pan Krausberg, gestykulując rękami — że na Floryańskiego są wszyscy, i my, i robotnicy, którzy zrobią mu szkodę w jego zbiornikach, rurach, fabrykach, on sobie pomyśli, na co mi trzymać takiego człowieka, i wypędzi Floryańskiego.

— To będzie najlepiej, — zawołano radośnie.

— Lejzor ty powinieneś być ministrem!

— Lejzor ty mądra głowa!

Członkowie giełdy, załatwiwszy w ten sposób dwie te sprawy ogólnego znaczenia, rozprószyli się kończąc inne interesa pieniężne.

— Lejzor, — przemówił p. Kernstein, przystępując do stojącego na uboczu, — czy ty masz innego dyrektora cerezyny?

— Ja mam.

— To ten od rafineryi? — a na potakujące skinienie głową, mówił dalej: — On ciebie kosztuje bardzo drogo, ja słyszałem o tem, ty Lejzor uważaj.

— Czy ty myślisz, że ja nie szanuję moich pieniędzy? ale jak jeden gulden robi drugiego guldena, to ja nie pożałuję.

— Lejzor, ale mówią na mieście, że ty mu dałeś aż dwadzieścia pięć tysięcy!

— Ja mu dam jeszcze raz tyle, — rzekł z dumą bogacza.

— Lejzor! — zawołał zdziwiony p. Kernstein, chwytając się ręką za pejsy.

— Kernstein, ja tobie dobrze radzę, jak tobie kto daje sto, ty możesz mu dać pięćdziesiąt, ty zawsze zarobisz i będzie dobrze.

— Ja to wiem.

W tej chwili zadźwięczały podkowy na bruku rynku, poznano powóz pana Floryańskiego, który według obiegających wieści wiózł prezesa Spółki kopalnianej. Jakkolwiek pan Floryański znał niewielu żydów, a gość żadnego, jednak większość kupców i pośredników odsłaniała głowy z wrodzonego szacunku przed pieniędzmi.

— Miasto, panie profesorze, — mówił pan Floryański, — prócz przedmieść jest przeważnie w rękach żydowskich, a Borysław cały.

— A gdzież dawni właściciele? — spytał profesor, zwracając swe oczy przesłonięte okularami na mówiącego.

— Większość zmarniała, inni jak właściciele gruntów borysławskich są w służbie u nabywców.

— To źle dyrektorze, zatem wasza Spółka jest pierwszą placówką w tej gałęzi przemysłu.

— Prawie. Były co prawda dawniejsze usiłowania, ale upadały pod naciskiem solidarności tutejszych kupców.

— A jakże wy sobie radzicie?

— Dotychczas jesteśmy górą, i będziemy jak mam nadzieję, chociaż ich szkodliwą rękę czuję na każdym kroku, i tu, i w bankach starają się zaszkodzić Spółce.

Profesor zwrócił ku niemu swą wychudłą, pomarszczoną twarz i kręcąc delikatną ręką siwiejącą brodę spytał z lekkim naciskiem:

— Dyrektorze, to wasze zwycięstwo opierasz na rachunku, czy na wierze?

— Jedno i drugie, mamy kapitały i kredyt wielki, kopalnię urządziłem i prowadzę o ile mogę, według wszelkich wymagań nauki i praktyki podobnych zakładów zagranicznych, mam już naftę, rafinuję i wyprę z kraju produkta amerykańskie i kaukaskie.

— Hm... a co mówią rachunki dyrektorze?

— Pierwsze wkłady są zawsze znaczne, ale z czasem zamortyzujemy.

— Szczerze życzę wam powodzenia, — mówił podając dyrektorowi swą rękę delikatną, nerwową. W głosie jego dosłyszał jednak pan Floryański pewien niepokój, uśmiechnął się i rzekł tonem wesołym i swobodnym:

— Nie obawiaj się profesorze o nas, Spółka zarobi miliony, i przynajmniej ten przemysł naftowy będzie krajowym po kilku latach pracy.

— Aby was tylko nie zjedli żydzi.

— O to niema obawy, — zaśmiał się pan Floryański, — mają za małe kapitały, aby prowadzić kopalnię tak jak my i urządzać takie fabryki, nie boimy się ich konkurencyi. Pan profesor sam zobaczy jak porządnie idzie u nas robota, bo uprzedzam, że po za studyami geologicznymi, musi profesor zwiedzić wszystkie nasze zakłady.

— I owszem, i owszem, bardzo tego pragnę, — odpowiedział serdecznie, — a to jaka fabryka?

Przejeżdżali obok rafineryi z jednej strony gościńca, a fabryki cerezyny z drugiej.

— To nasza rafinerya! — rzekł z pewnem dumnem zadowoleniem pan Floryański, śledząc wyraz twarzy swego gościa.

Profesor poprawił okulary i patrzał z zajęciem na wielkie budunki rafineryi, błyszczące w zachodzącem słońcu nowością i dokładnem wykończeniem. Obok stały ładne, z pewną elegancyą i komfortem zbudowane domy urzędników rafineryi.

— Bardzo ładna, ale też musiała drogo kosztować, dyrektorze.

— Jak zwykle każda rzecz dobra.

— Dowozisz dyrektorze surową naftę?

— Nie, to koszt i kłopot. Bezpośrednio ze zbiorników w Schodnicy sprowadzam tu rurami.

— Ho, ho, — zdziwił się profesor, — to już zupełnie po amerykańsku.

— Daleko nam jeszcze profesorze do Anglików i Amerykanów, to dopiero początek — westchnął szczerze pan Floryański.

— I produkujecie dobrą naftę?

— Na razie najlepszą możliwą. Sprowadziłem z Belgii chemika specyalistę pana van Haechta, on udoskonalił rafineryę.

— Van Haecht?.... van Haecht? A tak, tak, czytałem jego ciekawy artykuł o epoce oligocenicznej, bardzo dobrze napisał.

Profesor spojrzał na prawą stronę, na fabrykę pana Krausberga, niezgrabną, brudną, z przybudówkami nieforemnemi, z lichą kamieniczką mieszczącą biura i mieszkanie dyrektora.

— Jaka to fabryka?

— Cerezyny.

— To pierwsza w naszym kraju... i taka niepozorna, czy dobrze idzie?

— Podobno nieźle, dawniej była licha cerezyna, ale obecnie sprytny żyd wziął na miesiąc van Haechta i ma wyborny produkt z większą wydajnością wosku. To doskonały interes, Krausberg dorobi się majątku.

— Jakto? Zdawało mi się, że van Haecht był u was.

— Był tak długo, póki nie udoskonalił rafineryi, taką miał umowę. Zapłaciłem dosyć drogo, ale za to mam naftę wyborną.

— I taka fabryka może opłacić van Haechta? — mówił zdziwiony profesor.

— Widocznie opłaca, i van Haecht mógłby był wziąć znacznie więcej za swoje odkrycia, tylko że on niebardzo praktyczny.

— Tak?

— Od Krausberga, właściciela fabryki, wziął tylko pięćdziesiąt tysięcy, i to w dwóch ratach, z miesięczną, bezpłatną pracą dyrektora, a dał mu zarobku rocznego sto tysięcy, a bodaj czy nie więcej.

— Hm.... ano niepraktyczny jak każdy uczony, ale zawsze wziął ładny grosz.

— Który w części zostanie w kraju — kończył pan Floryański.

— Jakto? Zakłada fabrykę?

— Chyba dzieci, — zaśmiał się wesoło administrator — bo żeni się z Polką, panną Bratkowską, ładną panną, już są po słowie.

— Żeni się?... No, proszę, taki mądry człowiek, chyba musi być młody — dziwił się bezżenny przeciwnik małżeństw.

— O, młody, lat ze trzydzieści.

— A, w takim razie nic dziwnego.... no, a pan, panie dyrektorze, jakże z żeniaczką?

— Nasza kopalnia wystarczy mi za żonę.

— Masz słuszność, kłopoty jednakowe, a zawsze człowiek spokojniejszy, bo to dyrektorze uczucie w życiu zaważy dużo, bardzo dużo, ale tak ogólne, społeczne, nie dla jednej czy dwóch kobiet.

Przez jakiś czas rozmawiali o tej kwestyi i zgodzili się obaj, że najlepszą i najwierniejszą kochanką jest nauka i praca społeczna.

Dojeżdżając do Borysławia, spotkali przy drodze znaczną ilość żebrzących, byli tam ślepcy, kulawi, bez ręki, ogłupiali idyoci z wiecznym uśmiechem na bezmyślnej twarzy.

— Borysław musi być litościwy, bo ściąga do siebie żebraków, — zauważył profesor.

— To dawni robotnicy, — objaśnił dyrektor — tu stracili zdrowie, tu szukają ocalenia od śmierci głodowej.

— Tak?? Jakże z kwestyą robotniczą u was?

— Wyzyskują ich żydzi, a rząd za słaby, nie przeciwdziała energicznie.

— No, a u was?

— W naszęj Spółce, robotnicy stosunkowo mają się lepiej, ale to kropla w morzu. Była już u mnie delegacya Związku robotników i zażądała pieniędzy na rzecz ich kasy.

— Cóż? Daliście?

— Odmówiłem, bo na pijatykę nie chcę dawać, i ci naczelnicy nie budzą we mnie zaufania.

— Cóż oni na to?

— Grożą, jak zwykle. Kazałem też pilnować fabryk, przyrządów, domów, bo robotnicy to proch palny, lada iskra rzucona przez lada kogo, i wybuch gotowy.

— Jest agitacya? jakieś zorganizowanie?

— Niby, jednak to dopiero kiełkowanie czegoś, gdyby to był normalny, zdrowy ruch społeczny, tem lepiej dla nas; ale to zdaje mi się, zwykły wyzysk sprytniejszych, nic więcej.

— Cóż na to żydzi?

— Drwią i słusznie.

— Jednak z tymi żydami może źle się skończyć; chłop cierpliwy, ale mściwy, mówi przypowieść. Kto wie, czy nie doczekają się tego, że nagle pewnego dnia zerwie się burza, i zwieje ich jak zeschłe liście z drzewa, to będzie straszny dzień sądu i kary.

— Sami idą w tym kierunku, bo wyzyskują wszystko i wszystkich haniebnie, wyodrębniają się z rozmysłem, i drażnią bez miary. Nędza Galicyi, to przedewszystkiem ich robota i ich wyzysk.

— Dziwne zaślepienie, — rozmyślał profesor, — bo przecież doświadczyli następstw takiego postępowania w Egipcie, skąd ich wypędzono bez względu na wiek i płeć.

— Tyle lat.... zapomnieli!

W najbliższe święto po obejrzeniu wszystkich zakładów Spółki, zawiózł pan Floryański swego gościa do fabryki rafineryi nafty, a po zwiedzeniu zapytał:

— Teraz profesorze, czekam twego sądu.

— Czy mam być szczery?

— Proszę o to.

— Hm.... Widzi pan, z całości odniosłem wrażenie, że wy budujecie bardzo wspaniały i piękny okręt, jednak nie zbadaliście wody, po której on ma płynąć.

— Nie rozumiem.

— Uważa pan... Galicya to mały, ubogi kraj, to płytka, często bagnista woda i wy z waszym wspaniałym okrętem możecie utknąć, a żydowskie łódki popłyną dalej.

— To już pesymizm!

— *Ut falsus vates sim*, — zacytował profesor wzdychając.

— Panie administratorze, — zawołał dyrektor wbiegając do pokoju, — surowica przestała płynąć!

— Surowica? Zostawiłem przecież trzy pełne zbiorniki surowej nafty w Schodnicy. Telefonuj pan!

— Drut zerwany!

— Tak??? W takim razie pękła gdzieś rura i przerwała drut obok biegnący.

— Prawdopodobnie.

— Jedźmy profesorze do Schodnicy, ach gdyby oni tam dowiedzieli się w czas o tem.

— Duża strata?

— Około stu tysięcy, jeśli wypłyną zbiorniki.

— Niema czasu do stracenia, jedźmy!

W zbiornikach zaledwie małą część surowej nafty zatrzymano kranami, reszta spłynęła rurą rozbitą przez wzburzonych robotników borysławskich.

Profesor, słuchając sprawozdania z przebiegu przyczyn i następstw mściwego rozerwania rur mruknął z westchnieniem:

— To pierwsza mielizna!

XXXI.

— Przyszedłem wcześniej dzisiaj, czy jesteś zadowolona Zosiu? — mówił pan Haecht, witając narzeczoną w małym saloniku.

— Więcej aniżeli kiedykolwiek, byłam bardzo niespokojna o ciebie i już chciałam prosić Karola, aby pojechał do ciebie, i przywiózł mi wiadomość.

— Skądże ten niepokój bardzo pochlebny i miły dla mnie?

— Zdawało mi się, że już nie żyjesz.

— Aż tak dalece!? — zaśmiał się: — Czy byłabyś przesądną?

— Miałam straszny sen, ale tak wyraźny, tak tchnący rzeczywistością i prawdą, że do tej chwili jestem pod jego wrażeniem i dziwię się i cieszę, że cię oglądam zdrowego i żyjącego.

— Zaraz przekonam cię moja najmilsza, że wiara w sny i przeczucia, to tak dobry przesąd, jak niechęć do liczby trzynaście. Wpierw jednak opowiedz mi twój sen, i może pozwolisz mi usiąść — mówił wesoło, całując jej białą rękę.

Usiedli oboje blizko na kozetce, a pan Haecht pieszcząc jej rękę rzekł:

— Opowiadaj Zosiu, będę słuchał, ale twej rączki nie puszczę.

— Jak się zaczął mój sen, nie pomnę. Wyobraź sobie pokój wielki, pięć razy, sześć razy większy od tego... pełen jasnego, dziennego światła, białe ściany, duże okna, ale prawie pusty. Stołek, czy stół w kącie, ławka przy ścianie, i nic więcej. Wiem, widzę, doznaję takiego uczucia, jak gdyby to było nasze, a przecież jakież to dla mnie obce, nowe, nieznane. Stoję na środku bezradnie, niby oczekując na coś, niby szukając czegoś zapomnianego. Po pokoju chodzi mój ojciec zamyślony, milczący, smutny, ze spuszczoną głową. Nie rozumiem, dlaczego nie zdaję sobie sprawy, nie dziwię się, że twarz ojca jakaś inna, wydłużona, bez zarostu, chuda... Ogromne, szerokie podwoje stoją rozwarte na oścież, za niemi kawałek przyćmionego nieba, powietrze ciche, uroczyste, bez oddechu, trochę mroczne, jak kiedy słońce schowa się za większy obłok. Widzę w jednej i tej samej chwili, stanąwszy za rozwartemi drzwiami, na prawo, u ściany, że dom nasz stoi na niewielkiem wzgórzu, i że dokoła niego rozpościera się płaszczyzna bezmierna, zrzadka tu i owdzie zasiana białemi, murowanemi siedzibami ludzkiemi, nie mogę odgadnąć dlaczego ludzkiemi, skoro ani okien, ani dachów nie było na nich widać. Pusto, bezludnie wszędzie, tylko zdala na całej przestrzeni słychać wyraźne, ostre, aczkolwiek zresztą pod żadnym względem nie przykre, owszem zwyczajne, otuchy niemal dodające psów szczekanie—długie, ciągłe, nieustające...

— Nic dziwnego Zosiu, musiał pies ujadać pod oknem, w ogrodzie, a inne mu odpowiadały — uśmiechnął się.

— O nie, nie... słuchaj co się stało dalej. Patrzę, i nagle spostrzegam o jakie kilkadziesiąt kroków...

— Co tobie? Drżysz cała, blada jesteś, ależ uspokój się. Zosiu, moja najmilsza, najdroższa.

— To nic, to tylko teraz wydaje mi się takie okropne, wstrętne, brudne... we śnie nie uczułam najmniejszego przerażenia, skamieniałam, byłam całkowicie spokojna, wiedziałam na pewno, że już po mnie, że zginę niechybnie, że ginę...

— Moja ukochana, to opowiadanie rozdrażnia ciebie, daj spokój, nie mówmy o tem.

— Przeciwnie ty i przedewszystkiem ty musisz mnie wysłuchać,—zawołała rumieniąc się.

— Ależ słucham, cóż dalej?

— W tym śnie musi być prawda jakaś, przestroga, to świat niewidzialny stał się dla mnie we śnie widzialny.

— Zaciekawiasz mnie, mów!

— Nic nie zmyślam, nic nie dodaję... Po drodze przed nami, na nasz dom, pędził jak wicher, prosto ku nam żubr olbrzymi, straszny, wściekły... wydał mi się zdaleka zwinnym, silnym, barczystym... Potężne, zwoiste rogi na łbie; wypukłe błyszczące źrenice... nagle uskoczył w bok trochę... i teraz najdokładniej, najwyraźniej, w jednem mgnieniu oka spostrzegłam, że to nie był żubr... Nie miał łba, tylko gatunek—ot takiej, niby pokrywy plugawej kadzi; coś w rodzaju tarana osiekającego, pieniącego się; coś jak tarcza mięsista, płaska, kudłata, skorupiasta—najeżona tysiącem kłów i wąsów, barwy ciemno-ryżej, śliskiej, ohydnej, zerkającej, i na jednym z kłów wisiało coś białego, martwą białością, z przyklejonymi włosami, ociekłego brudną masą. Z tym łbem kadłub... cielsko olbrzymie, wydęte, klocowate, pokarbowane, oślizłe, miękkie, czołgające się po ziemi, o trupim, zgniłym kolorze potwornego raka... Parło to najprościej w kierunku drzwi przy mnie. Rozległ się zduszony łomot. Tuż przedemną, cudem jakimś, nie dotykając mnie wcale, wciskał się ten potwór w podwoje, z syczeniem i szelestem niewypowiedzianie odrażającym, żebra, boki, klejby, łapy, monstrualnego tego pluskwo-wołu—mokre, czerwone, kosmate, odurzająco cuchnące. Parło się to w drzwi widocznie ciasne — i kurczyło się, uginało, grzebiąc się, chwytając wstrętnemi racicami za próg. We mnie nic nie drgnęło, nic nie zamarło, oburącz tylko usiłowałam odepchnąć od siebie połówkę podwoi, które mię teraz zaczęły przypierać do ściany, oddechu, powie-

trza mi brakło, chociaż zaczął przez drzwi przezierać błękit nieba i promienie łagodne, powiewne, gojące i uśmierzające. W pokoju za mną zalegała cisza grobowa, głęboka, bezmierna... Przypomniałam sobie, że na jednym z kłów coś wisiało... spojrzałam... i w tej chwili ten wstrętny potwór rzucił na środek pokoju coś białego, okrągłego, splamionego ciemną masą... to było żyjące, drgało, patrzało głębokimi oczo-dołami, i poznałam... to była twoja ukochana głowa, twoje rysy, twoje włosy...

Wybuchła łkaniem gwałtownem, on trochę zmieszany, zaniepokojony, tulił ją szepcąc:

— To tylko sen, to dzieciństwo, przecież żyję, kocham cię, tulę do siebie...

— Nie, nie, w tem jest rzeczywistość, jej przeczucie...—mówiła załzawiona i pełna smutku.

— Ale jaka?—uśmiechnął się z przymusem.

— Nie wiem, może ten potwór, to owa nienasycona gorączka milionów, która zabiła mego ojca; może to jakaś dżuma, epidemia grożąca wszystkim; może to jakiś człowiek straszny, bezwzględny, okrutny...

— Dzieciństwo! Na twoją pociechę powiem ci, że skończyłem z Krausbergiem jeden interes, a zawiązałem drugi.

— Jaki?

— Zapłacił mi dziś resztę należności dwadzieścia pięć tysięcy, a teraz piszą u notaryusza nowy kontrakt.

— ??

— Przyjmuję u niego miejsce dyrektora za pięć tysięcy rocznie, i wszystkie odpadki z fabrykacyi cerezyny są tylko moją własnością, w ciągu kilku lat będziemy mieli miliony, prawdziwe miliony.

— Jakim sposobem?

— Z tych resztek fabryki, wyrzucanych na hałdy, już osiągnąłem siedem procent cerezyny, czyli przy przeróbce 20,000 centnarów wosku, mam na czysto tysiąc czterysta centnarów cerezyny płaconej dziś po sto guldenów.

— I Krausberg się zgodził?

— Z wielką chęcią, gdyż nie wie, że mam sposób wydobycia czystej cerezyny z wyrzucanych resztek fabrykacyi.

— Ach, tak się boję tego Krausberga, już ci mówiłam, że on zgubił mego ojca.

— Ale mnie nie zgubi! — zaśmiał się. — To zemsta losów, logika przeznaczenia, zabrał ojcu majątek, odda dzieciom dziesięćkroć.

— Ach mój drogi, mój miły, czy nie mógłbyś ominąć tego Krausberga i jego fabryki? Taki niewytłómaczony lęk mnie ogarnia, tak się boję...

— Dzieciństwo! Jesteś rozdrażniona, zdenerwowana snem, ale to minie — i całował jej ręce wpatrując się rozkochanym wzrokiem w jej twarz pobladłą i smutne oczy: — Jakaś ty zawsze piękna, dobra, słodka... Kocham cię w radości i smutku, w szczęściu i cierpieniu, tu na ziemi i tam za grobem, boś ty mojem marzeniem, rozkoszą, życiem, wszystkiem!

Słowa jego miłości i zachwytu ukołysały jej niepokój, i już uśmiechnięta przemówiła weselej:

— Chciałabym, abyś i po ślubie zachwycał się mną tak, jak teraz, ale...

— Zawsze, zawsze będziesz dla mnie najmilszą, najukochańszą! Twemi oczami chcę patrzeć na świat, twem sercem odczuwać i razem, nierozdzielnie iść z tobą nietylko przez to życie, ale i tam w zagadkowym i tajemniczym świecie duchów — znów całował jej ręce, co raz namiętniej.

— Dosyć, dosyć mój panie — śmiała się usuwając ręce,— wracajmy do rzeczywistości.

— Tyś moją rzeczywistością i marzeniem, i chcę, byś jaśniała jak brylant najkosztowniejszy, którego zazdrościliby mi wszyscy i każdy nim się zachwycał.

— Pragnę tylko twego zachwytu.

— Czyż nie odczuwasz, jak dalece jestem oczarowany twą pięknością i dobrocią?... Ale świat podziwia drogie kamienie wówczas, gdy są oprawiane w złoto, i ja cię obsypię i zasypię złotem uczuć moich i złotem zdobytem moją pracą.

— Słuchając ciebie, mam złudzenie, że istotnie nasza przyszłość będzie jasną, bez chmur i burzy.

— I taką będzie, boś ty dla mnie słońcem, tym błogosławionym i dobroczynnym promieniem, od którego taje mróz rozczarowań, przykrości i egoizmu.

— Mówisz jak poeta.

— Może jestem poetą w uczuciach, ale w życiu jestem praktyczny.

— A dowody? — uśmiechnęła się.

— Mam w tej chwili 60,000 guldenów, z tych dziesięć wyniosą koszta przyrządów do uzyskania cerezyny z resztek fabrycznych, a dwadzieścia przeznaczam na urządzenie wewnętrzne naszego domu, już część pokojów jest wytapetowana i posiada nowe posadzki,

meble zamówione, czy jeszcze ci mało mej praktyczności?... Pozostaje mi trzydzieści tysięcy, i mam wielką prośbę do ciebie, przyrzeknij, że spełnisz, proszę cię o to.

— Nie wiedząc jaką, nie mogę się zobowiązać; ale powiedz, jeśli tylko będę mogła, chętnie ją wypełnię.

— Wiesz, nie mogę być stróżem moich pieniędzy, pilnować ich i bać się złodziei, otóż one sprawiają mi ten wielki kłopot, zechciej więc przyjąć je i rozrządzaj niemi, jak własnymi.

— O co to, to nie! Pieniądze te są twoje, a nawet jako żona nie będę niemi rozrządzała, nie mieszaj do naszych uczuć kwestyi pieniężnej.

— Zosiu, proszę cię, błagam, weź!

— Ach jaki ty dziwny!? Czy nie rozumiesz, że ja jako biedna, bezposażna, nie przynosząca żadnych pieniędzy do wspólnej kasy, nie mogę nic przyjąć. Te pieniądze piekłyby mnie, bolały, drażniły, zdawało by mi się, że mnie kupiono, zapłacono mi moją miłość, że masz do mnie prawa właściciela... Nie, nie przyjmę.

— Ależ Zosiu, przecież nasz ślub za sześć tygodni, ty powinnaś dbać o nasz wspólny majątek...

Weszła pani Bratkowska, a widząc córkę zarumienioną, a narzeczonego z wyrazem prośby na twarzy, spytała z uśmiechem:

— Czy zaczynają się już spory? Może zawcześnie?

— Pani jako praktyczna osoba,—przemówił chemik,—zechce rozstrzygnąć sprawę między nami.

— Wiem doskonale, że mama...

— Przepraszam, — zawołał narzeczony, — wpierw ja przemówię, bo ja oskarżam. Otóż mojem zdaniem, żona powinna ponosić przykrości na równi z mężem, jako mąż mam na głowie fabrykę, mam urządzenie mieszkania, zaś moja przyszła żona, powinna przynajmniej strzedz przed możliwą utratą pieniądze zarobione, czy nie tak?

— Zgadzam się z panem, o cóż idzie?

— Tymczasem napróżno proszę mej przyszłej żony, aby się podjęła tego obowiązku, i wzięła w swoją opiekę odebraną dziś sumę trzydziestu tysięcy, odmawia i naturalnie stanie się przez to przyczyną naszego zubożenia; a teraz czekam wyroku — uśmiechnął się tryumfująco.

— Jestem tak pewną, że mama będzie po mej stronie, iż nie przemówię w mej obronie.

— Poglądy pana na obowiązki małżonków są bardzo słuszne i sprawiedliwe,— zaczęła pani Bratkowska, — i miałabym za złe Zo-

si, gdyby się usuwała od ich spełnienia, ale zachodzi w tym wypadku, ta okoliczność, że nie jesteście po ślubie, ona nie jest jeszcze żoną, a pan mężem... więc ona ma słuszność.

— Tego nie spodziewałem się zupełnie,— zawołał prawie zgorszony, — nasza miłość i dane słowo są ważniejsze od ślubu!

— Może, i o to nie będę się spierała, ale tytuł i prawa żony liczą się dopiero od chwili ślubu.

— Wiedziałam, że mama tak zdecyduje.

— Zatem zgoda, — powiedział całując rękę pani Bratkowskiej, — wyrok przyjmuję, bo nie mam wyższej apelacyi; jednak w takim razie proszę panią, jako naszą matkę, abyś wzięła te pieniądze na przechowanie, bo istotnie mogą zginąć z mego mieszkania.

— Czy nie ma pan kasy? jakiego schowka?

— Za mało pieniędzy na kasę ogniotrwałą — zaśmiał się swobodnie,— a o pożar fabryki tak łatwo, i moje otoczenie nie wzbudza we mnie zaufania.

— Mama może przyjąć, sama nawet pomogę pilnować, ale ja nie wezmę.

— Oto są, proszę pani, proszę przeliczyć, — mówił podając pakiet papierów, — wziąłem je dziś od Krausberga.

— Od niego?.... Jego pieniądze nie przynoszą szczęścia, — westchnęła, przypomniawszy sobie męża.

— To już zakrawa zupełnie na przesąd,—zaśmiał się z ironią,— Krausberg nie jest zły człowiek, to zwykły typ handlarza dorabiającego się pieniędzy; zimny, oszczędny, rachunkowy...

— Pan go nie zna, tak jak my, — odezwała się matka, — on przynosi ze sobą nieszczęście.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Ja wierzę jednak, że są ludzie, którzy dla swego otoczenia są błogosławieństwem, a inni przekleństwem — mówiła zamyślona panna Zofia.

— To zależy od ich etycznego wykształcenia, — rzekł chemik tonem wyjaśnienia.

— A mnie się zdaje,— zaczęła panna Zofia — że prócz etyki działa tu jakaś inna siła, bo są przecież w dziejach ludzie, którzy na kształt dżumy, siejąc potworne zbrodnie, przeszli przez ludzkość, zostawiając za sobą krwawy pas nieszczęść, taki Kaligula, Neron, Torskwemada, książe Alba... i tylu, tylu innych.

— Wyrzutki albo maniacy.

— Nie sądzę, bo jeśli na ziemi, w naturze samej, istnieją miej-

scowości, któreby można nazwać siedliskiem cierpień, chorób i śmierci, mogą być i tacy ludzie.

— Metafizyka! — uśmiechnął się z pobłażliwością. — Miejscowości takie są uwarunkowane glebą, klimatem, prądami powietrznymi, a tacy źli ludzie są wytworem środowiska, wśród którego żyją, i rodzajem zajęcia, któremu się oddają.

— Zosiu daj mi pióro — odezwała się pani Bratkowska ukończywszy liczenie pieniędzy, — chcę napisać kwit dla pana Haechta.

— Kwit? W jakim celu? — spytał.

— Poświadczający przyjęcie tej sumy na przechowanie i zarazem moje zobowiązanie oddania tej sumy na każde zażądanie.

— Przecież pani matką, a pieniądze należą do córki, a mojej przyszłej żony.

— Może tak będzie, ale czy kto z nas wie, co nas czeka?

— Mnie szczęście! — mówił patrząc rozkochany na narzeczoną.

— Pana może, ale ja mogę dziś umrzeć, za godzinę, i zawsze bezpieczniej zostawić dowód.

— Ma pani słuszność, zapomniałem nawet o śmierci, tak mi teraz dobrze, taki jestem szczęśliwy.... Ostrożność jednak nie zawadzi nigdy.

Po otrzymaniu pokwitowania rzekł.

— Pozwoli mi pani papieru i pióra, mam napisać słów kilka.

— Proszę pana, tu na biurku...

Siadł, i na wszelki wypadek rozporządził całym swym majątkiem, a tegoż dnia przy podpisaniu sześcioletniej umowy z p. Krausbergiem u notaryusza, zażądał od tegoż poświadczenia swego podpisu.

XXXII.

Pan Lejzor Krausberg wracając z Wolanki wstąpił do swej fabryki. Z bramy skręcił na lewo do biur i rękami zgrabiałemi z zimna otworzył drzwi do pokoju wielkiego, z białemi ścianami, o trzech oknach przez które wpadało światło dnia zimowego. Na środku pokoju stał wielki stół dla pisarzy, i jedno biurko stare pod ścianą dla samego właściciela.

Pokój mimo rozpalonego pieca, z powodu nagości ścian, ubóstwa sprzętów, białego światła odbitego od śniegu, robił wrażenie jakiegoś zimna, chłodu, smutku i opuszczenia.

Z trzech pisarzy, siedział przy stole jeden, zgarbiony nad papierami.

— Szaja gdzie tamci? — spytał właściciel wskazując na puste krzesła.

— Jeden liczy krążki cerezyny, a drugi pojechał za interesem fabrycznym do miasta.

— Co ty robisz Szaja?

— Piszę list z obstalunkiem kwasu siarkowego.

Fabrykant zbliżył się i przez ramię piszącego odczytywał list, spostrzegłszy na stole list w zamkniętej kopercie, spytał:

— A to co za list?

— Przyniósł go dyrektor, aby wysłać z naszemi listami.

— Ty nie wiesz Szaja, — mówił biorąc list w rękę i odczytując adres, — czego chce dyrektor od fabryki Sprengla.

— Ja nie wiem.

Panu Krausbergowi zaświeciły się oczy z ciekawości, nie mógł rozstać się z listem. Co może dyrektor van Haecht pisać do fabrykanta? Może zdradza jego fabrykę? Donosi o nadużyciach mieszania do cerezyny gipsu, kaoliny... może napisał o miejscach zbytu... Różne podejrzenia snuły mu się po głowie, i postanowił bądź co bądź ten list odczytać. Spojrzał na pisarza z niedowierzaniem:

— Szaja daj mi twój list; ja sam oddam na pocztę, i jeden i drugi.

— Zaraz panie Krausberg.

Odbierając list z rąk pisarza, wydał rozporządzenie:

— Szaja, kiedy kończysz twój list?

— Już skończony, tylko wybiję nasz stempel.

— Szaja, idź i zawołaj mi tu Icka.

— A jeśli on nie skończył zapisywania cerezyny, co on zrobi?

— Ty Szaja, możesz go zastąpić.

— Po jego wyjściu, patrzał uporczywie w list dyrektora, świdrując oczyma kopertę, wreszcie uległ palącej go niecierpliwości, wyjął scyzoryk i rozciął kopertę. Dyrektor van Haecht pisał do fabryki Sprengla .....dostarczony mi siarkek węgla był za słaby do ekstraktowania cerezyny, proszę o przysłanie silniejszego, bardziej skoncentrowanego...

Na co ten siarek węgla, zrozumiał pan Krausberg natychmiast, on go używa do eksploatacyi resztek fabrycznych. Westchnął z żałością i uśmiechnął się gorzko na myśl, że jego własny wosk, taki drogi, zdobywany z takim trudem, służy drugiemu do wzbogacenia się, ten van Haecht okrada go przecież, wyzyskuje okropnie,

bo to własność fabryki, wszystko powinno należeć do niego, do Krausberga. Bolały go nietylko zarabiane przez dyrektora pieniądze, ale jeszcze bardziej, że on Krausberg, którego nikt, nigdy nie wywiódł w pole, którego współwyznawcy nawet obawiali się i uznawali spryt nadzwyczajny, który od samego Floryańskiego umiał wyciągnąć pieniędzy, on, Krausberg został przechytrzony przez takiego młodego inżyniera! Zapłacił mu nietylko pięćdziesiąt trzy tysięcy guldenów, ale zrobił z nim umowę na sześć lat, odstępując mu resztki fabryczne, na których ten przebiegły człowiek zarobi miliony, te miliony kradnie w jasny dzień, zupełnie prawnie, i on musi na to patrzeć, widzieć tryumf tego człowieka.

Czuł się głęboko upokorzony, stracił wiarę w siebie, zaufanie w swój rozum i szczęście. Nienawidził tego człowieka i do szału gniewu doprowadzała go myśl, że bezczynnie musi patrzeć na wyzysk dyrektora, bo jest bezsilny.

Wszedł Icek pisarz, nizki, z twarzą szeroką, z zarostem rudym, kępiastym, spojrzał małemi, zielonkowatemi oczkami badawczo na właściciela pytając:

— Co pan Krausberg każe?

— Ja chcę wiedzieć, czy napisałeś już do Wurma, że niżej 105 guldenów nie oddam mojej cerezyny.

— Wczoraj poszedł list.

— Czy ty Icek zważyłeś moją cerezynę?

— Ja już zważyłem panie Krausberg, i cerezynę pana i dyrektora.

— Ile jest na składzie?

— Jest panie Krausberg naszej dziewięćdziesiąt siedem, a dyrektora pięćdziesiąt trzy centnary.

— Ty się mylisz Icek, on ma tyle cerezyny? To nie może być.

— Panie Krausberg tak jest, ja się nie mylę, mnie samego serce boli, ale on ma tyle za dwa tygodnie fabrykacyi.

— Czy ty wiesz Icek, że on za dwa tygodnie zabrał z naszej fabryki pięć tysięcy trzysta guldenów!

Uśmiech złośliwy zamigotał na szerokich ustach, podniósł twarz piegowatą w górę i rzekł:

— Panie Krausberg, on zarobi na pańskiej fabryce miliony, taki Francuz, taki goj chrześciański.

Fala nienawiści, gniewu, pasyi, zazdrości napłynęła tak silnie na pana Krausberga, że ciemna twarz jego zżółkniała, zatrząsł się,

odetchnął głęboko, jak w obawie uduszenia i zamruczał srogie przekleństwo. Mimo chłodu panującego poczuł gorąco, rozpiął chałat, a gdy i to nie pomogło, aby siebie uspokoić, szukał czapki, by wyjść na podwórze.

— I pomyśleć panie Krausberg, — zaczął Icek pokornie, ale tonem bardzo szczerej zazdrości, — że pięć kociołków, ogrzewanych naszą parą, w naszej fabryce, dają mu taki dochód, to można zwaryować.

— Ty Icek masz racyę! — mruknął.

— Żebym ja tylko wiedział, co on leje do asfaltu naszego, ja sam zrobiłbym cerezynę!

Pan Krausberg, będąc już blisko drzwi, spojrzał z ciekawością na pisarza mówiąc:

— Jak ty się dowiesz Icek, ty zrobisz?

— Zrobię panie Krausberg, a jeśli nie ja to Srul dozorca, on mi to sam mówił, bo nas boli wszystkich ten jego zarobek.

Na podwórzu fabryki, zawalonem śniegiem brudnym, porzniętym kołami, osypanem pyłem węgla stanął pan Krausberg i patrzał wokoło bystrem okiem, czy gdzie nie wyśledzi nadużycia.

W głębi spostrzegł stojącego dyrektora van Haechta, odwrócił się od niego z pogardą i nienawiścią.

Robotnicy, otulając się w kożuchy i świtki, wychodzili z fabryki, ociężali, senni, smutni.

Właściciel skierował swe kroki do magazynu.

— Nu Szaja, co robisz? — spytał pisarza.

— Ja zapisuję panie Krausberg.

— Co ty zapisujesz Szaja?

— Ja już zapisałem panie Krausberg dwieście centnarów wosku, to ładny majątek, szkoda, że on cały nie należy do pana Krausberga.

— Jakto nie należy? Szaja to mój wosk!

— Ja to wiem, ale cerezynę zabiera i dyrektor.

— Bodajby on przepadł, — mruknął właściciel z zawziętością.

— Bodaj przepadł, — powtórzył pisarz jak echo.

Dzień zimowy miał się ku końcowi, chmury na niebie zaczęły nabierać fioletowego koloru, prusząc lekkim śniegiem. Pan Krausberg przechodząc spotkał dyrektora.

— Dobrze, że spotykam pana, panie Krausberg, chciałem uprzedzić pana, że przez dwa dni nie będę w fabryce.

— A dlaczego panie dyrektorze?

— Jutro mój ślub.

— Z panną Bratkowską?

— Tak. Czego się pan tak dziwi?

— Pan dyrektor robi zły interes, ta panna niema posagu.

— Za to ja mam pieniądze. Za sześć lat będę miał milion, co najmniej.

— Jakto panie dyrektorze?

— Bardzo prosty rachunek. Z ostatniego ekstraktowania resztek mam już dziewiąty procent, a doprowadzę napewno do dwudziestego, a gdy zwiększymy ilość wosku surowego do trzydziestu tysięcy, będę miał mojej własnej cerezyny sześć tysięcy centnarów.

— To jest bardzo piękny interes — zaśmiał się nerwowo pan Krausberg.

— Zobacz pan teraz, jak świetnie działają moje filtry — mówił dyrektor idąc w kierunku budynku fabrycznego.

— Ja mogę zobaczyć panie dyrektorze.

Weszli do oddziału filtrów, pan Krausberg niebardzo rozumiejąc urządzenia potakiwał rozmownemu dyrektorowi, którego podniecała blizka chwila ślubu z ukochaną. Od filtrów przeszli do kotłów z woskiem rozgrzanym do 320°.

— Panie dyrektorze, ja nie mogę — wołał pan Krausberg — mnie tu dusi.

— Za chwilkę wyjdziemy, muszę zobaczyć, czy nie zapaliły się gazy w kotłach.

Szedł dalej, prowadząc za sobą pokaszlującego właściciela.

Weszli na platformę.

Dyrektor van Haecht zbliżył się do wrzącego kotła, który zwolna miał ostygnąć do 160 stopni, umożliwiających przeniesienie cieczy do filtrów. Stanął nad nizką baryerą, zatykając usta chusteczką, by bezpośrednio nie wdychać zamraczających gazów, obok stał pan Krausberg wpatrując się w brudną ciecz kotła.

— Chodźmy, — rzekł dyrektor—płomyki nigdzie nie błyszczą.

— Panie dyrektorze, zdaje mi się, że tam się pali — zawołał pan Krausberg nachylając się nad kotłem.

— Gdzie?

— Tam, na prawo...

Dyrektor wychylił się do połowy ciała przez nizką baryerę, i nagle nogi oparte na oślizłej blasze posunęły się i pan van Haecht

został własnym ciężarem przerzuconym na stronę kotła. Jedną ręką chwycił się krawędzi kotła i zawisł na chwilę. Twarz jego wyrażała straszną, przedśmiertną walkę, była w niej obawa, strach, rozpacz i prośba o pomoc.

Pan Krausberg już wyciągnął rękę, zniżył się, ale w jednej sekundzie wyprostował się, patrzał bezlitośnie na spadającego, potem odwrócił się i wyszedł zwolna innemi drzwiami mrucząc:

— Bóg tak chciał.

Artur Gruszecki.

KONIEC.



Jan Wolfgang Goethe

(w setną pięćdziesiątą rocznicę urodzin poety).

Wielki ten poeta należy do zjawisk rzadkich nietylko w niemieckiem, lecz i w powszechnem piśmiennictwie, jeżeli bowiem rozmaici poeci rozmaitych czasów i narodów przewyższają go potęgą talentów na poszczególnych polach twórczości poetyckiej, (tak np. Szekspir, jako dramaturg), to wszakże stoi on samotny na niedosięgłej wyżynie, jako taki, co na wszystkich polach stworzył rzeczy niepospolite i jak żaden inny poeta, w ojczystem piśmiennictwie rozpoczął nową erę i wywarł olbrzymi wpływ na literaturę wszystkich niemal narodów świata, utwory jego bowiem nawet na języki turecki i chiński przekładane były. Zjawisko to nie daje się wytłómaczyć samym talentem Goethego, pomimo całej jego potęgi; przypisać je raczej należy pewnej właściwości ducha poety, polegającej na rozwoju wszystkich jego sił i doskonałem ich zharmonizowaniu się. To też wielkość Goethego najwyraziściej zarysowuje się przy zestawieniu go z Rafaelem, który podobnież wielkim malarzem był dlatego, że w nim wszystkie poszczególne właściwości jego talentu rozwinęły się w równym stopniu i w dziełach jego pojawiły się wszystkie w doskonałej harmonii... żadna z nich nie występowała silniej ze szkodą innych. Podobnie, jak u Rafaela założenie i wy-

konanie, ogólna kompozycya i wykończenie szczegółów, rysunek i koloryt, wyraz twarzy i postawa występujących osób, jednem słowem wszystko taką odznacza się doskonałością, że byłby on już bez wątpienia wielkim artystą, gdyby jedną tylko z tych zalet posiadał, każda zaś z nich zyskuje jeszcze na znaczeniu, stanowiąc organiczną część całości i nie wyróżniając się z niej bynajmniej, wraz z niemi w harmonijną doskonałość się zespala — tak i u Goethego rozwój i ścisłe zlanie się wszystkich jego sił duchowych nadaje jego poezyi ten niepospolity urok i ponad wielu innych poetów go wynosi.

Spróbujemy udowodnić to następnie obszerniej, przedtem wszakże zwrócimy uwagę na dzieje jego życia.

Jan Wolfgang Goethe urodził się w dniu 28 sierpnia 1749 roku we Frankfurcie na Menem, gdzie jego ojciec, doktór prawa, obdarzony tytułem radcy cesarskiego, wiódł spokojny żywot zamożnego obywatela. Jakkolwiek był on wszechstronnie wykształcony, zajmował się nauką, poezyą i sztuką, z powodu swej powagi i surowości nie umiał pozyskać takiego wpływu na syna, jak matka, córka miejskiego burmistrza Textora, której pogoda ducha, wesołość i żywa wyobraźnia, tem większe jeszcze na pierworodnego syna musiały wywierać wrażenie, że sama ona była jeszcze niemal dzieckiem, liczyła bowiem w dniu jego przyjścia na świat zaledwie lat dziewiętnaście. Po ojcu odziedziczył poeta zamiłowanie piękna formy, siłę woli, a zwłaszcza to niepospolite dążenie do nadania każdéj rozpoczętej pracy możliwej doskonałości, po matce zaś pogodę ducha i żywą wyobraźnię [1]); ruchliwe życie ojczystego miasta, jego pomniki, odznaczające się i dziejową i artystyczną wartością, a przytem takie uroczyste wydarzenia, jak np. koronacya Józefa II-go, nie pozostały również bez wpływu na małego chłopca, który już w młodocianych latach, dzięki zamiłowaniu do czytania, posiadł mnóstwo wiadomości. Napastujące go w dziecinnym wieku choroby, odrywające od książek i zabaw oraz wyrabiające w nim skłonności do rozmyślań, umocniły w nim jeszcze te nabyte wiadomości. Młody Goethe poczynał ósmy rok życia, kiedy wybuchła wojna siedmioletnia, która również w pewnym stopniu przyczyniła się do ukształtowania jego umysłu. Kiedy bowiem Francuzi w 1757 roku zajęli Frankfurt,

---

[1]) Vom Vater hab' ich die Statur,
Des Lebens ernstes Führen,
Vom Mütterchen die Frohnatur
Und Lust zum Fabuliren.

a w domu rodziców Goethego zakwaterował się królewski komisarz hrabia Thorane, wielki miłośnik sztuk pięknych, poczęli go odwiedzać liczni artyści-malarze z Frankfurtu i Darmstadtu, u których hrabia mnogie poczynił obstalunki. Młody Goethe, który i przedtem niejednokrotnie odwiedzał pracownie frankfurckich artystów, bywał obecny i przy zamawianiu obrazów i przy wydawaniu sądu o nich, miał sposobność swoje zdanie wypowiadać, dzięki czemu poczucie piękna i zmysł krytyczny szybko się w nim wyrabiały. W ciągłych stosunkach z hrabią Thorane i jego otoczeniem, nabrał wielkiej wprawy w języku francuskim, którym odtąd biegle władać począł; jeszcze więcej korzyści odniósł z odwiedzania teatru francuskiego, dzięki czemu tak się rozmiłował w sztuce dramatycznej, że począł w niej sił swych próbować, jako poeta i aktor. Babka Goethego posiadała teatr maryonetek, dla którego tworzył on sztuki i wystawiał je wraz z towarzyszami zabaw swoich.

Wraz z zawarciem pokoju i do domu rodziców przyszłego poety powrócił spokój i zwykły porządek. Ojciec nastawał na regularny tryb zajęć i gruntowne nabycie niezbędnych wiadomości. Języki, muzyka, rysunki były głównymi przedmiotami nauki. Pomysł zapoznania się z językiem hebrajskim był z tego względu ważnym dla Goethego, że go zapoznał z życiem wschodu w czasach patryarchów, co go znów zachęciło do poetyckiego odtwarzania biblijnej historyi i charakterów, ogólnie tylko u Mojżesza zarysowanych. Jak jeszcze podczas pobytu Thorane'a zajmowały go historya Józefa i w obszerniejszej pracy nakreślił z niej dwanaście obrazów, z których parę przedstawił w owym teatrze maryonetek, tak obecnie temu samemu przedmiotowi poświęcił skreślony prozą epicki poemat, będący pierwszą jego poetycką próbą o większym zakroju. Ów religijny kierunek wzmocnił się w nim jeszcze po zapoznaniu się z Messyadą Klopstocka, co właśnie w tych czasach nastąpiło, oraz dzięki stosunkom z zaufaną przyjaciółką jego matki, panną von Klettenberg, której wdzięk w połączeniu z głęboką i szczerą religijnością oddziałał silnie na wrażliwy jego umysł; jej to pamięć w późniejszych latach poeta godnie uwiecznił w „Wyznaniach pięknej duszy". W tym też mniej więcej czasie powstały jego ody treści duchownej, z których jedną p. t. „Poetyckie myśli o zejściu Jezusa Chrystusa do otchłani piekielnych", znajdujemy zachowaną w jego dziełach.

Nowym bodźcem poetyckiego nastroju, w jakim naówczas Goethe się znajdował, stała się miłość, która młodzieńczą jego istotę objęła tem potężniej, że była czysto duchowej natury; niedługo

wszakże sądzonem mu było upajać się pierwszemi jej wzruszeniami; przeciwieństwa, które stały się dlań źródłem licznych trosk i smutków, oderwały go od boku ukochanej; wspomnienie pierwszej tej miłości uwiecznił w postaci Klarci w Egmoncie, imię zaś jej (Gretchen) potomność w Fauście znajduje. W części przez ojca do tego zachęcony, w części zaś idąc za własnym popędem, począł się coraz bardziéj odosabniać od świata i jego rozrywek, przygotowując się z zapałem do wstąpienia na uniwersytet. Dla odpoczynku odbywał odległe wycieczki, wiele rysując po drodze; w tym téż czasie zbliżył się więcej do siostry swej Kornelii, późniejszej małżonki księgarza Schlossera. W jesieni 1777 r. udał się młody Goethe do Lipska, ażeby tam, stosownie do życzenia ojca, studyować umiejętności prawne, do których pod jego kierunkiem już się w domu był zaprawiał, — że mu jednak do usposobienia nie przypadły, nie zajmował się niemi wcale lub też im bardzo mało czasu poświęcał; z wykładających na uniwersytecie lipskim ani Gellert, ani Ernesti nie zajęli go na dłużej. Poznał za to, obcując z miejscowem towarzystwem, paru młodzieńców, których trafny sąd krytyczny odbił się korzystnie na poetyckiej jego twórczości. W wyższym jeszcze stopniu przypisać to należy nowej miłości, której najszczęśliwsze godziny życia zawdzięczał; przedmiotem jej było starsze od niego o parę lat dziewczę, obdarzone żywem usposobieniem i serdecznem uczuciem, interesujące się wszystkiem tem, co młodego poetę zajmowało. Pogodny ten stosunek, dzięki kaprysom i zazdrości Goethego, został niebawem doprowadzony do zerwania. Przezwyciężając ból, nurtujący w jego piersi, odtworzył tę kartę żywota swojego w komedyi „Kaprysy zakochanego", najstarszem z dochowanych jego dzieł dramatycznych, rozpoczynających kierunek, który go przedewszystkiem charakteryzuje: wszystkiemu temu, co go do głębi wstrząsało, nadawać kształt poetycki. Na tym samym gruncie powstali i „Współwinni", w których Goethe dał nam obraz ówczesnego mieszczańskiego życia, zewnętrznie wesoły i przyzwoity, smutny wszakże pod względem moralnym. Dzięki znajomości z Oeserem, który już przedtem znaczny wywarł wpływ na Winckelmanna, obudziło się w nim na nowo zamiłowanie sztuki; pod jego kierunkiem począł studyować znakomitsze dzieła, przedmiotowi temu poświęcone, i odbył wycieczkę do Drezna, ażeby, poznawszy znajdujące się tam arcydzieła sztuki, własny sobie o nich sąd wyrobić. Próbował nawet sił w miedziorytnictwie, nabawił się wszakże nieostrożnem wdychaniem szkodliwych wyziewów ciężkiej niemocy, od której czuł się niezupełnie jeszcze wol-

nym, opuszczając Lipsk, jako dziewiętnastoletni młodzieniec, w dniu swych urodzin, 28 sierpnia 1768 r.

Pobyt w rodzicielskim domu znowu nawiązał bliższe stosunki z panną von Klettenberg, że zaś jeszcze podczas choroby swej w Lipsku wiele się zajmował religijnemi rozmyślaniami, tem łatwiej udzielił mu się teraz jej nastrój mistyczny; namówiony przez nią począł studyować Teofrasta, Paracelsa oraz inne dzieła z zakresu mistyki i alchemii, a wkrótce potem zajął się robieniem doświadczeń. Aczkolwiek otaczały go w domu miłość i zupełne oddanie się matki oraz siostry Kornelii, coraz przykrzejszym z dnia na dzień stawał się stosunek z ojcem, który nie był zadowolony z jego postępowania, a mianowicie nie mógł mu wybaczyć, że się w Lipsku tak mało prawem zajmował, to też młody poeta chętnie zgodził się na propozycyę ojca, który mu poradził udać się do Strassburga i tam studya prawne kontynuować. Nastąpiło to z wiosną 1770 r.; pomimo to, iż teraz z większą pilnością studyował umiejętności prawne, pozostało mu wszakże jeszcze dość czasu na zajęcie się chemią i niektóremi gałęziami medycyny. Wzrastało w nim i zamiłowanie do sztuki, w części dzięki codziennemu obcowaniu ze wspaniałą katedrą, w części dzięki tej okoliczności, że podczas przejazdu przez Strassburg późniejszej królowej, Maryi Antoniny, miał sposobność oglądać obicia, wygotowane podług kartonów Rafaela. Niezwykłej wagi dla późniejszego jego rozwoju były i znajomości, które naówczas w Strassburgu pozawierał, tak np. wśród innych z Henrykiem Jungiem, który się następnie wsławił pod nazwiskiem Stillinga. Najbardziej wszakże w następstwa płodną okazała się znajomość z Herderem, dzięki któremu poglądy Goethego na sztukę wogóle i poezyę w szczególności zupełnemu uległy przeobrażeniu, rozmiłowany bowiem dotychczas we francuzczyźnie poeta zwrócił się do Szekspira i poezyi ludowéj i na tych nowych wzorach smak swój urabiać począł. Podczas pobytu w Strassburgu, na jednej z podmiejskich wycieczek poznał Goethe młodszą córkę pastora Brion'a z Sesenheimu, do której rozgorzał miłością; aczkolwiek jednak pozyskał jej wzajemność, przekonał się po niejakim czasie, że związek z ukochaną ani jej, ani jemu nie zapewniłby szczęścia, zerwał więc wszelkie z nią stosunki, choć mu to serce zakrwawiło. Wkrótce potem w r. 1771 po napisaniu rozprawy pozyskał stopień doktora praw i do domu rodzicielskiego powrócił. Pobyt we Frankfurcie nie nastręczył mu nic nowego; w nieopodal położonym Darmstadzie poznał Mercka, którego wysoko rozwinięty zmysł krytyczny wywarł zbawienny wpływ na młodego poetę; spotkał tam również Herdera i Lavatera, zbliżył

się z Klingerem i, obcując z nimi coraz bardziej, dochodził do przekonania, że poezya nie jest zależną od żadnych zewnętrznych warunków i okoliczności; porwany w wir t. zw. okresu „burzy i wrzenia” umiał się wszakże ustrzedz, dzięki wpływowi Mercka, od przesady. W r. 1772 udaje się Goethe do Wetzlaru dla odbycia praktyki w miejscowej Izbie głównej sądu apelacyjnego, poznaje się z Gotterem i wchodzi przezeń w stosunki z literackiem kołem „*Hainbund*”. Ważne następstwo pociągnęło za sobą zapoznanie się poety z Karoliną Buff, która była już naówczas zaręczona z późniejszym mężem swoim Kestnerem, sekretarzem hanowerskiego poselstwa. Przeświadczenie, że powiększająca się z dniem każdym jego miłość ku niej mogłaby zniweczyć i jej i jego szczęście, zmusiło go do opuszczenia Wetzlaru nagle, bez pożegnania. Odbywszy wycieczkę wzdłuż wybrzeży Renu, podczas której poznał Zofię de La Roche i zbliżył się z Fr. Jacobim, Goethe powrócił do Frankfurtu, gdzie wziął udział w redagowanem przez J. G. Schlossera, narzeczonego siostry jego Kornelii, piśmie: „Frankfurckie wiadomości naukowe” i wykończył dawniej już rozpoczętego „Goetza von Berlichingen”, który takie znalazł uznanie, że ukazał się w przedruku, zanim wszystkie egzemplarze pierwszego wydania rozesłane zostały. Jeszcze większe powodzenie zdobyły sobie „Cierpienia młodego Wertera”, które się w rok potem ukazały, a w których unieśmiertelnił pamięć ukochanej Lotty. W tym samym mniej więcej czasie powstał szereg utworów satyrycznych, zapamiętale biczujących zgubne, jego zdaniem, kierunki w życiu i w literaturze, że wymienimy tu choćby satyrę: „Bogowie, bohaterowie i Wieland”. Jedynem następstwem nowej miłości, której sprzyjała matka poety, było napisanie w przeciągu tygodnia „Claviga”. Rok 1774 zakończył się obfitemi w następstwo znajomościami (Klopstock, Knebel, książęta Wejmarscy) i nową miłością, której przedmiotem była Elżbieta Schönemann, opiewana przezeń pod imieniem Lili, że jednak rodzice jego nie byli zadowoleni z tej skłonności, namówili go więc do towarzyszenia braciom Stolbergom, którzy, udając się w podróż po Szwajcaryi, właśnie naówczas przez Frankfurt przejeżdżali. Wprawdzie rozłąka bynajmniej na jego miłość nie wpłynęła, że jednak po powrocie poczęły pomiędzy zakochanymi wynikać rozmaite nieporozumienia, Goethe począł myśleć o opuszczeniu rodzinnego miasta, w którem w takich warunkach pobyt nie mógł być przyjemnym i, przyjąwszy zaproszenie młodego księcia Wejmarskiego, w dniu 7 listopada 1775 r. zawitał do Wejmaru. Dostojny gospodarz poznał się niebawem na wysokiem uzdolnieniu młodego poety i postanowił pozyskać go dla

siebie i dla swojego państwa, nie tylko bowiem w jego towarzystwie doznawał wielkiej rozkoszy, lecz ponieważ był przeświadczony i o tem, że Goethe na służbie państwowej będzie pracował z wielką dla kraju korzyścią. Przewidywania nie zawiodły młodego księcia, odkąd bowiem młody poeta pozyskał pewien wpływ na rządy, uczynił wiele dobrego dla małego kraiku i podobnież jako poeta, tak i jako mąż stanu, rozwinął obfitującą w następstwa różnorodną działalność, interesując się zarówno rzeczami wielkiej wagi, jak i drobiazgami, przykładając rękę zarówno do rozwoju uniwersytetu, jak i do założenia nowej straży ogniowej [1]. O ile wiemy, nie ukazał się jeszcze dokładny obraz jego urzędowej działalności, a praca ta bardzo byłaby pożądana, dostarczyłaby bowiem niejednego przyczynku do wyjaśnienia jego dzieł, zawartych w nich idei i poglądów; dopiero wtedy dałyby się ostatecznie odeprzeć zarzuty, z jakimi nieraz przeciw niemu występowano, jakoby zupełnie obcą mu była miłość ojczyzny i współczesne dążenia do wolności. Przynajmniej z tych ogólnych danych, tyczących się jego działalności urzędowej, które posiadamy, napewno wnosić to można.

Goethe z początku nie był zdecydowany pozostać na dłużej w Wejmarze i, jak pierwiastkowo, pomijając okoliczności, które go do wyjazdu z Frankfurtu skłaniały, udał się tam głównie dla poznania dworu, tak i ofiarowany sobie urząd objął w chęci obeznania się z państwowymi stosunkami. „Dworu już spróbowałem, teraz chcę rządu spróbować, i tak dalej" pisał w dniu 8 marca 1776 r. do Mercka. Z tego też względu całe jego zachowanie się na dworze było zgoła pozbawione przymusu i swobodne pomimo wybitnego stanowiska, jakie zajmował, poeta nieraz popuszczał cugli humorowi swemu i swawoli, tak że i w samym Wejmarze i po zagranicami miasta opowiadano wiele złego o szalonem życiu dworskiem. Klopstock, zgorszony dochodzącemi go wieściami, wystosował do Goethego surowy list z napomnieniem, na co ten mu w rozjątrzeniu ostro odpowiedział. Dopiero, kiedy poeta postanowił osiedlić się w Wejmarze na stałe, wtedy i konduitę swoją przystosował do godności zajmowanego tam wysokiego stanowiska; nie dało się to wszakże dokonać

---

[1]) Herder podziwia go zarówno w roli męża stanu, jak i poety, a może nawet w tej pierwszej jeszcze bardziej. Jest to wszechstronny duch (Schiller w liście do Köznera d. 12 sierpnia 1787 r.) „Moje zajęcie literackie — pisze Goethe w roku 1780 do Rostaera — są poddane nowym warunkom życia, pozwoliłem sobie wszakże, idąc za przykładem wielkiego krola, który codzień po parę godzin na flecie grywał, ćwiczyć się czasami we właściwym mi talencie.

bez odpowiedniego przejścia, dlatego też w r. 1779 już po otrzymaniu godności tajnego radcy, wybrał się z księciem do Szwajcaryi, ażeby po powrocie rozpocząć poważniejszy tryb życia. Już podczas pierwszych lat swego pobytu w Wejmarze Goethe zapałał miłością ku pięknej pani von Stein; starając się z początku w obcowaniu z nią zapomnieć o Lili, przekonał się niebawem, że w tej kobiecie, pełnej przymiotów serca i umysłu, znajduje daleko więcej, aniżeli tam utracił; czystość jej duszy i siła woli nie tylko umiała utrzymać w szrankach namiętny wybuch jego miłości, lecz i złagodzić go, aczkolwiek bynajmniej z tem się nie kryła, że i ją miłość ta szczęśliwą czyni. W obcowaniu z nią i pod jej wpływem Goethe wyrobił w sobie spokój ducha i łagodność charakteru, które niesłusznie za chłód uważano, podczas gdy w istocie było to tylko przezwyciężeniem z trudnością dającej się pohamować namiętności.

Jego urzędowa działalność bynajmniej nie stawała na przeszkodzie pracy literackiéj. Jeszcze przed podróżą do Szwajcaryi pracował w dalszym ciągu nad „Faustem" i „Stellą", rozpoczął „Wilhelma Meistra" i „Ifigenię". Po powrocie zajął się napisaniem „Listów ze Szwajcaryi", które należą do jego najlepszych utworów prozaicznych, poczem zasiadł do pracy nad „Tassem". Na jego twórczość dramatyczną korzystnie oddziałało powstanie w Wejmarze teatru amatorskiego, dla którego napisał szereg drobnych utworów, jak np. *Rybaczka*, *Erwin i Elmira*, *Klaudyna* i w. in.

Co raz bardziej wzrastające zatrudnienia po r. 1782 (został prezydentem Izby i otrzymał szlachectwo od cesarza) nie pozwalały mu ziścić dawno wymarzonych pragnień, oderwać się od wszystkiego i żyć przez pewien czas sztuką wyłącznie. Nareszcie w jesieni 1786 r. doprowadził je do skutku; poeta udaje się do Włoch i pozostaje tam do wiosny 1788 r.

Pobyt jego w tym pięknym kraju, zwłaszcza zaś w Wenecyi, Rzymie, Neapolu i Sycylii, dokładne zapoznanie się z arcydziełami sztuki starożytnej i Odrodzenia, obserwacya południowego życia, obcowanie z artystami tej miary, co Wilhelm Tischbein [1]), Filip Hackert, Henryk Meyer, z takim rzeźbiarzem, jak Trippel, wreszcie z całym szeregiem wybitnych mężów — wszystko to rozwarło przed nim nowe światy, że zaś Goethe potrafił wyzyskać na swoją korzyść naukę

[1]) Artysta ten wymalował podczas pybytu Goethego w Rzymie jego portret, przedstawiający poetę w postaci naturalnej wielkości, jako podróżnego, spoczywającego na obelisku i podziwiającego rozrzucone w głębi ruiny Rzymskiej Kampanii.

i doświadczenie otaczających go osób, więc podróż włoska wywarła olbrzymi wpływ na jego działalność poetycką. Wprawdzie ćwiczenie się w rysunku i w malowaniu, podobnież jak i próby modelowania doprowadziły go do wniosku, że na tem polu laury nie będą jego udziałem, lecz i ta praca nie pozostała bez wielkiego pożytku, o czem nadmienimy. Te wielostronne zatrudnienia nie usunęło go bynajmniéj od poezyi, przeciwnie, teraz właśnie przekonał się może więcej, niż kiedykolwiek, że jest ona jego przeznaczeniem. Podczas pobytu we Włoszech opracował Goethe wierszem „Ifigenię”, wykończył „Egmonta”, rozpoczął „Nauzikaę”, pisał w dalszym ciągu „Wilhelma Meistra” i przerobił „Erwina i Elmirę” oraz „Klaudynę”.

W d. 18 Czerwca 1788 r. powrócił poeta do Wejmaru, gdzie na jego własne życzenie książę uwolnił go od wielu zajmowanych obowiązków; i w stosunkach Goethego z otoczeniem zaszła wielka zmiana — począł się mianowicie coraz bardziej odosabniać od życia dworskiego, w części, ponieważ potrzebował ciszy i skupienia się, niezbędnych dla przetrawienia wrażeń i myśli, z Włoch wywiezionych, w części, ponieważ wkrótce po powrocie zawiązał z młodą Krystyną Vulpius, siostrą znanego w Niemczech autora sensacyjnych romansów, stosunek miłosny, czem wielu oburzył na siebie, zwłaszcza gdy po urodzeniu się syna zamieszkał z nią pod jednym dachem, nie biorąc ślubu, który odbył się dopiero w r. 1806. I w Rzymie pozostawał Goethe w miłosnym stosunku z pięknem, młodem dziewczęciem. „Rzymskie elegie”, pisane po części tam, po części po powrocie do Wejmaru, odbijają w sobie stopione w jedną całość wrażenia, wyniesione z obcowania z jedną i drugą. Po za tem pracował w dalszym ciągu nad „Faustem”, wykończył „Rzymski karnawał” i wierszem „Tassa”, oraz napisał „Wielkiego Koftę”. W r. 1790 Goethe znowu się udał do Wenecyi dla spotkania się tam z księżną Amelią wejmarską; „Weneckie Epigrammata” stały się pięknym owocem tej wycieczki.

Wybuch rewolucyi francuskiej na razie został przyjęty przez poetę radośnie, podobnież, jak przez Klopstocka, Wielanda i w. in. Widzimy to z następujących wierszy z H e r m a n a i D o r o t y:

„Komuż silniej się pierś nie wzniosła błogiem uczuciem,
Gdy blask słońca nadziei jutrzenką zajaśniał nad światem,
Gdy chodziły posłuchy, że ludzie radzą o sobie,
O swobodzie powszechnej, o prawach i bratniej równości!
Wtedy każdy wyglądał nowego życia; te więzy,
Co sobkostwa je duch narzucił krajom i ludom,

Rozpryskiwać się zdały, i wszyscy z tęskną nadzieją
Spoglądali na Zachód, ku wielkiej świata stolicy.
Czyż nazwiska tych mężów, zwiastunów wieści radosnej,
Sławą nie rozbrzmiewały na całym ziemi obszarze?
Czyż nie przybyło każdemu otuchy w sercu i wiary?"
(przekład L. Jenikego).

Lecz i jego przeraziły późniejsze wypadki rewolucyi. „Okropności jej— mówił do Eckermanna — budziły we mnie boleść i oburzenie, z dnia na dzień i z godziny na godzinę, podczas gdy dobroczynne jej skutki nie dawały się jeszcze wtedy dojrzeć". Tem więcej też zamykał się poeta sam w sobie i, nawet towarzysząc księciu wejmarskiemu w r. 1792 w wyprawie do Szampanii, pilnie się zajmował badaniami przyrodniczemi. Po powrocie do Wejmaru Goethe objął dyrekcyę teatru, lecz już w następnym roku został od spokojnego i pracowitego żywota oderwany przez księcia, który zapragnął mieć go przy sobie w obozie podczas oblężenia Moguncyi. W tym roku i w latach następnych, bądź to jako kierownik teatru, bądź to pod wpływem innych okoliczności, poeta napisał Obywatela — Generała Powstańców i Rozmowy Wychodźcy; w tym również czasie powstał i Reinecke Lis.

Rok 1794 nie tylko dla Goethego, lecz i dla całego rozwoju niemieckiego piśmiennictwa był nadzwyczaj obfitym w następstwa, ponieważ jest rokiem zawiązania przyjaznych stosunków pomiędzy Goethem a Schillerem, które przetrwały do śmierci tego ostatniego. Niżej o tych stosunkach pomówimy obszerniej, ponieważ są one osią nietylko dalszej działalności obu największych poetów niemieckich, lecz i całej literatury współczesnej. Tu napomkniemy tylko, że pobudziły one Goethego do nowej pracy, tak, że nie tylko wykończył Wilhelma Meistra, lecz opracował Autobiografię Benvenuta Celliniego, Epigrammaty, Epistole, Alexysa i Dorę, a także i dzieło niepospolitéj wartości: Hermana i Dorotę. Wzbierająca z każdym dniem w piśmiennictwie niemieckiem powódź pospolitości wywołała Xenie, na które składali się obaj poeci i w których wydawali surowy, nieraz może zbyt surowy wyrok o dziełach i autorach. W tym właśnie czasie powstały i „Ballady" Goethego. Przedsięwzięta w r. 1797 wraz z artystą H. Meyerem podróż do Szwajcaryi przerwała tę owocną czynność, poczem i lata następne zostały przeważnie poświęcone pracy nad kierownictwem teatru, zajęciom naukowym, zwłaszcza na polu sztuki i przekładom (Mahomet i Tankred Woltera), za pomocą których Goethe usiłował przywrócić poważne i godne traktowanie dramatu. Dla

osiągnięcia tegoż celu została napisana i pierwsza część Córki naturalnej, która wszakże nie obudziła wielkiego zajęcia.

Śmierć Schillera w r. 1805, zdawało się, złamie siły Goethego; rok 1806, który niejako wzywał do odważnych i rozsądnych czynów, znów mu siły te przywrócił, z początku na zewnątrz, kiedy się zaś burza uciszyła, i w nim obudziła się chęć do pracy twórczej, której, poza różnorodnemi naukowemi studyami, zawdzięczamy Powinowactwa z wyboru oraz Z mojego życia. Prawda i fantazya. Już w podeszłym wieku na nowo obudziła się w nim liryczna siła twórcza — siedemdziesięcioletni starzec zgotował całemu światu niespodziankę swym Zachodnio-wschodnim Dywanem, w przeciągu pięciu lat wykończonym. W tymże czasie powstały Lata wędrówki Wilhelma Meistra i szereg prac drukowanych w czasopiśmie *Sztuka i Starożytność*. Letni pobyt w Maryenbadzie w latach 1822, 1823 i 1824 natchnął go do Elegii i raz jeszcze rozpalił w nim płomień namiętnej miłości do panny von Levezow, którą nawet przez niejaki czas myślał poślubić. W d. 7 Listopada 1825 r. cały Wejmar święcił uroczyście pięćdziesiątą rocznicę jego pobytu w tem mieście i działalności urzędowej. Była to ostatnia pogodna i podniosła chwila w życiu poety — w następnych latach cios za ciosem uderzał w pierś starca... zmarł przyjaciel jego i towarzysz lat młodocianych, wielki książe wejmarski, Karol August, w ślad za nim jego małżonka, w Listopadzie zaś 1829 r. utracił Goethe jedynego syna. Wprawdzie i tym razem przemógł poeta niemoc, w jaką go to pogrążyło, i zdobył się jeszcze na tyle siły, że mógł wykończyć drugą część Fausta oraz Z mojego życia, a także zająć się ostatniem zbiorowem wydaniem dzieł swoich — lecz siły jego życiowe z każdym dniem słabły i, kiedy na wiosnę 1832 r. lekko się przeziębił, stało się to przyczyną jego zgonu, który nastąpił w d. 22 Marca.

Zanim przejdziemy do charakterystyki poetyckiej twórczości Goethego, zastanowimy się nad stopniowym jej rozwojem i zwrócimy uwagę na te warunki i okoliczności, które szczególny wpływ wywarły na tak bujny rozkwit jego ducha i talentu. Przybywając do Lipska, Goethe już posiadał wiele różnorodnych wiadomości i już niejednokrotnie próbował sił swoich, jako poeta. Lecz jego poglądy poetyckie nie wznosiły się po nad zwykły szablon owych czasów, oparty na francuskiej kulturze, pod której wpływem pozostawały naówczas wyższe warstwy społeczne. I w Lipsku żadna prawie pod tym względem nie zaszła zmiana, aczkolwiek bowiem od wielu lat znał już Klopstocka, a Lessing również zwrócił na siebie jego uwa-

gę, to wszakże zaszczepiono w nim w rodzicielskim domu respekt dla gładkiej formy francuskiej zbyt głęboko, ażeby teraz tak łatwo można go było wykorzenić. Choć jej wszakże wiernym pozostał, ów pobyt w Lipsku pod wieloma względami wywarł wpływ na jego talent, który odtąd obrał sobie kierunek, charakterystyczny dla całej twórczości poetyckiej Goethego. „Przy obojętności mych kolegów i profesorów — mówi on (Z mojego życia — prawda i fantazya) — przy usuwaniu się od udziału w takich sprawach wykształconych mieszkańców miasta, wobec wreszcie braku piękności natury, musiałem wszystkiego doszukiwać się sam w sobie. Ilekroć dla poezyi swoich potrzebowałem rzeczywistego podkładu, uczucia lub refleksyi, musiałem sięgać do piersi własnych Tak powstały drobne wierszyki moje w formie pieśni; wybłysłe z refleksyi, opiewają one to, co minęło, i mają zwykle zacięcie epigramatyczne. Rozpoczął się tym sposobem ów kierunek, z którego później przez całe już życie zboczyć nie mogłem, kierunek, polegający na tem, że wszystko co mnie cieszyło, dręczyło lub w inny jaki bądź sposób zaprzątało, zmieniałem w obraz, w utwór poetycki, aby nietylko pojęcia swoje o rzeczach zewnętrznych ustalić, ale zarazem i wnętrze ducha własnego uspokoić. Zdolność potemu dla nikogo może nie była potrzebniejszą, niż dla mnie, który przerzucałem się ciągle z jednej ostateczności w drugą. Próbki też takie są tylko urywkami wielkiej spowiedzi mojej, którą książka niniejsza uzupełnić usiłuje". Pewien wpływ wywarł na niego profesor Elodius zwróceniem mu uwagi na dotychczasowe nadużywanie mitologii. Odtąd Goethe zarzucił cały mitologiczny panteon, i odtąd Amor i Luna były jedynemi bóstwami, występującemi w drobnych jego utworach.

O wpływie, wywieranym na niego przez utalentowanego malarza Oesera, pomówimy niżej obszerniej; zresztą nie wpływał on na niego bezpośrednio, kiedy więc Goethe Lipsk opuścił, choć czuł, że pod wieloma względami postąpił naprzód, lecz wogóle, jak już zresztą o tem mówiliśmy, nie wyszedł jeszcze po za granice francuskiej kultury, co przyjąć należy za charakterystyczną właściwość pierwszego okresu poetyckiej jego twórczości.

Drugi jej okres rozpoczyna się wraz z wyjazdem do Strassburga, gdzie blizkie zetknięcie się z francuskiem oraz niemieckiem życiem nastręczyło mu sposobność do porównania jednego z drugiem— porównania, które wypadło na korzyść tego drugiego. Jeżeli wszakże dzięki tej obserwacyi zachwiała się w Goethem wiara w doskonałość kultury francuskiej, to zniweczył ją do szczętu Herder, którego wpływ na poetę może dlatego tylko był tak dobroczynny, że,

jako starszy o pięć lat i zajmujący wysokie stanowisko, zdobyte wszechstronnem głębokiem wykształceniem, z góry i nieraz może zbyt surowo go traktował; spotykając się dotychczas zawsze u przyjaciół swych z bezwzględnym podziwem, Goethe musiał się czuć dotkniętym takiem postępowaniem Herdera i postanowił zdobyć sobie i jego uznanie. Herder wypowiadał mu swe poglądy na poezyę i jej naturę, a Goethe, który, aczkolwiek pochodził z miejskiego patrycyatu, był przyzwyczajony patrzeć na lud zupełnie innem okiem, jak poddani monarchii, uznał, że poezya nie jest przywilejem wyróżnianych jednostek, lecz stanowi niezaprzeczoną własność całej ludzkości i że się dla tego w tych jej warstwach najwyraźniéj przejawia, które są wolne od sztucznego pokostu, t. j. śród ludu; stało się jego prz eświadczeniem, że poeta winien stać u wiecznie bijącego źródła ludowej poezyi, wsłuchiwać się w jej właściwości, przyswajać je sobie i że podobnież, jak u ludu, tak i u poety najwyższem prawem jest natura, wolna od wszelkich więzów i przymusu. Odtąd Goethe począł studyować Szekspira, Ossyana, Homera, a zwłaszcza pismo święte, w które wczytywał się od dzieciństwa ze szczególnem upodobaniem. Przytem Herder zwrócił jego uwagę na konieczność artystycznego traktowania przedmiotu poetyckiego, co znalazło u niego oddźwięk tem chętniejszy, że całe jego dotychczasowe kształcenie się polegało na rozwijaniu zmysłu piękna. Młodzi poeci, stanowiący najbliższe otoczenie Goethego, uważali prawdę za jedyne hasło sztuki poetyckiej, a wszelkie reguły sztuki za krępujące ową prawdę więzy, z których prawdziwy poeta wyzwolić się powinien; aczkolwiek i Goethe w poezyach swych i recenzyach był wyznawcą tego samego *credo*, to wszakże jego zmysł piękna tak był już wtedy wykształcony, że, pomimo jego woli, przejawiało się to we współczesnych jego utworach. Z otoczenia Goethego najlepiej poznał się na tem Merck, wskazał mu to oraz zwrócił uwagę na różnicę zachodzącą pomiędzy nim a otaczającymi go poetami. Lecz ów płomień młodzieńczy zbyt jeszcze był niepohamowany, wpływ przyjaciół, którzy właśnie dla siły tego płomienia tak wysoko wynosili poetę, zbyt jeszcze potężny, a pogląd, że sama prawda jest najwyższem zadaniem poezyi, zbyt jeszcze rozpowszechniony na to, ażeby mogła być mowa o przystosowywaniu jej do wymagań sztuki; ów drugi okres poetyckiej twórczości Goethego, rozpoczynający się wraz z jego wyjazdem do Strassburga, a niknący bez śladu po powrocie z powtórnej podróży do Szwajcaryi, charakteryzuje się raczej tem, że jego poezye i co do treści, i co do formy stają w zupełnej sprzeczności z przyjętemi regułami, piętnując je jako szkodliwe więzy, prze-

ciw którym powstaje natura, usiłująca wywalczyć na nowo prawa swe przyrodzone. Tak należy rozumieć pierwsze arcydzieła Goethego: „Goetza von Berlichingen" i „Wertera"; ta myśl rządziła nim przy rozpoczynaniu „Fausta", przy tworzeniu „Mahometa", „Prometeusza", „Wiecznego Żyda", a także i gorzkiej satyry: „Bogowie, bohaterowie i Wieland". Aczkolwiek jednak pogląd ten ożywia i charakteryzuje wszystkie wymienione jego dzieła, stale z nich wszakże wyziera pewne, z początku nieświadome, później zaś coraz silniejsze dążenie do pojednania przeciwieństw, przyczem wielkiego tu znaczenia nabiera ta okoliczność, iż Goethe wielu z tych utworów nie kończył wcale, inne znów znacznie później i to w znacznych przerwach czasu, z czego wynika, iż od założenia niejednego z nich z biegiem czasu znacznie się oddalał, a wreszcie zupełnie je porzucał, jak tego zresztą dowodzi dalszy ciąg oraz koniec „Fausta", stające z początkiem w zupełnej sprzeczności.

Należałoby tu również pomówić o stosunkach, łączących Goethego z ówczesnymi jego przyjaciółmi, ponieważ ci i osobistem obcowaniem, i wymianą listów, wreszcie i pismami swojemi wywierali na niego znaczny wpływ — nie czynimy jednak tego z dwu względów; po pierwsze, że takie szczegóły, jako należące do specyalnych dziejów życia i rozwoju twórczości poety, zaprowadziłyby nas zbyt daleko, powtóre, że wyraźnym i określonym jest tylko wpływ Herdera i Marcka, innym zaś swym przyjaciołom, jak Lavaterowi, Jacobi'emu, Lenzowi, Klingerowi, i w. in. zawdzięcza Goethe raczej drobne napomknienia, aniżeli rzeczywisty określony wpływ, i że istotnie tembardziej od nich wszystkich się oddalał, im silniej rozwijała się jego organizacya poetycka. Stąd też w następującym okresie, w którym zakończył się jego rozwój i w którym największe stworzył arcydzieła, znajdujemy go zamkniętego w samym sobie i samemu sobie tylko oddanego; stał on się wtedy obcym nawet wejmarskim swym przyjaciołom, a przynajmniej odosobnił się od nich. Wprawdzie ze względu na stosunki, łączące go z księciem i z dworem wejmarskim, był on zmuszony wiele czasu życiu towarzyskiemu poświęcać, lecz, jak już w samym początku pobytu w owem mieście pisał o tem przyjacielowi swemu Merckowi: (5 stycznia 1777 r.) „Żyję zawsze w szalonym świecie i jestem zawsze zamknięty sam w sobie", to samo i to w wyższym jeszcze stopniu daje się powiedzieć o latach późniejszych. Wreszcie zanikł w nim ostatni ślad okresu „Burzy i wrzenia", i poeta doszedł do przeświadczenia, że talent przyrodzony tylko wtedy może się rozwinąć w całej potędze i stanąć na najwyższym stopniu twórczości, kiedy się podda surowym wymo-

gom sztuki. Osiągnął on spokój i pewność siebie, do których dążył tak dawno, fantazya jego, nie tracąc nic ze swojego ognia i twórczej siły, złagodniała; spełniając obowiązki, z zajmowanem przezeń stanowiskiem związane, miał sposobność poznać ludzi i życie, obserwował naturę w najróżnorodniejszych jéj przejawach, wkładając w to wiele miłości i życiowej siły; wreszcie coraz głębiej pogrążał się w studyowanie sztuki i tą drogą talent swój tak podniósł i wzmocnił, całą duchową swą istotę tak wszechstronnie i harmonijnie rozwinął, że mógł sięgać po najwyższe zadania i podołał im. A nie polegały one na niczem innem, jak na pogodzeniu ze sobą koniecznych praw natury i sztuki i to w sposób, tak zadziwiająco osiągnięty przez Greków, których sztukę studyował też Goethe ze szczególnem zamiłowaniem. Dążąc wszakże do tego celu i szczęśliwie go zdobywając, poeta zarazem umiejętnie pośredniczył pomiędzy usiłowaniami Lessinga a okresu „Burzy i wrzenia", zlewając je jaknajfortunniej w pełną życia jedność. Ażeby się jednak wznieść do upragnionej wysokości, trzeba było wyłącznie do siebie należeć i zwolnić ducha ze wszelkich więzów, polot jego krępujących. Pomimo usilnego zamykania się w sobie, życie dworskie i związane z urzędem obowiązki, nie dawały mu potrzebnego spokoju; ażeby go osiągnąć w całej pełni, pośpieszył do Włoch, które były od lat wielu wymarzoną dlań krainą i gdzie, podług własnego przeświadczenia, swój zmysł piękna mógł rozwinąć jaknajświetniej! Już eśmy wyżéj o tem wspominali, jak wszechstronnie czynnym był on we Włoszech i jak tam powstała część jego arcydzieł, w których stanął na szczycie, zapewniającym mu nazawsze miejsce śród największych poetów wszystkich czasów i narodów.

Po powrocie rozpoczął pracę w dalszym ciągu, przerwał mu ją wszakże niebawem wybuch rewolucyi francuskiej, przyczem zresztą nie małą rolę zapewne odegrał i smutek, którego musiał doznawać, widząc, że właśnie najdoskonalsze jego utwory, tchnące całą potęgą jego talentu, uważane przezeń za skończone dzieła sztuki, przyjmowane były przez naród z chłodem, z obojętnością graniczącym. Przez długi szereg lat poeta zajął się wyłącznie badaniami przyrodniczemi, albo też tworzył dramata i opowiadania, które już z tego względu nie mogły stanąć na wysokości innych dzieł jego, że nie przezwyciężają tendencyi, która je wywołała; i jakkolwiek niektóre z nich są w szczegółach doskonałe, to wszakże o całości powiedzieć można tylko to, że powstała w chwilach wytchnienia po męczącej pracy, której przed laty się oddawał. I w samej rzeczy cały ten czas od r. 1790 do 1795 w twórczości jego poetyckiej jest niejako wypoczyn-

kiem, przerwanym dopiero po bliższem nawiązaniu stosunków z Schillerem, i z tem większą pewnością twierdzić możemy, iż jego nowa owocna działalność jest szczęśliwem następstwem bliższego obcowania z Schillerem, że sam Goethe mówi o tem najwyraźniéj. Oto, co pisze do swego brata-poety w d. 6 stycznia 1798 r. „Dzięki tobie jestem po raz wtóry młodym i czuję się znów poetą, którym tak dobrze jak być przestałem" — w rok zaś potem w d. 6 maja 1799 r. „Nie przestawaj być mi pomocnym siłą twego ducha w złej i dobrej godzinie" [1]).

Rzecz wiadoma, że obaj najwięksi poeci Niemiec, których szczęśliwy los zbliżył ku sobie, z początku od siebie wzajem stronili, i że lata przeszły, zanim nastąpiło zbliżenie; zrozumiemy to, jeżeli wspomnimy, jak odległe były wtedy ich stanowiska w stosunku do sztuki. Schiller doskonale to charakteryzuje, pisząc w d. 12 września 1788 roku, po pierwszem bliższem zetknięciu się z Goethem do przyjaciela swego Körnera. „Wogóle powiedziawszy, po osobistem poznaniu się z nim, wielkie moje o nim wyobrażenie nie zmniejszyło się w istocie; wątpię wszelako, czy się kiedy bliżej zejdziemy. Nie jedno, co mnie jeszcze zajmuje, czego się jeszcze spodziewam i sobie życzę — on już przeżył; on mnie tak (nie tyle latami, ile życiowem doświadczeniem i rozwojem) wyprzedził, że się nigdy na drodze nie spotkamy; cała jego istota już od początku, inaczej jak moja ukształtowaną została, jego świat nie jest moim, nasze wyobrażenia zdają się być zupełnie różne". W podobnyż sposób wypowiada się i Goethe [2]). Atoli leżący pomiędzy nimi, a wyżej przez Schillera określony przedział z każdym rokiem się zmniejszał, aż zniknął wreszcie; historyczne, a jeszcze bardziej filozoficzne studya, którym się Schiller z zamiłowaniem oddawał, zastąpiły doświadczenie życiowe i rozwój Goethego, stawiając obu coraz bliżej siebie, tak, że gdy po latach szczęśliwe zrządzenie losu znowu spowodowało spotkanie się dwu tych geniuszów, obaj się przekonali, że przedzielająca ich dotychczas przepaść wypełnioną została. I oto rozwinęła się wspólność życia, pracy i usiłowań, z roku na rok coraz bliższa, a dla obu tak owocna; widoczniej wprawdzie dla Schillera, lecz niezaprzeczenie i dla Goethego, jak się do tego zresztą w powyżej zacytowanych wyjątkach

---

[1]) Goethe sam wyznaje: „Obcowanie z Schillerem wyprowadziło mnie z naukowej kostnicy do wonnego ogrodu życia".

[2]) Wielkiej pod tym względem wagi jest wspomnienie Goethego „Pierwsze poznanie się moje z Schillerem", a przytem wiele ciekawych szczegółów znajdujących się u Eckermanna, na które zwracamy uwagę czytelnika.

z listów w serdecznych, wzruszających wyrazach przyznaje. Temu wpływowi Schillera zawdzięcza Goethe, że, zwróciwszy się z obudzoną na nowo miłością ku poezyi, stworzył szereg arcydzieł, mogących godnie stanąć obok tych, które pochodzą z czasów podróży do Włoch. Wpływ Schillera odbił się bezwątpienia na ostatnich kartach „Wilhelma Meistra"; wspólnemi siłami były tworzone „Xenie", któremi chciano zapobiedz zastojowi i upadkowi piśmiennictwa. Goethe napisał szereg pięknych lirycznych i epicznych utworów, śród których znajdujemy wspaniałe idylle i ballady; powstał „Herman i Dorota" oraz „Córka naturalna", została rozpoczętą „Achilleis", snuł się dalszy ciąg „Fausta", pojawiły się przekłady z Woltera: „Mahometa" i „Tankreda" i niejedno jeszcze dzieło godne uwagi, którego tu nie wymieniamy. We wszystkich tych utworach panuje ta sama artystyczna miara, co i w poprzednich, a nawet rzec można, dbałość o artystyczne wykończenie daje się uczuć jeszcze bardziej, aż w końcu przeważać poczyna, z czego widzimy najwyraźniej, jak wbrew wywieranemu nań przez młodego przyjaciela wpływowi całą porywającą czarodziejską jego mocą—Goethe zachował w zupełności swą samodzielność, a może jeszcze ją umocnił, czując to, że ów wpływ przy jego młodzieńczej jeszcze wrażliwości mógłby się dlań stać zbyt niebezpiecznym, gdyby się przeciw niemu nie bronił.

Wspólna działalność Schillera i Goethego była z początku przeważnie polemicznej natury; chłód, z jakim przyjmowano arcydzieła Goethego, nadzwyczajne powodzenie, jakiem się cieszył Kotzebue i jemu podobni, wskazało obu poetom, że publiczność musi być wprzód wykształconą dla czegoś lepszego, zanim będzie mogła zasmakować w dziełach rzeczywistej wartości. Ponieważ zaś w tymże czasie i obaj Szleglowie wytężali swe usiłowania w tym samym kierunku, przykładając się zwłaszcza do tego, ażeby arcydzieła Goethego mogły znaleźć zrozumienie, nie występowali więc dwaj dioskurowie przeciw nim, aczkolwiek w estetycznych zapatrywaniach w żaden sposób z nimi zgodzić się nie mogli, zwłaszcza zaś Schiller, który z każdym dniem coraz bardziej od nich się oddalał, choć nie zupełnie mógł się oprzeć wpływowi ich na duchową swą istotę. Kiedy zaś po śmierci Schillera szkoła romantyczna potężniała coraz bardziej, zagarniając wszystkie duchy—i Goethe nie mógł się ostać przed jej przeważnym wpływem. I wtedy to, wraz z jego oddaniem się romantyzmowi, rozpoczął się czwarty i ostatni okres jego poetyckiej twórczości, charakteryzujący się stopniowem zarzucaniem artyzmu i, wraz z rosnącą świadomością zaniku siły twórczej, oddaniem się refleksyi oraz szerokim rozwojem myśli—wzorem romanty-

ków, którzy, pozbawieni zmysłu artystycznego, szukali poezyi w pełni treści. Dowodzą tego mianowicie „Lata Wędrówki Wilhelma Meistra" oraz druga część „Fausta", z której już w r. 1800 znaczną część napisał, wcieloną następnie w całość, jako akt trzeci, pod charakterystycznym tytułem: „Helena, klasyczno-romantyczna fantasmagorya". To skłonienie się ku refleksyi wraz z jednoczesnem osłabieniem siły twórczej zapowiadało się już zresztą w poprzednich jego pracach. Jeszcze tylko na polu lirycznéj twórczości poetycka jego siła i w późniejszych latach występowała w całej swej wspaniałej pełni, tak np. w „Zachodnio-wschodnim dywanie", który wprawdzie tu i owdzie rozpływa się w refleksyach i romantycznej symbolice, w wielu wszakże pieśniach dyszy iście młodzieńczą siłą. Stąd też „Dywan" jest najwybitniejszem dziełem starczego wieku Goethego; z niem rozpoczyna się w niemieckiej poezyi oryentalny, kierunek, uprawiany następnie z wielkiem powodzeniem przez Rückerta, Platena i Bodenstedta. Wraz z tym „Dywanem" rozpoczyna się również coraz silniej występujące ciążenie Goethego do obcych i kształtująca się wraz z tem myśl o literaturze powszechnéj, której urzeczywistnienie poeta uważał za możliwe przy pomocy niemieckiego języka i piśmiennictwa. Ale właśnie tu widzimy, w jakiej Goethe staje sprzeczności z zajmowanem poprzednio stanowiskiem. Jego poezye, z drugiego okresu pochodzące, dążyły do podchwycenia ludowej nuty, i, aczkolwiek w trzecim okresie pozwolił się powodować względom sztuki, to wszakże dzieła jego posiadały duszę nawskroś niemiecką, przy swojej antycznej formie; tak „Ifigenia", jak „Herman i Dorota" ze względu na język, myśl i założenie poetyckie, mogły być napisane tylko przez niemieckiego poetę i dlatego też są to arcydzieła, ponieważ dowodzą, że można, posługując się skończenie doskonałą grecką formą, nie zatracić ni języka, ni właściwości narodowych. Przeciwnie, pomysł literatury powszechnéj dąży do zatraty wszystkich pierwiastków narodowych; podług Goethego, Niemiec miał zostać tłómaczem dla całego świata, a język niemiecki pośrednikiem, łączącym wszystkie piśmiennictwa. Aczkolwiek nie da się zaprzeczyć, że w tej utopii rola Niemiec byłaby zaszczytną, trudno wszakże nie przypuścić, że nie oparłyby się one naciskowi całego świata i zatraciły swoje własne „ja", czego i w dziejach tego kraju liczne spotykamy przykłady i co Goethe sam zapewne czuć musiał, mówiąc: „Teraz, kiedy się zapowiada rozwój literatury powszechnej, prawdę powiedziawszy, Niemiec ma najwięcej do stracenia; dobrze też uczyni, jeżeli o tej przestrodze pamiętać będzie".

Kreśląc dzieje rozwoju poetyckiej twórczości Goethego, poświęciliśmy niejedną uwagę jej charakterowi; to wszakże, cośmy o nim powiedzieli, zbyt słabe jeszcze daje pojęcie o jego potędze i znaczeniu; postaramy się odtworzyć ogólny jego obraz. Zanim to wszakże uczynimy, musimy jeszcze pomówić o niejednem, co posłuży do zrozumienia istoty poety. Goethe mianowicie z wielu względów źle był rozumiany, i, aczkolwiek względy te z poetyckiem jego znaczeniem nie wiele mają wspólnego, niejednokrotnie bezkarnie z nich korzystano dla obniżenia jego wartości, jako poety. Zwłaszcza jego poglądy polityczne nieraz służyły za powód do udzielania mu nagany, a nawet do gorzkich wyrzutów. Zastanówmy się, czy jedno i drugie słusznie go spotykało.

Goethe nie tylko sam znacznie naprzód posunął ogólną duchową kulturę swego narodu, lecz więcej, niż inni współcześni mu, położył zasług w sprawie rozwoju i wznowienia narodowego zmysłu i poczucia; on pierwszy krzepką dał podwalinę mglistym pomysłom. Klopstocka, jego „Götz von Berlichingen" zaprowadził Niemców z fantastycznych wyobrażeń rzymskich czasów w kraj rzeczywisty i przed ich oczami po raz pierwszy roztoczył dokładny obraz niemieckiej siły i ducha, wzmacniając tem nieskończenie więcej poczucie narodowe, aniżeli to uczynił Klopstock swymi mglistymi *bardita-mi.* Jego owiana młodzieńczym zapałem rozprawa „O budownictwie niemieckiem" obudziła zmysł sztuki narodowej, i śmiało uważać ją można za źródło, z której wytrysło tak bogate w zakresie sztuki piśmiennictwo niemieckie. Jego poezya, przemawiająca żywym językiem ludu i życie ludu odtwarzająca, obudziła poczucie narodowe i umocniła je daleko silniej, niż poezya wszystkich jego poprzedników. Uczucie narodowe, będące dotychczas raczej zewnętrznej natury i ograniczające się do deklamowania nadętych frazesów, rozwinęło się tą drogą z najgłębszych tajników narodowego życia, odtąd stało się ono przyrodzonem uczuciem każdego Niemca, kiedy przedtem sztucznie było hodowane. Widzimy więc, jak niesłusznym jest zarzut braku miłości dla narodu i ojczyzny, wymierzony przeciw poecie, którego cała twórczość polega na głębokiem poznaniu swego narodu. Wprawdzie Goethe zeszedł potem z tej narodowej podwaliny, która sprawiła, że pierwsze jego wystąpienie tak było owocnem, i, nie mówiąc już o czem innem, nie umiał się w późniejszym wieku poznać na wysokiej wartości staro-niemieckiej sztuki: daje się to wszakże wyjaśnić i wytłómaczyć przesadą, w jaką wpadła sztuka niemiecka, naigrawając się z wszelkich wymagań piękna i szukając dróg dla siebie w bezdusznem naśladowaniu starych form gotyckich

Błąd ten był wynikiem marzycielstwa, które wówczas całe Niemcy opanowało, Goethe wszakże, w wysokim stopniu zmysłem prawdy obdarzony, obcy był wszelkiemu marzycielstwu, przejawiającemu się bądź to w zakresie sztuki, bądź też w życiu. To też i wobec wszystkich ruchów politycznych, wstrząsających, poczynając od roku 1813, jego ojczyzną, zachował się obojętnie, ponieważ przenikał wieszczym swoim wzrokiem, że są one na czczych marzeniach oparte [1]).

Niezależnie od braku uczucia narodowego zarzucano Goethemu i obojętność, a nawet i nienawiść względem swobodnego rozwoju ludów—lecz i to niesłusznie. Nie chcemy się tu powoływać na poszczególne miejsca z jego poezyi, ponieważ mogłaby nas spotkać odpowiedź, że przemawia tam Goethe-poeta, a nie Goethe-człowiek [2]), możemy się wszakże powołać na to, że głównie dzięki jego wpływowi nastąpiło wezwanie do Jeny Fichtego, o którym dobrze wiedział, że był on autorem kacerskiego na owe czasy dzieła: „Przyczynki do osądzenia rewolucyi francuskiej". Nie mniej znamienne jest pod tym względem jego zbliżenie się z Schillerem, jakkolwiek ten napisał już wtedy „Don Karlosa" i „Dzieje odpadnięcia Niderlandów" i jeszcze na krótko przed śmiercią stworzył „Wilhelma Tella". Goethego przedewszystkiem odstręczyła od Schillera nie jego wolnomyślność, lecz, jak wiemy, znaczna różnica w estetycznem wykształceniu, kiedy zaś ona znikła, a przynajmniej przestała być zbyt dotkliwą, Goethe uczynił pierwszy krok do zbliżenia się, aczkolwiek nie było mu obcem, jak umiłowaną była wolność przez Schillera. Wogóle Goethe pod żadnym względem nie był zacofany, ani nawet, że skorzystamy z powszechnie używanego określenia, konserwatywny; był on wolnomyślny w duchu Mösera, któremu i w późniejszych latach chętnie przyznawał wywieranie znacznego wpływu na jego poglądy polityczne. W istocie był on wrogiem rewolucyi; aczkolwiek jednak uważał za zgubne wywoływanie ich, bynajmniej nie przeczył, że nieraz okoliczności mogły tego wymagać. Jego polityczne poglądy znajdujemy najjaśniej wypowiedziane w poszczególnych miejscach jego „Rozmów z Eckermannem". Sądzimy, żeśmy

---

[1]) Niżej przytoczymy wyznanie Goethego, w którem obojętność swoją wobec tak nazywanych walk o wyzwolenie tłomaczy innymi powodami, mającymi wszakże z powyżej zaznaczonymi wiele wspólnego.

[2]) Oprócz powyżej przytoczonego miejsca z „Hermana i Doroty" cytujemy tu jeszcze jedno zdanie z „Goetza von Berlichingen", wielce dla nas w tym wypadku znamienne: „Głowę dać za powszechne szczęście — oto byłoby życie!"

je tu powinni przytoczyć, rzucają bowiem odpowiednie światło na rozpowszechnione mniemanie, jakoby Goethe wrogo był usposobiony dla sprawy wolności. „Napisałem „Niespokojnych” podczas rewolucyi francuskiej i rzecz ta może być pod pewnym względem uważana za moje polityczne wyznanie wiary z owych czasów. Hrabinę wyobraziłem tam, jako przedstawicielkę szlachty, i za pomocą wyrazów, w usta jej włożonych, wypowiedziałem, jak szlachta właściwie myśleć powinna. Hrabina właśnie powraca z Paryża, gdzie była świadkiem rozruchów, poprzedzających rewolucyę, i niezłą z tego dla siebie wyciągnęła naukę. Przekonała się, że lud wprawdzie można ciemiężyć, ale go uciemiężyć nie podobna i że rewolucyjne ruchy niższych warstw są następstwem niesprawiedliwego postępowania warstw wyższych; tak myślałem wtedy — i tak dziś jeszcze myślę”. „Trzeba tylko czytać „Egmonta” — powiada Eckermann— „ażeby się przekonać, jak pan myślisz. Nie znam żadnej sztuki niemieckiej, którąby więcej od tej była poświęconą wolności ludu”. „I znowu — mówi Goethe dalej — dla narodu to jest tylko dobrem, co wynika z własnego jego rdzenia i z własnych jego potrzeb, bez małpowania drugiego. Stąd też szalonemi nazwać trzeba wszystkie usiłowania, dążące do zaprowadzenia zagranicznych nowości, a nieuzasadnione tkwiącą w głębi narodowego rdzenia potrzebą; wszelkie rewolucye, mające to na względzie, kończą się nieszczęśliwie, nie sprzyja im bowiem Bóg, zawsze stroniący od każdej fuszerki. Jeżeli jednak zachodzi rzeczywista potrzeba przeprowadzenia wielkiej reformy w narodzie, Bóg skłania się ku temu i wszystko pomyślnym wieńczy się skutkiem. Widocznym tego przykładem jest pojawienie się Chrystusa i pierwszych jego wyznawców, ponieważ głoszenie nowej nauki, opartej na miłości, stało się potrzebą narodów. Równie widocznym przykładem jest ukazanie się Lutra — wtedy taką potrzebą i to niemniejszej wagi stało się oczyszczenie owej nauki, przez kler skażonej. A wszak obie nauki nie sprzyjały ówczesnym urządzeniom”. I nie można powiedzieć, ażeby słowa te, wypowiedziane w cztery oczy do zaufanego, stawały w sprzeczności z jego niejednokrotnemi oświadczeniami w życiu publicznem; jest rzeczą powszechnie wiadomą, że paryską lipcową z roku 1830 rewolucyę traktował on z zaznaczonego wyżej punktu widzenia i że go ucieszyła, podczas gdy najbliższe jego otoczenie i wielu wybitnych mężów, jak np. Niebuhr, widzieli w niej przyjście do rządów barbarzyństwa. Obszerniej roztrząsać nie możemy politycznych zapatrywań Goethego, dodać wszakże tu musimy, że z jednej strony „nigdy nie miał wielkiego respektu dla władzy nieograniczonej, z drugiej

zaś, że najgłębsze uszanowanie wzbudzał w nim dzielny człowiek, z ludu wychodzący, i że się nieraz o tem odzywa w sposób, do jakiego jesteśmy tylko u Jean Paula przyzwyczajeni.

Chętnie zatrzymalibyśmy się jeszcze nad religijnymi i moralnymi poglądami Goethego, które, podobnież jak i polityczne, bywają niejednokrotnie nie uwzględniane i zniesławiane; zaprowadziłoby to nas wszakże zbyt daleko; niech tu wystarczy uwaga, że jego religijne i moralne poglądy spoczywały na najgłębszem przekonaniu, że jednak i w nich, podobnież zresztą jak i we wszystkiem innem, obcym był wszelkiemu fanatyzmowi i obłudzie, i że z tego względu fanatycy i obłudnicy wrogo przeciw niemu występują.

Charakter poezyi Goethego z łatwością wogóle określić można; oddawna na to wyraz znaleziono, ponieważ sam go wypowiedział. Że był przedmiotowym poetą w całem znaczeniu tego słowa, jest to rzeczą tak powszechnie uznaną i tak często powtarzaną, że można byłoby tu już o tem nie mówić. Jużeśmy wyżej dostrzegli, jak ta właściwość rozwijała się w nim, poczynając od lat najwcześniejszych. Jak widzimy z przytoczonych tam własnych słów poety, kierunek ten tłómaczy on sobie tem, że nie miał innej treści, jak ta, której mu życie dostarczało, jest to jednak tylko po części słusznem. To dążenie do przedmiotowości leżało w całej jego naturze; jest to tem pewniejsze, że dostateczną wskazówką do wgłębiania się myślą w ulubioną materyę odebrał Goethe od współczesnych poetów: Klopstocka, anakreontyków i wielu innych. Jeżeli tego nie czynił, było to dowodem, że sprzeciwiał się swej nawskroś poetyckiej naturze. To przyrodzone usposobienie zostało wzmocnione już w rodzicielskim domu zajmowaniem się sztukami pięknemi, a później w Lipsku rozwinęło się jeszcze bardziej dzięki obcowaniu z Oeserem. Można nawet powiedzieć, że już wtedy nabrał Goethe przeświadczenia, że studyowanie sztuk pięknych wywrze błogosławiony wpływ na rozwój jego poetyckiego talentu. „Pracownia wielkiego artysty"—pisze on już w dniu 9 listopada 1768 r. do Oesera—rozwija młodego filozofa, młodego poetę więcej, niż aula mędrca lub krytyka". I w tem samem znaczeniu mówił później do Eckermanna: „Przedmiotowość mojej poezyi zawdzięczam przecie owej wielkiej uwadze i ćwiczeniu oka — i wysoko stawiam tą drogą nabyte wiadomości [1]).

[1]) To ostatnie wyznanie Goethego rozciąga się i na jego przyrodnicze studya, które nawet i we Włoszech prowadził w dalszym ciągu: myśl o metamorfozie roślin obudziła się w nim poraz pierwszy w Sycylii.

Jeszcze bardziej zdeklarowanym stał się ten przedmiotowy kierunek, kiedy Goethe dzięki Herderowi poznał rzeczywistą istotę poezyi; można nawet twierdzić, że dopiero odtąd począł być świadomym własnej swej natury, albo też, że ona, jak to już wyżej powiedzieliśmy, odniosła w nim zupełne zwycięstwo nad dotychczasowemi przyzwyczajeniami. Odtąd poeta trzymał się wyłącznie natury, życia i realizmu; odtąd widział coraz jaśniej, że poezya nie polega na frazesach i formułkach, lecz na jasném rzeczywistem przedstawieniu przedmiotu. „Przeznaczeniem poety jest obrazowanie" powiada w swych „Maksymach i refleksyach". Najwyższym jego tryumfem jest to, kiedy współzawodniczy z prawdą, t. j. kiedy obrazy tak są duchem prawdy ożywione, że każdemu wydawać się może, iż patrzy na nie. Dlatego téż, ponieważ pierwsze utwory Goethego: „Götz" i „Werter" na tej prawdzie oparte były, natychmiast po ukazaniu się wywarły tak głębokie i powszechne wrażenie, że już w parę lat po swem pierwszem wystąpieniu był on bez zaprzeczenia uważany za największy talent poetycki owych czasów. Lecz wtedy nie zdawano sobie z tego jeszcze dokładnie sprawy, na czem polega właściwa jego wielkość, cieszono się jego twórczością, jak wiosennym kwiatem, nie zastanawiając się bynajmniej nad jej pochodzeniem. Tylko jego przyjaciel Merck patrzał głębiej i dlatego też pisał do niego jeszcze w młodzieńczych latach: „Twoje dążenie, twój nieprzeparty kierunek ma na celu przyobleczenie prawdy w kształt poetycki; inni starają się o urzeczywistnienie tak nazywanej poetyczności, imaginacyjności — i wynikiem tego jest głupstwo". W tem znaczeniu powiada też Goethe do Eckermanna: „W ogóle nie było to moim rodzajem dążyć, jako poeta, do ucieleśnienia czegoś abstrakcyjnego. Duchowa moja istota odbierała wrażenia, i to wrażenia rozmaitego rodzaju, jakich tylko dostarczyć mogła żywa siła wyobraźni; i, jako poeta, nie miałem nic innego do czynienia, tylko wrażenia te artystycznie zaokrąglić i wykształcić dla tak żywego ich wyobrażenia, ażeby inni odbierali te same wrażenia, słuchając moich wyobrażeń albo też je czytając. Kiedy zaś chciałem, jako poeta, wyrazić jaką ideę, czyniłem to w małych wierszach, gdzie mogła panować zupełna jedność. Jedynem dziełem większej objętości, gdzie z zupełną świadomością starałem się przeprowadzić pewną ideę, były P o w i n o w a c t w a z w y b o r u. Powieść wskutek tego stała się bardziéj dostępną dla rozumu, lecz nie chcę twierdzić, że dlatego stała się lepszą".

Jakkolwiekbądź, Goethe posiadał przenikającą się nawzajem rzadką siłę wrażliwości i produkcyjności, nie byłby wszakże dosię-

gnął tych wyżyn niezrównanych, które w dziełach jego podziwiamy, gdyby przyrodzonego geniuszu swego nie był rozwinął aż do doskonałości zapomocą usilnej pracy. Wiemy, ile czasu i mozołu poświęcił studyowaniu sztuk pięknych, wiemy, że głęboko i gruntownie zajmował się naukami przyrodniczemi, i, aczkolwiek nie miał przytem na względzie poetyckiej swej twórczości, nie pozostało to bez korzystnego na nią wpływu. We wszystkich bowiem jego poezyach tchnie duch przyrody, wszędzie podziwiamy ją w całéj jéj prawdzie i piękności; wszystkie obrazy, wszystkie porównania znamionują znawcę, mistrza, który podsłuchał najskrytsze jéj tętno. Dla tego téż i poezye, napisane przezeń w dojrzałym wieku, tchną jeszcze całą świeżością, właściwą tylko wiekowi młodzieńczemu, tak np. prześliczny wiersz p. t. „Wczesna wiosna", napisany przezeń w 54-ym roku życia. Jego pilność zwracała się wszakże i ku temu, co się bezpośrednio tyczyło sztuki poetyckiej; przyswoił sobie wszelką duchową i mechaniczną wprawę, ponieważ wiedział o tem, że to, co tkwi w nim, tylko wtedy w doskonałej postaci przejawić się może, kiedy w zupełności zapanuje nad wszelkimi środkami, niezbędnymi do wyobrażania. I, jak w pierwszych utworach już występuje, jako największy poeta swoich czasów, tak w późniejszych widzimy w nim największego artystę, w którego dziełach sztuka i natura zlewają się w całość tak doskonałą, że niepodobna wprost określić, gdzie się jedna kończy, a druga rozpoczyna. I właśnie ta wybitna właściwość jego poezyi, ta przedziwna powściągliwość, która mu nigdy wyjść nie pozwala po za granicę piękna i prawdy, jest podobnież owocem jego natury i jego talentu, jak i wysokiego artystycznego wykształcenia; ową powściągliwość spotykamy już w najbardziéj swobodnych i swawolnych utworach jego młodości, aczkolwiek nie ukazuje się ona w tak łagodnej formie, jak w późniejszych jego dziełach.

Cały skarb doświadczenia, zdobyty nieustannem obserwowaniem zjawisk życiowych i przyrody, nieprzebrane bogactwo wiadomości, osiągniętych usilną pracą — wszystko to stało się podwaliną owej godnej podziwu wszechstronności, która stawia go na czele wszystkich poetów. Nie mamy tu zamiaru wglądać w jego niestrudzoną działalność, która w podeszłym wieku była niemniejszą, niż w latach młodzieńczych i dojrzałych [1]; nie chcemy wykazywać, że,

---

[1]) Doskonale mówi Sorel w swych: „Notice sur Goethe" (Genève 1832): „son esprit était resté créateur, observateur et productif jusqu'a à la fin, et ne s'arrêtait dans son action que là, où s'arrêtaient les forces physiques; celles ci étaient tout ce qu'elles pouvaient être à cet âge".

jako biograf, badacz przyrody, krytyk, archeolog, estetyk, a nawet i krasomówca, tworzył rzeczy niepospolite... chcemy tylko jednym rzutem oka ogarnąć jego dzieła poetyckie, które same zawierają tak wielką różnorodność formy i treści, że je prawie uważać trudno za utwory jednego i tego samego poety. Na tem bowiem polega istotna różnica pomiędzy Goethem a wszystkimi innymi, choćby i największymi poetami, że prawie każde słowo, z pod pióra jego wychodzące, nosi na sobie stempel jego geniuszu — że jednak niemożliwem jest określenie z jego dzieł charakteru jego ducha i umysłu. W każdym utworze Schillera najwyraźniej przejawia się cała jego osobistość — o żadnym utworze Goethego nie można powiedzieć, że on w nim występuje, spotykamy go bowiem w każdym innym w zupełnie odmiennej postaci, a jednak wszędzie, we wszystkiem jest to niewyszukany, naturalny prawdziwy — cały Goethe [1]).

Jest to przedewszystkiem wszędzie wielki poeta, który stosownie do potrzeby treść kształtuje, ożywia ją twórczym swym duchem i zarazem tchnie w nią właściwe życie, tak, że skreślone przezeń postacie wydają nam się organicznymi, na wewnętrznej konieczności opartymi tworami. Tak w „Götzu" i w „Egmoncie" poeta przenosi nas o parę wieków wstecz i odtwarza owe czasy przed naszemi oczami z taką prawdą, że żaden historyk nie mógłby nam tak wiernie wyobrazić ni pojedyńczych osób, ni usposobienia ludu, ni poszczególnych stanów, chociażby rozporządzał tym samym, co Goethe, materyałem. I zaledwie w tak świetny sposób zapowiedział się światu, jako dramaturg, gdy nagle w „Werterze", zaprowadziwszy nas w bardziej ograniczone szranki, otwiera sam najskrytsze tajniki serca ludzkiego i w całej okropnej prawdzie odtwarza niszczącą potęgę namiętności. Potrzebujemyż jeszcze dla wykazania jego przedziwnej siły twórczej dodawać, że w „Ifigenii" odtwarza świat starożytny w całej jego pełni i piękności, że w „Tassie" z taką prawdą maluje życie poety w przeciwieństwie do otaczające-

---

[1]) „W mojej poezyi — powiedział raz do Eckermanna — „nigdzie niema afektacyi. Czego nie przeżyłem, co mnie do głębi nie przenikało i nie zmuszało do tworzenia, tegom nigdy w poezyi swej nie wypowiedział. Miłosne poezye pisałem tylko wtedy, kiedym kochał. Jakże byłbym mógł pisać pieśni nienawiści, nie nienawidząc! A między nami powiedziawszy, ja nie nienawidziłem Francuzów, choć dziękowałem Bogu, kiedyśmy się od nich uwolnili. Jakżeż ja, dla którego tylko kultura i barbarzyństwo mają znaczenie, mógłbym nienawidzieć naród, należący do najbardziej cywilizowanych na świecie, któremu zawdzięczam tak znaczną część mojego wykształcenia".

(Z rozmów z Eckermannem).

go życia rzeczywistego, iż niepodobna się wprost oprzeć kuszącej nas myśli, że „Tassem" jest on sam, pozostałemi osobami Wejmarskie jego otoczenie? Mamyż jeszcze przypominać, że w „Hermanie i Dorocie" ówczesne życie ludu niemieckiego tak z antyczną formą zespolił, że ona zdaje się z niego brać początek? Mamyż jeszcze przytaczać „Fausta", w którym w tak wązkich ramach rozwinął przed nami najbardziej skończony i wszechstronny obraz życia ludzkiego podług wewnętrznych i zewnętrznych jego zjawisk? — mamy dalej mówić o „Wilhelmie Meistrze", „Powinowactwach z wyboru" i wielu innych? Przekroczyliśmy o wiele granice, pracy naszej zakreślone. Wystarczy przypomnienie wszystkich tych arcydzieł, ażeby czytelnik uświadomił sobie genialną wszechstronność tego poety i artysty.

Rzecz naturalna, że i językiem ojczystym władał Goethe po mistrzowsku — jego czystość i piękność starał się zachować już w najpierwszych swych utworach — później zaś dzięki usilnej pracy osiągnął nad nim zupełne — i to niepodzielne — panowanie. W pierwszych utworach opierał się świadomie na języku ludowym i temu właśnie zawdzięcza, że z biegiem czasu wyrobił sobie język przedziwnie piękny, czysty, a przytem nawskroś niemiecki, którym już współczesnych czarował i który nigdy nie przestanie być dla Niemców niedoścignionym wzorem.

Wobec potęgi i głębi tego olbrzymiego talentu, nic dziwnego, że Goethe już po pierwszem swem wystąpieniu zdobył rozgłos i niepodzielne panowanie w ojczystem piśmiennictwie. Ilekroć zwracał się do nowego przedmiotu i nadawał mu nową, stworzoną przez samego siebie formę, porywał za sobą w tym kierunku całe Niemcy, jego dzieła bowiem nie tylko wywoływały liczne naśladowania, lecz, jak to mianowicie miało miejsce z „Werterem", docierały do głębi życia narodowego.

Przechodząc do omówienia lirycznych poezyi Goethego, nadmieniamy, że, jakkolwiek jest on wielki we wszystkich pozostałych działach poezyi, nie wahamy się wszakże twierdzić, że, jako liryk, stoi najwyżej i że się w poezyi lirycznej talent jego przejawia w całej swej pełni i wspaniałej sile; na tem polu żaden inny poeta mierzyć się z nim nie może ani pod względem bogactwa treści, ani też pod względem rozmaitości gatunków i form. Zwłaszcza drobne jego wiersze obfitują w taką różnorodność form i tonów, że graniczy ona wprost z nieskończonością. Wielu nawet bardzo wybitnych poetów w raz potrąconą strunę, jeśli ta odgłos znalazła, uderzało aż do znudzenia, wpadając w pewną manierę; a Goethego każdy wiersz

posiada własną istotę, każdy jest odmienny. Każdy wyszedł z głębin jego duszy, a żyje, zda się, własnem samoistnem życiem, tak że twórca znika zupełnie z uwagi czytelnika. Wszystkie jego liryczne wiersze odznaczają się najwyższą doskonałością i zarazem zupełną prostotą, nigdzie bowiem niema ani śladu sztuczności — ni w myśli, ni w wyrazie, ni w języku, ani też w budowie wiersza. We wszystkich swych wierszach lirycznych Goethe wykazał skończone mistrzostwo obrazowania, którego czarowi oprzeć się niepodobna. Aczkolwiek widzimy u niego nadzwyczajne bogactwo różnorodnych form, są one wszakże przeważnie wzorowane na formach pieśni ludowych; dostrzegamy tylko jedyną próbę antycznej budowy strofy („Hymn Mahometa" w Getyńskim almanachu muz z r. 1774), pozatem często posługuje się hexametrem i elegijnym rozmiarem wiersza.

To, cośmy powiedzieli wogóle o charakterze liryki Goethego, daje się najzupełniej powtórzyć o jego *pieśniach*; to je wyróżnia od pierwszego wejrzenia pomiędzy utworami innych poetów, że, bez względu na rodzaj przenikającego je uczucia, wypowiadają je z taką prostotą i prawdą, jak gdyby się bezpośrednio w wyrazy przybierały. Przytem spotykamy u niego takie bogactwo rymów, taką swobodę i mistrzostwo w posługiwaniu się nimi, że pieśni jego już dzięki temu samemu, mają czar nieprzeparty.

Właściwości te występują już po części w jego pierwszych próbach, doszłych do naszych czasów, a które się ukazały w r. 1769 p. t. „Nowe pieśni, pod muzykę podłożone przez Bernarda Teodora Breitkopfa"; Goethe w zbiorowych swych dziełach niektóre z nich zupełnie pominął, inne zmienił, inne znów pozostawił bez zmiany. Rosenkranz niektórym z nich zarzuca, że tchną pewną niemiłą przedwczesną dojrzałością, lecz zarzut ten, słuszny zresztą, spotyka właśnie pieśni, pominięte następnie przez Goethego. Trudno również przemilczeć, że w znacznej części przypominają one wcześniejszy rodzaj pieśni z XVIII w., są bowiem przeważnie oparte na refleksyi. Lecz już i w niektórych, jak np. w „pieśni weselnej", którą wcielił następnie do zbioru dzieł p. t. „Noc poślubna", znajdujemy już wszystkie znamiona Goethego. Pieśni te wyróżniają się zresztą, z wielką dla siebie korzyścią, śród innych współczesnych tem, że autor wykluczył z nich wszelką obczyznę i uczoność, któremi naówczas w poezyi powszechnie pyszniono się i popisywano.

Jak zresztą na cały jego kierunek i twórczość poetycką, tak i na talent liryczny, znaczny wpływ wywarł pobyt poety w Strassburgu i obcowanie z Herderem. Odtąd wyzwolił się raz na zawsze z pod wszelkich obcych wpływów i wstąpił na drogę, na której nie-

miecka liryka dzięki niemu tyle pysznego kwiecia zebrała. Wziął też i formę z pieśni ludowej, oddawna zapomnianej i wzgardzonej przez wykształcone sfery, i wypowiedział najgłębsze uczucia, duszą jego wstrząsające, z młodzieńczą świeżością i prawdą, które wzorowi swemu zawdzięczał, jak to widzimy w wierszach „Wieczorna pieśń myśliwego" i „Ocalenie"; że zaś już wtedy dążył nieprzeparcie do odtwarzania przyrody w swych poezyach, dowodzi tego piękny jego wiersz „Pieśń wieczorna artysty". Wprawdzie z czasem ludowy pierwiastek w formie jego utworów coraz bardziej zanikać począł, lecz i śród późniejszych jego pieśni spotykamy niejedną, która zdaje nam się być pieśnią ludową, tak np. „Skarga pasterza owiec", „Pociecha w łzach" i w. in.

Goethe powtarzał niejednokrotnie, że wszystkie jego poezye powstały bezpośrednio pod wpływem okoliczności i stosunków, w jakich żył; choćby tego nie był powiedział wyraźnie, musielibyśmy to zaznaczyć, jako charakterystyczny rys jego pieśni, ponieważ tem tylko tłómaczy się ich prawda objektywna, ich chwytająca za serce bezpośredniość. To też nawet wiersze, pozbawione ogólniejszego znaczenia, jak np. „Szczęśliwi małżonkowie", otrzymują tym sposobem ogólno-ludzkie piętno, dzięki któremu chętnie poświęcamy uwagę naszą roztrząsanemu w nich przedmiotowi.

Ilość pieśni Goethego tak jest wielką, treść ich, w kształt poetycki ujęta, tak bogata i różnorodna, że tylko praca specyalnie poświęcona lirycznej jego twórczości, mogłaby wszystkie jej strony wyświetlić. Jakież bogactwo i rozmaitość spotykamy w jego poezyach miłosnych, w których dzwonią wszystkie struny uczucia, poczynając od żartobliwéj miłostki aż do wyrazu porywającéj namiętności, w których zawsze z nieprzepartą siłą i urokiem przemawia czyste i prawdziwe uczucie, czy to kiedy kreśli szczęście kochającego serca, dla którego nawet w oddaleniu blizką jest ukochana, czy też kiedy maluje siłę wspomnień znikłego szczęścia młodzieńczej miłości. Jakżebyśmy oddać mogli wszystkie odcienie, leżące pomiędzy tym krańcowymi punktami, kiedy z miłosnych poezyi Goethego dałby się ułożyć cały, bogaty w treść romans, któryby może nawet i objąć nie mógł wszystkiego tego, co się w owych poezyach przesuwa przed naszemi oczami w przedziwnej prawdzie i rozmaitości. Podobną różnorodnością odznaczają się i jego „Pieśni towarzyskie", w których się naprzemiany wypowiada to śmiała, lekkomyślna, młodzieńcza swawola, chętnie szukająca oparcia na jędrnym ludowym dowcipie, to znów poważny pogląd na świat i życie. A przytem co za rozmaitość treści, dla której poeta zawsze znaleźć umie jedyny

odpowiedni ton, tak że nas poprostu jakaś moc czarowna otacza kreślonymi przez niego obrazami! Musielibyśmy jednak wszystkie te pieśni nazwać i przytoczyć, chcąc wykazać całą ich piękność, głębokość, świeżość, całą ich poetyczność. Musimy się też ograniczyć do kilku uwag o zbiorze, wydanym przez Goethego p. t. „Zachodnio-wschodni dywan”. W r. 1813 pobudzony dokonanymi przez Hammera przekładami z Hafiza pracował nad nim Goethe z wielkiem zamiłowaniem przez lat parę. Pomyślany zupełnie w duchu wschodnim, tak, że się każdy wiersz stosuje do obyczajów, poezyi i religii Wschodu, nie czyni wszakże „Dywan” ten, z wyjątkiem paru pieśni, bynajmniej wrażenia cudzoziemczyzny, jak to ma miejsce ze wschodniemi poezyami późniejszych poetów, ponieważ tak szczęśliwie zespala pogląd dalekiego wschodu z poglądami zachodnimi, że nie wywierają one wrażenia sztucznie złączonych. Powiedzielibyśmy, że Goethe przebudził na nowo do życia z dawna drzemiące u ludu niemieckiego wschodnie elementy i tylko zapożyczył od poetów wschodnich takich barw, jakie są i niemieckim właściwe. Z dwunastu ksiąg, na które „Dywan” się rozpada, najbardziej doskonałą jest księga „Zulejki”; godną jest uwagi ta tkliwość i namiętność, z jaką w tak późnych latach Goethe umiał jeszcze miłość malować. A jednak nie wiele z tych poezyi poszczycić się może tym tajemniczym urokiem, który nas w jego wcześniejszych pieśniach tak nieprzeparcie porywa; aczkolwiek bowiem posiadają wszystko, co poezya i sztuka dać może, czujemy wszakże, że nie są one krwią z jego krwi i kością z jego kości, jak to sam o Goetzu powiedział. Nie wypłynęły one z głębi jego duszy, lecz, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, powstały z pobudek zewnętrznych; rozumiemy też dobrze, dla czego Goethe mógł potem powiedzieć, że pieśni z „Dywanu” nie mają już z nim nic wspólnego, że podobnież, jak i ich oryentalizm, tak i namiętność zamarły dla niego i że są dla niego tem, czem dla węża skóra, porzucona przy drodze.

Jak w pieśniach, z których każda sama w sobie melodyę nosi i ze względu na swą prostotę, podobnie jak pieśń ludowa, najsilniejsze wywiera wrażenie, wielkim jest Goethe i w elegiach, z których każda jest skończonem arcydziełem. Założenie i wykonanie, myśl i język, wiersz i obrazowanie, całość i pojedyńcze szczegóły — wszystko tam jest zarówno doskonałe; wszędzie starożytna forma zespala się szczęśliwie ze współczesnem życiem w jedną doskonałą, organiczną całość, i stosunki współczesne dzięki temu samemu otrzymują podnioślejszy nastrój, że tchnie z nich duch starożytności, nigdzie bynajmniej nie mrocząc istoty nowożytnego świata. W tem

przejęciu starożytnego ducha znajdujemy tę samą wielkość, co w „Dywanie", z tą różnicą, że elegie nie powstały, jak on, z pobudek zewnętrznych, tylko istotnie stanowią krew z krwi poety. Śród nich „Rzymskie elegie" nie ze względu na doskonałość (bo cóż może być wspanialszego, niż „Alexys i Dora", „Nowy Pauzias" i w. in.), lecz ze względu na objętość zajmują pierwsze miejsce, ponieważ dwadzieścia części, z których się składają, stanowi zaokrągloną całość, każda znów poszczególna część własnem tchnie życiem, każda bowiem stanowi doskonały obraz pewnej sytuacyi, tak jasno i wyraziście oddany, że się, jak to zwykle ma miejsce u Goethego, wobec rzeczy samej, zapomina o artyście. „Rzymskie elegie" spotykały się z licznymi zarzutami ze strony surowej moralności, i niejednokrotnie usiłowano je zestawiać z pospolitymi wytworami drugiej poetyckiéj szkoły szląskiej. Jakaż jednak olbrzymia różnica zachodzi pomiędzy nią a Goethem. Gdy u Szlązaków wszystko opiera się na pospolitéj zmysłowości, natchnieniem poety jest szczera rozkosz, widokiem piękna spowodowana; kiedy tam wszystko w brudzie się tarza, u Goethego panuje najwyższa subtelność, i nawet najdrażliwsze sprawy są traktowane z wdziękiem, smakiem i wytwornością.

Z pozostałych elegii wymienimy tu tylko jedną—„Amyntas", ponieważ zdaje nam się, że jest ona mniej cenioną, niż na to zasługuje. Już sama myśl poświęcenia się w miłości jest podniosłą i w dalszym jéj rozwoju, w którym dusza i zmysły ściśle się splatają, jest to utwór niepospolitej piękności poetyckiej.

W inny sposób opiera się poeta na starożytności w swych „hymnach", lecz i tu z tą samą samoistnością, którą w elegiach podziwiamy. Prostota, z powagą połączona, szczery a zarazem wzniosły, miejscami dytyrambowego polotu sięgający ton, odznaczający się najwyższą dźwięcznością rytm antyczny, tak, że się braku rymów bynajmniéj nie uczuwa — wszystko to przypomina nam najdoskonalsze wytwory liryki greckiej; a jednak o ileż jest to wszystko inne: występuje tu nawskroś nowożytny pogląd na świat i cała pełnia kultury chrześcijańskiej. Hymny te są tylko owiane poetycznem tchnieniem starożytności; zdaje nam się, że jeden z największych poetów greckich w całej potędze swego talentu przeżył aż do naszych czasów i w dziele tem zespolił w harmonijną i pełną życia całość czarowne nieśmiertelne piękno sztuki greckiej z bogatym dorobkiem chrześcijańskiej kultury, na którą całe wieki się składały. Aczkolwiek jednak na tem wyłącznie polega charakter wszystkich utworów, do tego rodzaju należących: wcześniejszych, w których Goethe raczej przeczuwał i odgadywał ducha starożytności, oraz później-

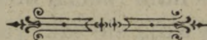
szych, w których występował, opierając się na szerokiej podwalinie swych pracowitych studyów nad sztuką starożytną — jakże bogatym i różnorodnym wydaje nam się szereg tych utworów, jakież mnóstwo idei i poglądów rozwija w nich poeta przed naszemi oczami! I one stanowią doskonałe odbicie jego poetyckiego żywota, i, kiedy w „Prometeuszu" rozpoznajemy całą tytaniczną wyniosłość jego młodości, w „Granicach ludzkości", w „Ganimedzie" i we wspaniałym hymnie „Boskość" występuje, jak to zauważył Schäfer w swym żywocie Goethego, „uczucie pokory i świadomego granic bytu oddania się wieczności i bóstwu, rządzącego prawami przyrody i ludzkimi czynami, ku któremu człowiek tylko w tem się zbliża, że tworzy dzieła pożyteczne i sprawiedliwe".

Goethe był zbyt wielkim artystą na to, ażeby zajmować się igraszkami romantyków i naśladować rozmaite południowe formy poetyckie, które na długo wszystkie inne wyparły. Posługiwał się tylko często włoską oktawą, lecz czynił to z mistrzowstwem, jakie widzimy we wspaniałym wierszu „Poświęcenie", otwierającym zbiór jego pism z roku 1787, a dającym doskonały obraz jego poetyckich działań i dążeń. Znacznie później zwrócił się Goethe do sonetu, do którego przez długi czas nie mógł w sobie niechęci przezwyciężyć, ponieważ, jak sam powiada w jednym z sonetów, formę tę uważał za szranki zbyt ograniczone, ażeby w nich się swobodnie można było poruszać. Jednak źródło tej niechęci leżało może raczej w tem, że nie chciał używaniem tej południowej formy wpływać na jej rozpowszechnienie i że stronieniem od niej pragnął zapobiedz jej nadużyciu. Kiedy wszakże ową niechęć przezwyciężył, stworzył szereg sonetów, należących do najlepszych, jakimi szczyci się poezya niemiecka... sonetów, w których, jak sam w jednym z nich słusznie powiada, natura jaknajściślej zlewa się ze sztuką; dał w nim tem samem doskonały obraz poetyckiej swej twórczości.

K.



Mechanika społeczna*)



Teorya rodziny i własności.

I.

Niechaj nam wolno będzie w formie wstępu powiedzieć słów kilka o mechanice wogóle. Ostatnimi czasy przeciw tej nauce wymierzone zostały liczne pociski krytyczne, które, zdaniem naszem, bynajmniej jej nie nadwyrężają. Wszyscy bowiem krytycy ostatecznie się zgadzają, iż mechanika jest swego rodzaju logiką — i to najdoskonalszą logiką, jaka do układów zastosowaną być może. Mechanika pozwala nam ujmować związki, istniejące między faktami, wprowadza je w porządek, w syntezę, ale przez to bynajmniej charakteru samego faktów ani ich zawartości empirycznej nie zmienia. Wyobraźmy sobie aptekę: flakony ustawione są w niej w pewien sposób logiczny, możnaby je ustawić jeszcze na dziesięć

*) Por. poprzednie nasze prace o „Mechanice społecznej". Ateneum, grudzień 1897, kwiecień 1898, luty 1899, maj 1899.

innych sposobów tegoż rodzaju, i przez to zawartość flakonów nie zmieniłaby się. Możnaby wreszcie ustawić te flakony bez żadnego ładu i porządku, i wówczas nicby w nich się nie zmieniło, tylko aptekarz nie byłby wstanie niczego znaleźć.

Otóż mechanika gra rolę właśnie ładu, porządku, wprowadzonego do zjawisk i niczego więcej. Jestto, jak słusznie Mach [1]) powiada, pewnego rodzaju ekonomia naukowa, która pozwala obejmować wielkie obszary zjawisk jednym rzutem i zapewnia oszczędność pracy, pamięci, wysłowienia. Oczywista rzecz, iż ta ekonomia naukowa wymaga na każdym kroku wprowadzenia etykiet, imion, nazw ogólnych, które istoty faktów nie zmieniają, lecz pozwalają właśni ustanawiać je w należytym, jaknajbardziej ekonomicznym porządku.

Możemy inaczej jeszcze myśl naszą uwidocznić. Mechanika jest planem i rusztowaniem, których używamy, chcąc wybudować jakiś gmach nauki. Gdy gmach jest skończony, możemy rusztowanie rozwalić i plan schować, gdyż wówczas budowa sama już się trzyma.

W takiem właśnie znaczeniu można zastosowywać mechanikę do wszelkiej dziedziny wiedzy. Czy ciążenie kosmiczne istnieje w rzeczywistości, czy nie, to jest nam rzeczą obojętną — sam Newton powiada tylko, iż rzeczy odbywają się tak, j a k g d y b y o n o i s t n i a ł o — dość, że ta abstrakcya pozwala nam krótko, jasno i ekonomicznie ująć całą dziedzinę odnośnych objawów i zastosować do nich pomiary ilościowe. Tak samo jest nam na razie rzeczą obojętną, czy ciążenie między istotami tegoż gatunku istnieje faktycznie, czy nie, przyjmujemy tę abstrakcyę — i wogóle całą teoryę energii — gdyż ona pozwala nam wprowadzić ład logiczny w zjawiska społeczne i zastosowywać do nich pomiary ilościowe [2]). Uznajemy tylko fakty, ale fakty same jeszcze nauki nie stanowią, muszą być uporządkowane, wprowadzone w system, pozwalający je mierzyć. Otóż system ten w socyologii nie może być dany przez logikę zwykłą, lecz tylko przez mechanikę.

Logika zwykła operuje dotychczas naiwnemi kategoryami przyczyny i skutku, prowadzącemi do różnych teoryi, opartych na wierze w „główne czynniki rozwoju": umysłowy (Comte), ekonomiczny (Marx), moralny (de Roberty) i t. d. Otóż metoda ta oczy-

---

[1]) Dr Mach: „Die Prinzipien der Waermelehre", Lipsk 1896.

[2]) Por. „Energię społeczną" Ateneum, Maj 1899.

wiście nie jest naukową. Wszelki rozwój jest procesem przekształcenia energii, do którego powyższe kategorye zastosowane być nie mogą. Probowano także zastosować do społeczeństw logikę biologiczną, utożsamiając je z organizmami, ale był to sposób postępowania zbyt specyalny — organizmy bowiem nie wyczerpują całej natury, tymczasem należy mieć logikę najogólniejszą, któraby mogła być zastosowaną do wszelkich układów. Wreszcie analogie biologiczne dotychczas nie doprowadziły i doprowadzić nie mogły do żadnych pomiarów ilościowych, pozostawały więc całkiem platoniczne.

Co się tyczy materyalistów ekonomicznych lub historycznych czyli marxistów, to większość ich sama przyznaje, iż najsłabszą stroną ich teoryi jest właśnie metoda logiczna, której używają, oparta w zupełności na metafizyce Hegla, operując dotychczas przestarzałemi kategoryami tezy, antytezy i syntezy. Zresztą błędna w zasadzie teorya ekonomiczna Marxa[1]), sprowadzająca wartość jedynie do pracy średniej wyrobnika, oddzielająca niepotrzebnie wartość użytkową od zamiennej i odmawiająca wartości wszystkiemu, co pracy w sobie nie zawiera (zabawne są przytem wyjaśnienia Marxa np. z powodu prostytucyi, iż są rzeczy, mające tylko wartość „fikcyjną", „wyobrażalną") odcięła marxistom wszelką możność zastosowania pomiarów do większości dóbr niemateryalnych i do wartości człowieka, jako wytworu naturalnego, z istniejącemi w nim różnicami rasowemi (bo takowy według Marxa wartości nie posiada).

Tymczasem ekonomia matematyczna[2]), rozszerzona przez nas do systemu mechaniki społecznej, operując pojęciami energii potencyalnej i kinetycznej, pozwala ująć wszystkie procesy społeczne w jeden system i zastosowywać do nich — we wszystkich bez wyjątku objawach, bądź materyalnych, bądź duchownych — pomiary ilościowe.

Możnaby na to zarzucić, iż ta logika wyrachowania mogłaby co najdalej być zastosowaną do ludzi ukształconych, którzy na rachunku ekonomicznym mniej więcej opierają swe postępowanie, ale że ona jest nieodpowiednią dla ludzi pierwotnych, dla chłopów chociażby, żyjących nie wyrachowaniem, lecz uczuciem, przesądami i t. d. Zarzut ten dowodziłby tylko zupełnego niepojmowania naszego stanowiska. Dla mnie uczucia, zabobony, wierzenia i t. p. są objawami energii życiowej, do której zastosowuję ogólne równania

---

1) Por. naszą krytykę III-go tomu „Kapitału". Ateneum 1898.

2) Por. „System ekonomii matematycznej". Ateneum, grudzień 1997.

ruchu Lagrange'a, zupełnie tak samo, jak to czyni Boltzman względem elektryczności [1]). Okazuje się, iż elektryczność, siła nieświadoma, w ruchach swych postępuje tak, iż rezultaty tego postępowania w zupełności są zgodne z najściślejszym naszym świadomym rachunkiem — i na tem właśnie opiera się możność zastosowania pomiarów ilościowych do elektryczności. Absolutnie toż samo można powiedzieć o energii biologicznej i o takich jej objawach, jak uczucia, zabobony, wierzenia, przesądy i t. p. W nich wszystkich zawiera się pewna ukryta logika, która jest toż-samą z logiką mechaniki, z logiką wyrachowania — i dlatego właśnie one mierzone być mogą.

Trzeba więc sobie raz na zawsze powiedzieć, iż w świecie całym, materyalnym i duchowym, wszystko oparte jest na rachunku najściślejszym, i, gdyby jakiś idealny rachmistrz mógł sprawdzić ten rachunek we wszystkich jego szczegółach, przekonałby się, iż świat nie może w danej chwili być innym, aniżeli jakim jest, a to dlatego, że wszystko w świecie oparte jest na zasadzie najmniejszego wysiłku, którą na każdym kroku życia sprawdzić możemy: gdy woda stacza się po pochyłości, wybiera miejsca wyżłobione, gdzie może to czynić z najmniejszym wysiłkiem. Toż samo dzieje się ze wszystkiemi ciałami, ożywionemi, lub nie: wszystkie znajdują się wciąż w ruchu i w ruchu tym dążą w stronę najmniejszego oporu, gdzie zachowują największą swą energię. Ta zasada elementarna, będąca podstawą całej mechaniki, jest zarazem podstawą wszelkiej logiki, wszelkiego wyrachowania. Ponieważ jednak świat jest starszy od człowieka, więc logika i wyrachowanie ludzkie są tylko na równi z instynktami, uczuciami i przesądami, częścią mechaniki. Czyż to wszakże każe przypuszczać pewną świadomą celowość w społeczeństwie ludzkiem? Nie koniecznie. Społeczeństwo jest układem materyalnym, znajdującym się w ruchu, ulegającym tym samym

---

[1]) Niewidzialna energia elektryczności może być doskonale badaną za pomocą metody rzutów uogólnionych Lagrange'a. Porów. Clerk Maxwell, *Electricity and Magnetism* (część IV roz. 5 i 6), a także ostatnie dzieło Boltzmana o elektryczności. Zupełnie w ten sam sposób staramy się postępować względem niewidzialnej energii życiowej. Najlepszem dziełem ogólnem w tych kwestyach est: Watson and Burbury: „*Generalised Coordinates*". Dodajmy, iż w myśl zasady Lagrange'a, stanowiącej podstawę całej mechaniki, każda cząsteczka najbardziej złożonej całości porusza się w ten sposób, by akumulacya energii ogólnej, stanowiącej summę energii częściowych, istniejących w mechanizmie podczas wszystkich jego stanów, w danym przeciągu czasu, była *maximum*.

prawom ogólnym ruchu, co i wszelkie inne układy materyalne. A ponieważ ruch układu możemy rozłożyć na szereg stanów równowagi, przyczem ciało, znajdujące się w stanie pierwszym, musi się zastosować w ruchu wszystkich swych punktów do przejścia do stanu drugiego, trzeciego i t. d., więc można powiedzieć, iż każdy układ na początku swego rozwoju zawiera już w sobie możliwość ostatniego stanu, do którego w ruchu swym dojść musi—jest więc mechanicznem zastosowaniem teraźniejszości do przyszłości, które możnaby nazwać celowością. Nauka współczesna, jak wiadomo, wyrazu tego już się nie obawia. Zresztą chodzi tu nie o wyrazy, lecz o rzeczy. Mechanika pozwala nam ująć układy społeczne w systematycznym ich rozwoju — zestawiać fakty z warunkami, niezbędnymi do ich wywołania — i zastosowywać do nich pomiary ilościowe, a to jest najważniejsze. Wprawdzie pomiary te znajdują się jeszcze w dzieciństwie, gdyż powinny być rzeczą nie osób, ale instytucyi statystycznych, nam atoli chodzi tu o teoretyczne uzasadnienie ich możliwości i konieczności, o nakreślenie planu do przyszłej nauki społecznej i założenie rusztowania. Z tego, że po wybudowaniu gmachu należy zniszczyć rusztowanie i schować plan, nie wolno wyprowadzać wniosku, iż rusztowanie i plany wogóle są zbyteczne, gdyż w takim razie mieć będziemy nie gmach, lecz kupę surowych materyałów. Niestety, ten dziki przesąd o zbyteczności planów coraz bardziej w naszych czasach się rozpowszechnia. Coraz bardziej panoszy się przesąd, iż ideałem wiedzy jest „opis" — pochlebia to demokratycznej słabości myśli, bo oczywiście opisywać i kompilować z napuszoną pedanteryą może każdy, a zarazem zdobyć sobie tanim kosztem tytuł „poważnego uczonego" — złożyło się na to także, bez wątpienia, i panowanie Bismarkowskiej pięści na to bałwochwalcze schylanie się przed realizmem i faktem.

Po tych wyjaśnieniach wstępnych przejdźmy do właściwego przedmiotu naszej pracy.

Widzieliśmy [1]), iż życie sprowadza się do głodu i miłości, że wszystkie inne potrzeby stanowią tylko części składowe tych dwu zasadniczych i z nich pochodzą. Głód i miłość dążą do swego zaspokojenia przyciąganiem materyi ożywionej i nieożywionej i ich asymilacyą, spożyciem, ku czemu prowadzą, jako środki pomocnicze i pośredniczące wszelkie inne potrzeby. Nie należy więc twierdzić,

---

[1]) Por. „Mechanikę społeczną" Ateneum, kwiecień, 1898 i „Równowagę estetyczną", luty 1899.

iż u podstaw życia społecznego znajduje się reprodukcya życia materyalnego i że na tej podstawie wznosi się nadbudowa idealna, jak to czyni Marx[1]), a w ślad za nim i De Greef[2]), lecz, że życie społeczne nie jest w gruncie niczem innem, jak reprodukcyą gatunków, t. j. przyciąganiem wzajemnem materyi ożywionej i nieożywionej, mającem na celu asymilacyę, prawidłowym cyklem ich obiegu czyli równowagą ruchomą przyciągań materyalnych, przyczem wszystkie potrzeby, prace i instytucye ekonomiczne, polityczne, moralne, prawne, estetyczne, naukowe i t. d. są tylko środkami, za pomocą których ta reprodukcya[3]) jednostek i gatunków się odbywa.

Oto czemu rozpatrujemy całą energię społeczną, jako wydawaną tylko na zaspokojenie tych dwu celów czyli potrzeb zasadniczych, głodu i miłości, rozumiejąc, iż ona przybiera w tem dążeniu wszystkie możliwe formy energii biologicznej, po drodze. Uprościwszy w ten sposób zadanie, bierzemy najprzód dwie osoby albo też dwie grupy, znajdujące się w stosunkach i w walce o zaspokojenie głodu i miłości, o swą reprodukcyę, jako jednostek i jako gatunków, by zobaczyć, w jakich warunkach ogólnych one dopiąć mogą równowagi swych dążeń[4]) t. j., swego trwania osobistego i reprodukcyi gatunkowej i następnie dopiero możemy tę ich energię wziętą *en bloc* rozdzielić według ich coraz specyalniejszego znaczenia, potwierdzonego przez dane statystyczne, pomiędzy potrzeby osobne i po-

---

[1]) Błędem zasadniczym Marxa i jego szkoły jest przytem ta okoliczność, iż upatruje w reprodukcyi życia materyalnego, t. j. środków wytwarzania, techniki, główny motor rozwoju społecznego, gdy, naszem zdaniem, tym motorem jest reprodukcya gatunku, t. j. w ostatecznym rezultacie trwanie keimplasmy (nasienia) — przyczem energia potencyalna biologiczna, w niem zawarta, może pozostawać niezmienną albo też stawać się mniej lub więcej natężoną, co znowu zależy od wytępiania jednych ras przez drugie i od warunków ich krzyżowania. Tu należy szukać istotnych źródeł rozwoju społecznego, które są czysto biologiczne. Co się tyczy rozwoju materyalnego, rozwoju techniki, to on sam oczywiście zależy od stanów odpowiednich energii biologicznej: nie każde odkrycie może być zrobione przez wszelką rasę. Bogactwo materyalne, jak i niemateryalne, wchodzą tylko w koszta wytwarzania gatunków. Gatunki zaś same rozwijają się samorzutnie w zależności od przyciągań i odpychań, t. j. od walk i związków, które między nimi zależnie od ich energii biologicznej istnieją. Zresztą reprodukcya jednostek jest tylko fazą przejściową i podrzędną reprodukcyi gatunków, od której wszystko zależy.

[2]) De Greef. Introduction à la Sociologie, 2 vol.

[3]) Odżywianie jest asymilacyą, dążącą do reprodukcyi części ciała jednostki, gdy dziedziczność jest asymilacyą, dążącą do reprodukcyi całej jednostki.

[4]) Por. Dodatek do pracy niniejszej p. t. „Równania rodziny i własności"

szczególne. Ale wszystkie te rozpodziały wtórne nie mogą oczywiście zmienić rezultatu ogólnej równowagi społecznej, opartej na badaniu głodu i miłości czyli rodziny i własności, one mogą się tylko doń przystosować, stanowiąc jego części składowe i umieszczając się w określonych granicach struktury ogólnej [1])

Ponieważ wszystkie potrzeby pochodzą, jak widzieliśmy, z głodu i miłości i są ich częściami składowemi, więc cała działalność społeczna ma wciąż za cel zaspokojenie tych dwu potrzeb zasadniczych, a za ich pośrednictwem zapewnienie reprodukcyi jednostek i gatunków. Zaspokojenie tych potrzeb polega na spożyciu, pojętem w sposób najobszerniejszy. Spożycie obejmuje więc nie tylko asymilacyę bezpośrednią pokarmów, ale także tę, która odbywać się będzie systematycznie w przyszłości, to jest własność; do spożycia należy także obcowanie płciowe, które jest także asymilacyą [2]), nie tylko bezpośrednie, każdorazowe, ale odbywające się regularnie systematycznie, t. j. rodzina. Własność i rodzina stanowią więc dwie zasadnicze formy społeczne, które odtwarzają się automatycznie, procesem krystalizacyi, przyciągania, przyswojenia, zależnym od natężenia energii rasowej osób, od ilości mężczyzn i kobiet i pokarmu. Pokażemy w dalszym ciągu [3]), jak się ustanawia równowaga społeczna dla tych popędów zasadniczych. Równowaga ta jest więc t e o r y ą s p o ż y c i a s p o ł e c z n e g o. Co się tyczy innych potrzeb, czynności i form społecznych, to one wszystkie bez wyjątku wchodzą do t e o r y i p r o d u k c y i s p o ł e c z n e j [4]). A ponieważ produ-

---

[1]) W pracy niniejszej zajmujemy się wyłącznie tą ogólną strukturą społeczną, zależną od stosunków pomiędzy głodem a miłością, wziętemi *en bloc*; co się tyczy dalszych i specyalniejszych ich rozpodziałów, to one stanowić będą przedmiot prac późniejszych.

[2]) Porów. „Energię społeczną“ Ateneum, maj 1899.

[3]) Porów. Dodatek do pracy niniejszej.

[4]) Należy pamiętać, iż spoglądamy na społeczeństwo, jako na instytucyę, mającą na celu produkcyę mniej więcej dresowanej rasy ludzkiej, gdyż człowiek cywilizowany jest dla nauki współczesnej tylko zwierzęciem dresowanem. Ten pogląd, który jedynie pozwala nam odnaleźć logikę w zjawiskach społecznych, pozwala nam zastosować do społeczeństwa zupełnie takąż samą rachunkowość, jaką każdy hodowca bydła zastosowuje do swego zakładu. Oczywiście, iż wszystkie instytucye społeczne, z tego punktu widzenia, wchodzą tylko w koszta produkcyi i dresowania zwierzęcia ludzkiego. Rolę hodowcy społeczeństwa gra zasada najmniejszego wysiłku czyli maksymalnej energii, która jest podstawą całej mechaniki i zarazem postulatem wszelkiego myślenia logicznego. W ten sposób społeczeństwo automatycznie dopina wciąż takichże rezultatów, jakie p r z y d a n y c h w a r u n k a c h mogłaby dopiąć świadoma planowość.

kcya zastosowana jest do spożycia, przeto ceny, t. j. stopy przekształcenia energii, ustanowione w tej ostatniej, są zasadnicze, a wszelkie inne stopy od nich zależą [1]). Państwo, moralność, sztuka etc. mogą być uważane z jednej strony za dobra niemateryalne, z drugiej za dobra instrumentalne, społeczne, i ich wartość, t. j. ilość energii, którą społeczeństwo na nie wydać może, zastosowuje się wciąż do potrzeb głodu i miłości, a zatem do potrzeby trwania i reprodukcyi jednostek i ras. Do własności i rodziny zastosowują się i z nich pochodzą więc formy ekonomiczne, polityczne i t. d. Dotychczas mieliśmy do czynienia z równowagą społeczną: teorya kapitalizacyi pozwala nam wreszcie wprowadzić pojęcie rozwoju, gdyż w niej mamy do czynienia z energią zaoszczędzoną lub utraconą (+, −). W ten sposób socyologia czysta wchodzi w ekonomię czystą, obszernie pojętą [2]). Istotnie, śród dóbr znajduje się człowiek ze wszystkiemi jego właściwościami: najmując człowieka do pracy, płacimy mu za jego moralność i t. d., za wszystkie właściwości: człowieka niemoralnego nie przyjmujemy nawet do pracy. I, jak w ekonomii cena produktu równa się kosztom wytwarzania, tak samo w socyologii cena produktów gotowych, t. j. jednostek i ras nowowytworzonych równa jest w energii wszystkim wydatkom społecznym. Działalność społeczna (prawo, państwo, estetyka i t. d.) jest więc tylko łożeniem wydatków, mającem na celu produkowanie nowego pokolenia, które odtwarza energię poprzedniego, zwiększoną lub zmniejszoną.

Objaśnijmy wszystko to przykładem. Weźmy osobę rasy określonej, posiadającą w swym organizmie 100 jednostek energii biologicznej. Dla przyciągnięcia pewnej ilości środków utrzymania wbrew naturze i innym ludziom, którzy także chcą nimi owładnąć, musi ona wydać, dajmy na to, 40 jednostek energii. [10 na pracę ręczną (energia ekonomiczna), 5 na odparcie egoizmu innych osób tejże grupy, które chcą tymże pokarmem owładnąć (energia prawna), 5 na obronę przeciw egoizmowi osób z innych grup lub ras wrogich (energia polityczna), 10 jednostek na myśl i przebiegłość, które należy rozwinąć w tej pracy i walce, (energia umysłowa) i 10 jednostek na dobroć i uczciwość, które trzeba przestrzegać,

---

[1]) Wykazanie tej prawdy jest jedną z zasług Walrasa („Element d'économie politique pure" 1896).

[2]) Stąd wypływa możność zastosowania pomiarów ilościowych, pieniężnych do wszystkich zjawisk społecznych.

by wyjść zwycięsko z zadania (energia moralna)] i 60 jednostek pozostałych energii na przyciągnięcie jednej kobiety i utrzymanie jej i jej dzieci, co jest warunkiem niezbędnym zachowania ich przy sobie. Te 60 jednostek będą wydane, dajmy na to, w sposób następujący: mężczyzna musi użyć 10 jednostek swej energii na piękno i przebiegłość płciową (energia estetyczna), 20 na pracę niezbędną dla utrzymania rodziny (energia ekonomiczna), 10 na wychowanie dzieci, 10 na przestrzeganie czystości obyczajów rodzinnych (energia moralna) i 10 pozostałych zamieni się na mistycyzm, jeżeli np. potrzeby płciowe mężczyzny i kobiety nie są dostatecznie w tej organizacyi zaspokojone.

Przykład ten znakomicie uprzytamnia nasz sposób zapatrywania się. Jak każda gwiazda w swym obiegu wraca pod wpływem sił ciążenia wciąż do swego punktu wyjścia, tak samo każdy z nas w swym przebiegu życiowym odtwarza wciąż siebie samego: przyciąganiem pokarmów i przetrawieniem ich odtwarza swe ciało — jak fizyologia nas poucza — co miesiąc lub rok, a przyciąganiem kobiet odtwarza się w przyszłości bardziej odległej, w dzieciach. Można zarzucić, iż, jako jednostka, żaden z nas nie pozostaje z wiekiem niezmienny, iż nasza energia z czasem gaśnie, ale to się dzieje zwykle już po odtworzeniu się w dzieciach. A jeżeli z biegiem czasu rasy gasną, to wszak toż samo powiedzieć można o gwiazdach, a nawet o świecie całym, który W. Thompson porównywa z lampą zapaloną i który dlatego z czasem zgasnąć musi...

W przykładzie powyższym dochód jednostki — odrodzenie siebie samego — jest równy wydatkom w energii. Jeżeli grupa—przy tych warunkach — się składa z 100 mężczyzn i 100 kobiet, to należy pomnożyć wydatki osobiste przez 100, by otrzymać odpowiednie wydatki społeczne, które wcielą się w instytucyach specyalnych. Rzecz pozostaje niezmienna, jeżeli przypuścimy, iż każda jednostka, zachowując całą swą energię, specyalizuje się w jednym jakimś kierunku [1]) i że wymienia swe produkty i usługi z innemi osobami, dążąc wciąż do zachowania swego *maximum* pierwotnego energii. Równowaga społeczna może się wyrazić w tych warunkach za pomocą monogamii i drobnej własności prywatnej.

Przypuśćmy teraz, iż grupa powyższa znajduje się w warunkach naturalnych tak niedogodnych, że mężczyzna na swoje własne, najskromniejsze utrzymanie musi wydać 70 lub 80 jednostek energii,

---

[1]) Objaśnienie podziału pracy i specyalizacyi z punktu widzenia mechaniki podamy w innej pracy. Tu przyjmujemy je za fakt istniejący.

a ponieważ każdy według założenia posiada 100, więc tylko troje, czworo lub więcej mężczyzn będzie posiadało dość energii, by przyciągnąć i utrzymać razem jedną kobietę. W takich warunkach z łatwością może się ustanowić nieład płciowy, jeżeli natura sama rasy nie staje temu na przeszkodzie [1]). Ten stan rzeczy mógł mieć miejsce u niektórych ras ludzkości pierwotnej, gdzie dzieci płci żeńskiej były zabijane dla braku środków utrzymania, i odtwarza się poczęści w naszych miastach, wśród warstw uboższych, gdzie na kilku mężczyzn, nie mogących utrzymać rodziny i skazanych przeto na korzystanie z prostytucyi, przypada jedna kobieta, którą wspólnemi siłami utrzymują.

Dotychczas mogło się wydawać, iż czynnikiem, decydującym w rozwoju rodziny, są materyalne środki utrzymania. Ale tak bynajmniej nie jest, bo powróćmy do poprzedniego przykładu grupy monogamicznej o energii takiej, iż dochód ściśle równy jest wydatkom.

Przypuśćmy teraz, iż grupa ta składa się wskutek podboju — nie z jednej rasy, lecz z dwu o różnem natężeniu energii biologicznej, przyczem niższa zawiera 90 osób, wyższa 10. Jeżeli natężenie energii życiowej tej ostatniej rasy jest kilkakroć większe, niż pierwszej, to ogólna suma pokarmów i kobiet, którą układ posiada (po 100 jednostek) podzieli się między mężczyznami odpowiednio do ich energii: wyższa rasa zagarnie 40 lub 50 kobiet i odpowiednią ilość pokarmów, zaś 90 mężczyzn rasy niższej zachowa tylko 60 lub 50 kobiet i zmniejszoną odpowiednio ilość pokarmów, t. j. skazaną zostanie na bezład płciowy i na komunizm własnościowy w większym lub mniejszym stopniu, za pomocą którego starać się będą przeciwdziałać nędzy, gdy 10 osób rasy wyższej żyć będzie w poligamii i w stosunkach własności prywatnej.

Zauważmy, że ten podział bogactw i kobiet pomiędzy mężczyznami różnej rasy odbywa się procesem także automatycznym, jak proces fizyczny krystalizacyi. Jednem słowem, formy własności i rodziny przedstawiają pierwsze i zasadnicze krystalizacye społeczne, gdyż wypływają bezpośrednio z własności życia, które jest przyswojeniem materyi ożywionej i nieożywionej za pomocą głodu i miłości. Formy rodziny i własności, razem wzięte, zależą od stosunków ras, t. j. od natężenia ich energii biologicznej i od ilości pokarmu (która jest funkcyą środowiska naturalnego i techniki, ta ostat-

---

[1]) O tych przeszkodach mówimy pod koniec niniejszego rozdziału.

nia jednak zależy głównie od rasy: technika jest tylko zbiorem kanałów, które rasy mniej lub więcej elastyczne przekładają sobie dla łatwiejszego przyciągania materyi ze świata zewnętrznego i jej assymilacyi.

Powyższe formy społeczne, gdzie u dołu społeczeństwa istnieją resztki bezładu płciowego i komaunizmu, a u góry poligamia, znajdujemy poczęści u niektórych plemion australijskich. Formy te były prawdopodobnie najbardziej rozpowszechnione w czasach przedhistorycznych, będąc zawarunkowane z jednej strony ubóstwem, a z drugiej — wielkiemi różnicami w natężeniu energii biologicznej ras każdego układu.

W społeczeństwach historycznych zaszła różnica dwojakiego rodzaju: z jednej strony zmniejszyła się różnica potencyału biologicznego — gdyż dobory społeczne wytępiały i rasy najniższe i te, które swą zbytnią wyższością nie były zastosowane do potrzeb ewolucyi socyalnej [1]) — a z drugiej strony miały miejsce postępy ciągłe techniki, a co zatem idzie i bogactw, wytwarzanych z wysiłkiem coraz mniejszym. W ten sposób rasy niższe, które niegdyś skazane były na bezład i komunizm, z czasem doprowadzone zostały do punktu, gdzie monogamia i własność prywatna stały się dla nich możliwemi [2]). Co się tyczy przedstawicieli ras wyższych, praktykują oni i w czasach historycznych poligamię — nawet dotychczas w sposób mniej więcej zamaskowany, — tylko, zamiast utrzymywać swe żony do końca ich życia, jak to się u bogatych Turków dzieje, rzucają je na pastwę prostytucyi, z której korzystają mężczyźni ubodzy, nie będący w stanie utrzymać rodziny.

Widzimy więc w rezultacie, iż dotychczas istnieją pod najrozmaitszem przykryciem też same zasadnicze formy rodziny i własności, które istniały w ludzkości pierwotnej i które spotykamy we wszystkich okresach historycznych: w rzeczywistości zawsze dzieje się tak, iż rasy wyższe pod względem energii biologicznej zagarniają więcej własności (w sposób dozwolony lub nie) i uprawiają poligamię (otwarcie lub skrycie), rasy, średnio uposażone w zdolności, zadawalać się muszą monogamią i średnią lub drobną własnością, i wreszcie rasy niższe, skazane na wytępienie uciekają się do solidarności społecznej, która w naszych czasach przybiera formy dobroczynności publicznej (mnisi, kalecy, starce i t. d.), a niegdyś

[1]) Por. nasze „Dobory społeczne". Dodatek do „Przeglądu Tygodniowego" 1897.

[2]) Bliżej o tem mówimy pod koniec niniejszego rozdziału.

mogła być komunizmem, i do prostytucyi (pierwotnego bezładu), będącej właśnie najpotężniejszym środkiem ich eliminacyi. Z biegiem czasu tylko stosunek ilościowy tych form się zmienia, ale zasadniczo zostają one niezmiennemi. I właśnie trwałość, z jaką wciąż się odradzają, dowodzi, iż w nich, t. j. we własności i rodzinie mamy zasadnicze formy społeczne.

Siły przyciągania i siły odpychania istnieją nie tylko w świecie fizycznym, ale także w świecie społeczno-ludzkim. Powiemy więcej nawet: jeżeli w pierwszym są tylko hypotezą, w drugim mamy prawo uważać je za fakty doświadczenia bezpośredniego—działamy wszyscy pod wpływem egoizmu i altruizmu, złości i dobroci. Różne gazy wymagają warunków nie jednakowych, by się zamienić na ciała ciekłe i twarde, t. j. by siły zwartości zdobyły przewagę nad siłami odporności cząsteczek. Tak samo różne rasy wymagają niejednakowych warunków, by ich uczucia odpychania zamieniły się na uczucia sympatyi. Rasy różnią się pomiędzy sobą natężeniem swego egoizmu i altruizmu, które nie są rzeczami odrębnemi, lecz dwoma stanami tej samej energii biologicznej. „Dobro", „obojętność" i „zło", jako stany ludzkiego organizmu, różnią się między sobą mniej więcej, niż lód, woda i para wodna: ze zmianą warunków (ciśnienia, temperatury) toż samo ciało przybiera trzy stany rozmaite, gdzie bądź siły zwartości, bądź odpychania mają przewagę, bądź też się równoważą.

Różne ciała rozmaicie pod tym względem się zachowują: mają punkty zamarzania, skraplania i kipienia rozmaicie położone. Woda już zamarza (rozwija przewagę sił przyciągania) w warunkach, gdzie alkohol pozostaje jeszcze cieczą (zachowuje równowagę sił przyciągania i odpychania). Zupełnie toż samo można powiedzieć o rasach: niektóre z nich są już „dobre", w warunkach, w których inne są jeszcze „obojętne" lub „złe". Z tą różnicą, że, jeżeli stany energii fizycznej zależą od ciśnienia i temperatury, to stany energii biologicznej zależą od warunków bardziej złożonych, które jednak mogą być objęte jednym: ilością pokarmów. Istotnie, widzieliśmy[1]), iż wszystkie objawy życiowe, a więc i uczucia sympatyi lub antypatyi, przejawiają się tylko, jako równoznaczniki odpowiednich ilości pokarmów, a raczej energii chemicznej w nich zawartej. Co się tyczy innych warunków zewnętrznych, jak temperatura, klimat i t. d., to ich działalność nieodpowiednia dla człowieka, może teoretycznie być zrównoważona odpowiednim nakładem pracy, t. j. znów pokarmów.

---

[1]) Por. „Energię społeczną", Ateneum, maj 1890.

Tylko — i to jest punkt najważniejszy — energia biologiczna różnych ras rozmaicie się zachowuje przy tej samej ilości pokarmów. Doświadczenie pokazuje, iż rasy wyższe zaczynają być „dobremi" (tj. siły zwartości zaczynają w nich przeważać [1]) dopiero przy warunkach (ilościach pokarmu) daleko lepszych, niż rasy niższe. Porównajmy Anglika i Negra: przy 30 sh. miesięcznego utrzymania pierwszy stanie się rozbójnikiem, drugi będzie uczciwym obywatelem.

Właściwie mówiąc, niema więc ras absolutnie złych ani dobrych. Każda mogłaby się stać dobrą przy nakładzie odpowiednim wydatków. Możnaby rozwinąć siły zwartości społecznej w rasach przeciw-społecznych, występnych, ale to wymagałoby wydatków tak wielkich, iż społeczeństwo woli uwolnić się od nich, gdyż ma pod ręką inne materyały antropologiczne, elastyczniejsze i które przy mniejszym koszcie stają się dobre dla budowy społecznej. Społeczeństwo używa więc nieświadomie pewnych tablic elastyczności moralnej względem swych ras, zupełnie tak samo, jak to czyni świadomie architekt względem materyałów, używanych do budowy domów.

Należy więc wciąż mieć na uwadze rasy i ilość pokarmów (t. j. warunki otoczenia naturalnego i sztucznego). Przyciąganie między płciami a także między ludźmi i materyą daje automatycznie procesem krystalizacyi społecznej zawsze pewną formę rodziny i własności, przyczem wszystkie uczucia ludzkie i instytucye społeczne są tylko środkami, za pomocą których ta krystalizacya się odbywa (są to fazy jej poprzedzające, jak ruch lub ciepło — w krystalizacyi fizycznej). Uczucia i instytucye zastosowują się do potrzeb tych zasadniczych krystalizacyi społecznych, charakteru czysto materyalnego. Należy jednak pamiętać, iż krystalizacya zasadnicza a zatem i wszystkie uczucia i instytucye pochodne zależą nie tylko od ilości pokarmów, jak tego chcą materyaliści ekonomiczni, t. zw. marxiści, i nie tylko od rasy, jak tego chcą antroposocyologowie, ale od obudwu czynników razem wziętych. To może dać miejsce nieskończonej ilości kombinacyi, które wszystkie objęte są naszemi równaniami [1]). Przedstawiliśmy już niektóre ich illustracye. Teraz, mając się zająć krytyką istniejących teoryi rodziny i własności, przedstawimy sprawę z innego jeszcze punktu widzenia. Pamiętajmy jednak wciąż, iż, jak para przy pewnych warunkach staje się lodem, tak samo uczucia egoizmu, zazdrości, wyłączności zamieniają się w uczucia sympatyi, tolerancyi wzajemnej. Wszak szlachta, zna-

[1]) Por. Dodatek do pracy niniejszej.

na ze swej dumy i indywidualizmu nieugiętego w stosunkach względem niższych, doszła do tego, iż sformułowała przysłowie: „Krew królewska nie kazi". Uczucia ludzkie zmieniają się więc wraz ze zmianą warunków zewnętrznych, ale zarazem i stosunków rasowych odnośnych osób, natężenia ich energii biologicznej.

Weźmy szereg ras ludzkich, poczynając od najniższych, aż do najwyższych. Oczywiście, iż punkty na hypotetycznym „termometrze rasowym", gdzie siły zwartości zaczynają przeważać nad siłami rozbieżności, są rozmaicie dla tych ras położone. Przypuśćmy, iż punkty te są położone tem niżej (w zależności nie od temperatury, lecz od ilości pokarmów), im rasa jest wyższą, gdyż doświadczenie pokazuje, iż wilki np. zaczynają rozwijać solidarność tylko przy warunkach zewnętrznych, daleko gorszych, niż np. owce. Należy więc rozróżnić kilka wypadków typowych:

1) Brak zupełny techniki, towarzyszący pierwocinom ludzkości, a zatem ubóstwo pod względem pokarmów: wówczas w niższych rasach siły zwartości rozwijać się będą potężnie i dochodzić aż do bezładu płciowego i komunizmu własnościowego, gdy rasy wyższe mogą żyć w indywidualizmie własnościowym i w poligamii.

2) Technika się rozwija, ilość pokarmów rośnie, stosunki rasowe pozostają niezmienne. Wówczas na całej linii siły rozbieżne się rozwijają, coraz więcej ras przechodzić będzie w ustrój indywidualistyczny i tylko najniższe pozostawać będą w komunizmie rodzinnym i własnościowym.

3) Nareszcie sama natura ras ulega zmianie bądź drogą wytępienia niektórych, bądź też drogą krzyżowań, i znowu zasadnicze krystalizacye społeczne ulegną odpowiednim zmianom.

4) Nareszcie działać będą jednocześnie przyczyny 2) i 3), które mogą iść w kierunkach sprzecznych, jedne wznosząc dane rasy po nad ich punkty „obojętności", drugie, pozostawiając je poniżej. Każdy stan społeczny jest rezultatem wszystkich tych działań i wszelkie proste rozstrzyganie nie ma wartości naukowej.

II.

Wszelka klasyfikacya form rodziny, która nie opiera się jednocześnie i na rasie (natężeniu energii biologicznej), i na ilości pokarmów, musi być błędną. Tak np. Mac-Lennan i Bachofen [1]), a wślad

---

[1]) John Fergusson Mac-Lennan: „Primitive Marriage" 1865.
" „Studies in ancient history" 1876.
John Jak. Bachofen: „Das Muterrecht" (1861) i „Antiquarische Briefe" 2 v.

za nimi i Morgan[1]), przyjmują na punkt wyjścia w ewolucyi rodziny bezładną hordę, nie znającą pod względem srosunków płciowych żadnych ograniczeń wieku, pokrewieństwa i t. d., tak, że każdy mężczyzna należał wrzekomo do każdej kobiety i każda kobieta do każdego mężczyzny. Otóż taki stan amorfny byłby możliwy tylko w przypuszczeniu, 1) iż horda była rasowo zupełnie jednorodną, co mogłoby wywołać jednakową krystalizacyę w całej jej masie, i 2) iż ilość pokarmów była tak szczupła, iż utrzymywała wszystkie hordy bez wyjątku, pomimo nawet ich różnic rasowych, poniżej punktu ich „obojętności" uczuciowej, t. j. w stanie, gdzie siły przyciągania przeważają nad siłami odpychania.

Nie przeczymy, iż stan taki mógł tu i owdzie się urzeczywistnić, ale oczywista rzecz, iż nie był on ogólnym, a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie był nawet przeważający.

A mianowicie, jezeli weźmiemy państwo zwierzęce wogóle, to Letourneau [2]) nam pokazuje, iż stosunki płciowe zupełnie bezładne spotykają się tylko u gatunków najniższych. U ssaków już znajdujemy wielką rozmaitość, bezład, związki grupowe, monogamię i poligamię, nie spotykamy tylko jednej poliandryi. Nareszcie pod względem najbliższych poprzedników człowieka, t. j. czterech rodzajów małp antropoidalnych, można powiedzieć, iż żyją one bądź w monogamii, bądź też w poligamii.

Ponieważ rodzaj ludzki składa się z ras, nieraz bardziej odległych od siebie, niż powyższe gatunki małp i innych ssaków, i ponieważ rasy te mieszkały w warunkach nader rozmaitych pod względem pokarmu, wolno przypuszczać, iż ludzkość pierwotna bynajmniej nie przedstawiała jednej tylko formy rodziny — bezładnej hordy, stadeł monogamicznych lub grup poligamicznych, lecz wszystkie te formy razem wzięte.

Tylko, jeżeli człowiek pojawił się na powierzchni ziemi w epoce trzeciorzędowej, jak tego chcą niektórzy autorowie, w klimacie gorącym i w warunkach, podobnych do tych, w których żyją dotychczas małpy antropoidalne, należałoby przypuszczać, iż bezład płciowy wcale się nie spotykał albo też sporadycznie i że formy normalne rodziny były monogamia i poligamia.

„Pośród czwororękich, obecnie istniejących — powiada Darwin [3])—o ile znamy zwyczaje ich życia, samce niektórych gatunków

---

[1]) Lewis H. Morgan: „Ancient Society".

[2]) Letourneau: „Evolution du mariage et de la famille".

[3]) Darwin: „The Descent of Man".

żyją monogamicznie z samicami, ale tylko w ciągu pewnej części roku; inne gatunki (czwororękie indyjskie i amerykańskie) są monogamiczne w znaczeniu ściślejszem, gdyż samce żyją z samicami w przeciągu całego roku; inne gatunki (np. goryl) są poligamiczne, i każda rodzina żyje z osobna; ale nawet w tym razie rodziny, zamieszkujące ten sam okręg, tworzą, prawdopodobnie, nieraz wspólną hordę. Inne jeszcze gatunki (np. niektóre pawiany) są także poligamiczne, ale wielu samców, każdy ze swą rodziną, łączy się w stado. Jest prawdopodobne, iż człowiek żył początkowo w drobnych społeczeństwach każdy mężczyzna ze swą kobietą albo też, jeżeli miał dość siły po temu, z wielu kobietami, których bronił zazdrośnie przeciw wszystkim innym samcom. A może też nie był od początku istotą społeczną i żył samotnie z wielu samicami".

Wszystkie te formy pożycia małp byłyby przypuszczalne i dla człowieka pierwotnego, gdyby on pod względem siły swej czyli energii biologicznej był podobnym do tych przodków swych, o czem nic nie wiemy, i gdyby istotnie żył w warunkach klimatu gorącego i przedstawiającego dość pokarmu, by siły odporności indywidualnej przeważały nad siłami solidarności społecznej, co także jest spornem. Istotnie, jeżeli małpy człekokształtne są silniejsze fizycznie, niż nim był człowiek najpierwotniejszy, to nawet przy jednakowych warunkach otoczenia musiał się on łączyć miejscami w stada solidarne aż do bezładu płciowego. Małpy czwororękie, będąc fizycznie silniejsze, mogą się kontentować brakiem więzów społecznych albo też więzami zaczątkowymi, gdy rasy słabsze człowieka musiałyby się łączyć w stada nader zwarte dla zdobycia pokarmu, a także, by nie stać się pokarmem dla innych gatunków zwierzęcych, silniejszych.

Należy jednak przyznać, iż większem jest prawdopodobieństwo, że człowiek trzeciorzędowy był indywidualistą i poligamistą, niż przedstawicielem solidarności, idącej aż do bezładu płciowego. Te ostatnie stosunki mogły się spotykać tu i owdzie pośród ras niższych i w warunkach zewnętrznych, szczególnie niedogodnych. Pierwsze były panującemi. Ale czyż instynkty indywidualizmu i zazdrości, tak wytworzone, były na tyle potężne, iż czyniły niemożebnem rozszerzenie się bezładu płciowego później, z nastaniem epoki czwartorzędowej i lodnikowej, gdy warunki zewnętrzne stały się niesłychanie uciążliwe, a ilość pokarmu była niesłychanie szczupłą? Bynajmniej. Instynkty ludzkie są, jak widzieliśmy, nadzwyczaj elastyczne i można sobie wyobrazić warunki tak niedogodne, iż wszystkie rasy nawet najbardziej indywidualistyczne znalazły się poniżej punktu „obojętności" i że uczucia indywidulizmu zamieniły się au-

tomatycznie na uczucia solidarności. Wprawdzie to przekształcenie energii łatwiej odbyć się mogło w rasach niższych, gdy wyższe, nie mogąc się zastosować do zmienionych warunków, musiały wyginąć albo też błądziły tu i owdzie w formie samotnych samców, otoczonych rodziną poligamiczną, tuż obok wielkich stad ludzkich, opartych na humanizmie własności i na bezładzie płciowym. Ten ostatni ustrój mógł się spotykać w warunkach szczególniej niedogodnych, wprost, jako wytwór nędzy, i pośród ras niższych, zwłaszcza jeżeli one zmuszone były do zabijania nowonarodzonych dziewcząt dla braku pokarmu. Rasy wyższe, znajdujące się jednocześnie w warunkach dogodniejszych, mogły zachować swój indywidualizm poligamiczny. Wreszcie można także sobie wyobrazić wypadek ras średnich, znajdujących się w warunkach ani dobrych ani złych i dzięki temu pozostających na punkcie „obojętności", co mogło się wyrazić w równowadze hord monogamicznych z własnością prywatną. Teoretycznie mówiąc, ten ostatni wypadek nie był także wyłącznym. Ale jeżeli rozważymy warunki otoczenia epoki czwartorzędowej, to należy przyznać, iż komunizm własnościowy i bezład płciowy w granicach każdej hordy (równowaga Gossenowska) musiały być formami bardzo częstemi, co nie wyłączało zresztą istnienia form innych. Teoretycznie mówiąc, wszystkie te formy własności i rodziny mogły istnieć od początku ludzkości i rozwijać się następnie równolegle: etnografia dostarcza nam dowodów na poparcie wszystkich możliwości wyobrażalnych, i wszelka wyłączność nie tylko Bachofena i Morgana, ale Westermarcka [1]) i Starckego [2]), którzy chcą postawić na miejsce bezładu początkowego monogamię, może być uważana za zupełnie dowolną.

W rezultacie nie widzimy powodu, czemuby bezład ów nie mógł był istnieć do pewnego stopnia w społeczeństwie pierwotnem, ponieważ istnieje dotychczas bądź w formie prostytucyi, bądź też w formie cudzołóstwa, które, jeżeli jest szeroko rozpowszechnione, jak we Francyi, stanowi bezład zaledwie przysłonięty. Sądzimy więc, iż wogóle zbyt wiele wagi przypisuje się tej kwestyi w historyi rodziny. Bądź cobądź przyjrzyjmy się pokrótce śladom owej „*promiscuitas*" pierwotnej, które etnografowie nagromadzili. Przekonamy się, iż większość tych dowodów nie wiele ma znaczenia; to jednak bynajmniej nie zmienia tej okoliczności, iż prostytucya była

[1]) Westermarck: „History of human marriage".

[2]) Starcke: „Die primitive Familie in ihrer Entstehung und Entwickelung dargestellt".

szeroko rozpowszechniona w czasach pierwotnych, jak nią jest w historycznych, Morgan, jak wiadomo, zwrócił główną uwagę na systemy pokrewieństwa u Irokezów, dowodzące wrzekomo, iż istniała u nich niegdyś forma rodziny grupowej, która już w naszym wieku zanikła. A mianowicie Irokez nazywa nie tylko własne swe dzieci synami i córkami, ale także dzieci swych braci, które go nazywają ojcem. Dzieci jednak swych sióstr nazywa siostrzeńcami, które go zowią nie ojcem, lecz wujem. Irokezka znów znajduje się w analogicznym stosunku względem dzieci swych sióstr, które nazywa swemi dziećmi, i dzieci swych braci, które nazywa bratankami. Ten system pokrewieństwa panuje u Indyan Amerykańskich, u wielu krajowców w Indyach, u Drawidyjczyków Dekanu, poczęści też w Afryce i Australii. Otóż na początku naszego stulecia na wyspach Sandwich (Hawai) istniała wrzekomo forma rodziny, która urzeczywistniała powyższy amerykański system pokrewieństwa, sama jednak miała system pokrewieństwa innego rodzaju, taki mianowicie, iż dzieci braci i sióstr uważane są bez różnicy za wspólne ich potomstwo.

Jeżeli więc system amerykański pokrewieństwa każe przypuszczać formę pierwotną rodziny, nie istniejącą już w Ameryce, to system hawajski prowadzi nas do formy jeszcze pierwotniejszej, gdzie kazirodztwo między braćmi a siostrami było panujące; formy tej nie możemy wprawdzie nigdzie odnaleźć, musiała jednak ona, zdaniem Morgana, istnieć, albowiem inaczej system odpowiedni pokrewieństwa (hawajski) nie mógłby powstać. Teorya ta spotkała ostatnimi czasy bardzo surową krytykę ze strony licznych badaczy, jak Ziegler [1]), Starcke [2]), Cunow [3]), którzy twierdzą, iż systemy hawajskie, a nawet pokrewieństwo amerykańskie, bynajmniej nie dowodzą uprzedniego istnienia odnośnych form rodziny. A mianowicie bardzo często znaleźć można śród narodów cywilizowanych nazwy fikcyjne, nie wyrażające bynajmniej stosunków rzeczywistych pokrewieństwa, ani istniejących, ani zanikłych. Tak mnisi nazywają się wzajemnie „braćmi”, a mniszki „siostrami”, zięć nazywa często swego teścia „ojcem” i t. d. Są to tytuły honorowe, oparte na grzeczności, na stosunkach wieku, płci, położenia społecznego, a bynajmniej nie na stosunkach pokrewieństwa. Tak podważoną

---

[1]) Ziegler: „Die Naturwissenschaft und die socialdemokratische Theorie“, 1894.

[2]) Starcke: l. c.

[3]) Cunow: „Die Verwandtschaft-Organisationen der Australneger“.

zostaje po części i teorya zupełnej *„promiscuitas"* pierwotnej, stanu, gdzie płcie obcują ze sobą bez względu na wiek, pochodzenie, pokrewieństwo, dla której ani Bachofen, ani Morgan bezpośrednich dowodów dostarczyć nie mogli, i teorya następstwa po tej fazie pierwotnej t. zw. rodziny „kazirodczej", odpowiadającej systemowi hawajskiemu pokrewieństwa, i rodzina *„punalua"*, odpowiadająca systemowi amerykańskiemu. Istotnie wszystkie te prawidłowe linie demarkacyjne, które Morgan przeprowadził pomiędzy różnemi formacyami rodziny, są zupełnie dowolne. Nie znaczy to bynajmniej, by bezład płciowy nie mógł być rozpowszechnionym, ale, że nie był koniecznym punktem wyjścia ewolucyi rodziny i że ona nie musiała przechodzić regularnie faz, wskazanych przez Morgana.

Również wątpliwem jest twierdzenie Morgana, iż z przypuszczalnej rodziny *„punalua"*, obejmującej szereg kobiet-sióstr, mających szereg wspólnych mężów (braci, czyli przyjaciół t. j. *„punalua"*), wytworzył się z czasem ród macierzyński, obejmujący grupę krewniaków w linii macierzyńskiej wrzekomo dlatego, iż w małżeństwie grupowem ojciec nie mógł być nigdy znanym i pochodzenie mogło być udowodnionem tylko ze strony matki. Bachofen, a w ślad za nim i Morgan nazywają ten rodzaj pokrewieństwa macierzyńskim i stosunki prawne, na niem oparte, prawem macierzyńskiem (*Muterrecht*).

Otóż, wychodząc z założenia, że ród macierzyński pochodzi z rodziny „punalua", Morgan, a za nim Engels [1]) twierdzą, iż rodzina owa musiała istnieć wszędzie, gdzie tylko ród macierzyński wykazać można. Całe to rozumowanie jest jednym wielkim splotem nieporozumień. Naprzód rodzina punalua jest hypotezą, niczem prawie nieudowodnioną; Morgan twierdził, iż istniała ona na początku naszego stulecia w Hawai. Starcke jednak jest zdania, iż „jest więcej, niż wątpliwem, by rodzina punalua istniała kiedykolwiek u ludów polinezyjskich, zwłaszcza zaś na wyspach Sandwich, skąd nazwa ta jest wziętą". Również sceptycznie zapatruje się na nią Brentano[2]), nie upatrujący w nazwach odpowiednich nic po nad tytuły honoryficzne. Co się tyczy pochodzenia rodu macierzyńskiego z owej formy rodziny, to sam Engels robi następujące zastrzeżenie: „Wprawdzie system klas australijskich przedstawia również punkt wyjścia dla tego rodu.

---

[1]) Engels: „Der Ursprung der Familie, des Privateigenthums und des Staats" (1889).

[2]) Brentano: „Die Volkswirthschaft und ihre konkreten Grundbedingungen" Zeitschrift für Soc. u. Wirthschaftsgeschichte 1893).

Australczycy mają rody, lecz nie znają jeszcze rodziny punalua. Ich organizacya jest jednak faktem nazbyt wyjątkowym, byśmy mieli z nią się liczyć" [1]). Należy raczej powiedzieć wprost przeciwnie: ponieważ rodzina punalua jest mytem, a klasy australijskie faktem, więc ród macierzyński prędzej z nich mógł wszędzie się wyrobić, niż z rodziny punalua.

Nareszcie, jest rzeczą wątpliwą, by obliczanie pokrewieństwa w linii macierzyńskiej stąd pochodziło, iż ojciec był nieznany dzięki istnieniu małżeństw grupowych. Ziegler, Starcke i inni autorowie słusznie rozpatrują tę opinię za zupełnie dowolną. Tak np. u Iroxenów Ameryki Północnej prawo macierzyńskie istnieje dotychczas; nie pochodzi ono bynajmniej stąd, by ojciec miał być nieznany, albowiem formą rodziny panującą u nich jest momogamia, i ojciec jest legalnie uznany. Również dowolnem zupełnie jest twierdzenie, iż prawo macierzyńskie wszędzie wyprzedzało ojcowskie. I owszem, najniższe szczepy ludzkie, jak Buszmani, znają tylko prawo ojcowskie. A Westermarck pokazuje, iż jest ono conajmniej tyleż starożytne, co i ojcowskie: tak u Narinnyers'ów znajduje prawo ojcowskie, u innych plemion sąsiednich — macierzyńskie. I bardzo słusznie można twierdzić, że prawo macierzyńskie tam, gdzie ono istnieje, może być raczej dowodem współistnienia lub istnienia uprzedniego poligamii, niż małżeństw grupowych: istotnie, w rodzinie poligamicznej ojciec jest znany, co do pochodzenia dziecka z tej strony nigdy sporu być nie może; natomiast może tu często zjawiać się wątpliwość, od której matki dane dziecko — zwłaszcza w wieku późniejszym — pochodzi. Liczenie pokrewieństwa w linii macierzyńskiej mogło więc tylko zapobiegać tego rodzaju niedogodnościom — i nic więcej [2]). Mogły to być tylko tytuły „honoryficzne" w rodzaju powyższych, na których oparto rodzinę „kazirodczą", „punalua" itd. Cały więc gmach, tak misternie wybudowany przez Bachofena, Morgana, Engelsa i in., wydaje się być pozbawionym podstaw. Zdaniem tych autorów, punktem wyjścia ewolucyi rodziny był stan zupełny „*promiscuitatis*", jako faza wspólna całej ludzkości. Widzieliśmy, iż jest to rzecz zupełnie wątpliwa. Co najwięcej, stan ten mógł się spotykać na równi z innymi, jak się dotychczas spotyka — w formie prostytucyi — ale nic więcej. Jako przykład najczystszy owego bezładu pierwotnego, przytaczają też zwykle komunizm płciowy, spotykany w plemieniu indyjskiem Nairów. Ale ich

---

[1]) Engels: „Les origines de la famille" etc., tłóm. franc.

[2]) Tarde: „Les transformations du droit".

kultura nie jest bynajmniej pierwotną. Stanowią oni klasę arystokratyczną, panującą. Starcke słusznie twierdzi, iż jesteśmy tu wobec rezultatu długoletniej ewolucyi, nie zaś wobec punktu wyjścia. Albowiem ich ceremonie weselne dowodzą, iż w epoce poprzedniej trwała i wierna monogamia była im znaną. Z drugiej strony Westermarck uważa dane o ludach dzikich, żyjących wrzekomo jeszcze w bezładzie, za błędne lub conajmniej problematyczne; a nawet, jeżeli niektóre z nich mają pozory prawdopodobieństwa, byłoby błędnem twierdzić, iż te fakty wyjątkowe stanowią fazę konieczną w ewolucyi rodziny. Mają one raczej charakter miejscowy i są wywołane przez okoliczności czasu i miejsca. Tak np. w dolinach Himalanyów dziewczęta rodzą się i dosięgają dojrzałości w liczbie daleko mniejszej, niż chłopcy — dzięki czysto miejscowym warunkom klimatu. Dlatego właśnie znajdujemy w Tybecie i w okolicach polyandryę, którą także chciano wyzyskać na korzyść tezy *promiscuitatiis* pierwotnej, gdyto jest tylko rzeczą przypadku. Nie mają także ogólniejszego znaczenia małżeństwa grupowe, trafiające się na wyspach Karolińskich, ani też organizacya klas australijskich, opisana przez Howitta i Fisona [1]), do której rozbioru przechodzimy.

Ci dwaj misyonarze byli uczniami Morgana, zapatrywali się na zjawiska oczyma swego mistrza, nazbyt uogólniali fakty, nadawali rzeczom miejscowym charakter powszechności, widzieli fazy ewolucyjne w rzeczach czysto czasowych i, opierając się na nomenklaturze pokrewieństw, szukali śladów małżeństw grupowych w nazwach, które były tylko tytułami honorowymi. Badając Negrów australijskich w okolicach Gambier, przyszli do wniosku, iż plemię jest tam podzielone na dwie klasy, Kroków i Kumitów. Stosunki płciowe surowo były zakazane w granicach każdej klasy; ale za to każdy mężczyzna jednej był mężem z urodzenia każdej kobiety z drugiej i odwrotnie. To wrzekomo nie jednostki pobierały się między sobą, lecz grupy całe, klasa z klasą. Nie miały tam istnieć w zasadzie żadne zakazy, oparte na różnicy wieku, ani też na pokrewieństwie specyalnem. Mężczyzna z klasy Kroki jest mężem każdej

[1]) Larimer Fison and A. W. Howitt: „Kamilaroi and Kurnai“ (Melbourne 1880). Nie mają także naukowego znaczenia nazbyt pośpieszne uogólnienia o pierwotnych małżeństwach grupowych, poczynione na zasadzie tego dzieła i dzieł pokrewnych, przez A. Giraud-Teulona: Les origines du mariage et de la famille“ (1884), Kowalewskiego: „Pierwobytnoje prawo“ (1886), tegoż „Tableau de la famille“ etc.

Kumitki, a ponieważ jego własna córka jest także Kumitką dzięki prawu macierzyńskiemu, jest ona przez to samo żoną urodzoną każdego Kroki, a zatem własnego swego ojca. Przynajmniej organizacya klasowa nie staje temu na przeszkodzie. Ale te stosunki pomiędzy rodzicami a dziećmi faktycznie zakazane są przez obyczaje, i położenie obecne przypomina rodzinę kazirodczą.

System ten ma się także spotykać wzdłuż rzeki Darling i w Queenslandzie. Jest więc szeroko rozpowszechniony, nie wykluczając stosunków płciowych pomiędzy braćmi a siostrami.

Inne plemię, Kamilaroï, zrobiło krok dla wyłączenia tych związków kazirodczych organizacyą złożoną z 4 klas, z których każda żeni się *en bloc* z inną, określoną. Dalszy krok na drodze zakazów między krewniakami miał być zrobiony przez plemię Warmenga, podzielone na sześć klas. W zasadzie wszystkiego ma jednak istnieć małżeństwo grupowe, jakkolwiek samiż badacze przyznają, iż małżeństwo to stało się raczej tradycyą, niż faktem realnym. Tylko starcy, szamani i możnowładcy zagarnęli wrzekomo pod tym względem prawa klasowe w formie poligamii, a stosunki płciowe bezładne mają się powtarzać tylko peryodycznie podczas świąt plemiennych.

„Stosunki małżeńskie, istniejące tam, przedstawiają się—powiada Eugels[1]) — spostrzegaczowi powierzchownemu, jako monogamia o więzach dość rozluźnionych obok poligamii, tu i owdzie praktykowanej, i przygodnie spotykającej się niewierności. To tylko Howitt i Fison wykryli prawo istotne, rządzące tymi stosunkami", a mianowicie, że mamy tu wrzekomo do czynienia z małżeństwem grupowem klas całych, jako zasadą kierującą. Otóż nowsze badania wykazały, że „spostrzegacz powierzchowny" lepiejby widział istotę rzeczy, niż Howitt i Fison, którzy dziesiątki lat spędzili na badaniu odnośnych stosunków, a spoglądali na wszystko oczyma Morgana i opierając się na jego przestarzałych szematach. Cunow[2]) mianowicie pokazał, iż ta sławetna organizacya klasowa, oddzielająca różne płcie i różne pokolenia, przyczem każda z tych grup nosi imię odrębne, sprowadza się wprost do systemu nazw powierzchownych, wywołanych po części przez zabobony i praktyki religijne, po części przez ubóstwo języka. Np. mężczyźni, należący do pokolenia doj-

---

[1]) Engels; „Les origines de la famille" etc.

[2]) Heinrich Cunow: Die Verwandschafts-Organisationen der Australneger, Stutgard 1897

rzałego, wydają się być ojcami wspólnymi wszystkich dzieci z pokolenia młodszego, albowiem każde z tych ostatnich nazywa każdego z poprzednich „ojcem”, inne tytuły pokrewieństwa noszą także wspólnościowy charakter. Uczniowie Morgana upatrywali w tem dowód małżeństw grupowych, które zanikły, pozostawiając, jako ślad, system odpowiedni pokrewieństwa. Cunow jednak pokazuje, iż pierwiastek „ojciec” znaczy tożsamo, co „wielki”, „stary”, a „dziecko” — „mały”, „młody”: w ten sposób nazwy pokoleń i „klas” wskazują tylko na różnicę wieku i położenia społecznego — nic więcej. Jest to jeszcze jeden cios, zadany teoryi Morgana, opartej głównie na systemach pokrewieństwa. Cunow zaprzecza, by małżeństwa grupowe praktykowały się gdziekolwiekbądź w Australii, jako wyraz zasady ogólnej: fakty tego rodzaju, stykające się tu i owdzie, nie przedstawiają fazy ogólnej w rozwoju rodziny, lecz są tylko wytworami okoliczności miejscowych. Również wątpliwym jest stały porządek następowania po sobie prawa macierzyńskiego i ojcowskiego, przyjęty przez Bachofena i Morgana i ich uczniów. Cunow pokazuje, iż u plemion niższych istnieje często w Australii prawo ojcowskie, u wyższych macierzyńskie.

Dowodów pierwotnego bezładu i małżeństw grupowych szukano także w niektórych przeżytkach, jak kuwada, polegająca na tem, iż po urodzeniu się dziecka ojciec jego udaje, iż to on odbywa połóg, kładąc się do łóżka, krzycząc i wijąc się. Fakt porodu miał niegdyś być podstawą prawa macierzyńskiego i pewnej przewagi kobiecej, opartej na tem, iż ojciec w małżeństwach grupowych nie mógł być znanym. Z wprowadzeniem monogamii ojciec miał wrzekomo sankcyonować kuwadą swój związek z dzieckiem i swą przewagę społeczną. Tłómaczenie to okazało się jednak zupełnie dowolnem. A mianowicie, gdyby było prawdziwem, to kuwada nie powinna byłaby się spotykać u plemion, u których panuje jeszcze prawo macierzyńskie, tam bowiem nie miałaby ona żadnego sensu, natomiast powinna byłaby być rozpowszechnioną przeważnie śród ludów, gdzie pochodzenie jest już obliczane w linii męskiej, albo też znajdujących się w fazie przejściowej. Otóż tablice statystyczno-etnograficzne, które Ling Roth ułożył, bynajmniej tego wniosku nie potwierdzają: okazuje się, iż kuwada istnieje głównie u ludów macierzyńskich, nie zaś u tych, które znajdują się w drodze przejścia do patryarchatu. L. Roth objaśnia kuwadę wpływami magicznymi szkodliwego charakteru, które, według wierzeń dzikich, zajęcia ojca mogą wywrzeć na dziecko nowo-narodzone. Dlatego też ojciec, kładąc się do łóżka i nic nie robiąc, uwalnia dziecko od mnie-

manego niebezpieczeństwa. Tłómaczenie to wydaje nam się błędnem, gdyż w takim razie ojciec powinien byłby się zachowywać spokojnie w łożu, tymczasem poddawany jest wielu próbom i dokuczliwościom nader uciążliwym. I dlatego bardziej słusznem wydaje się nam tłómaczenie Starcke'go, który, zestawiając kuwadę z innymi zwyczajami, których sens wydaje się być jasnym, sądzi, iż ona ustanowioną została nie w interesach ojca, ani matki, lecz dziecka, na które, według wierzeń pierwotnych, w ten sposób można przenieść brawurę ojca, dając mu możność jej wykazania; trzeba bowiem wielkiej odwagi, by poddać się przepisom tak licznym i uciążliwym. Istnieje jeszcze tłómaczenie, dość fantastyczne Féré'go, który kuwadę tłomaczy nerwowo-patologicznymi objawami t. zw. „sympatyi małżeńskiej", sprawiającej, iż po długiem pożyciu dwojga małżonków wszelkie cierpienia jednego są przez drugiego odczuwane i naśladowane. Bądź co bądź, z powyższego widać, iż w kuwadzie dłużej dowodów bezładu pierwotnego ani prawa macierzyńskiego szukać nie należy.

Toż samo, zdaje się, można powiedzieć o innych przeżytkach w rodzaju prostytucyi świętej kobiet Babylonu i innych miejscowości, które tłómaczone były, jako pozostałości bezładu. Ale, jak słusznie Tarde [1]) zaznacza, prostytuowały się one nie rodakom, lecz cudzoziemcom, i ponieważ to się odbywało w świątyni Afrodyty wolno przypuszczać, że to chęć podobania się bezwstydnej bogini wytworzyła ten zwyczaj, a nic innego.

Zwyczaj ten, nader rozpowszechniony, bo od morza Śródziemnego aż do Gangesu, miał stanowić wykup, za pomocą którego kobieta uwalniała się od praw, jakie ogół męski dawniej miał na nią i zdobywała w ten sposób prawo czystości.

Inne przeżytki prędzej już noszą charakter pozostałości z pierwotnego bezładu. Tak swoboda zupełna stosunków płciowych zapewnioną była dziewczętom u Traków i Celtów starożytnych, u mieszkańców Indyi, u ludów malajskich, wyspiarzy Oceanii, u wielu Indyan amerykeńskich (z południa), a poczęści i w Abisynii. Ale to tylko książęta i kapłani mieli wywierać w ten sposób „pierwotne prawa wspólnoty", a być może były to wprost objawy polygamii. Inne fakty są bardziej charakterystyczne. U wielu plemion amerykańskich mężczyzna, żeniący się ze starszą siostrą, zdobywa tem samem prawa i na wszystkie młodsze. Analogiczne zjawiska lewiratu

---

[1]) G. Tarde: Les transformations du droit.

są także bardzo wymowne. W Kalifornii, świadectwem Bancrofta, niektóre plemiona praktykują podczas świąt bezładne obcowanie płciowe. Mówiliśmy już, iż toż samo miewa miejsce i w Australii. Sam Westermarck przytacza cały szereg przykładów tego rodzaju saturnalii, odbywających się peryodycznie, ale tylko przez krótki przeciąg czasu: u Hosów, Santalów, Cotarów i t. p. plemion indyjskich, śród pewnych szczepów afrykańskich i t. d. Trudno orzec, czy tu mamy istotnie odżywanie chwilowe starożytnej swobody płciowej, a więc instytucyi społecznej, czy też tylko zjawisko natury czysto fizyologicznej, któremu człowiek pierwotny miał podlegać narówni z innemi zwierzętami, zwłaszcza na wiosnę, jak tego chce Westermarck.

Wogóle pisarz ten w swej krytyce teoryi Bachofena i Morgana jest nie mniej jednostronnym, niż oni. Zbijając ich teoryę, bez wątpienia ciasną, rzuca się w krańcowość odwrotną, która jest także dowolną. Zaprzecza on, by małżeństwa grupowe i bezład płciowy wogóle mogły były kiedyś istnieć, by pochodzenie dziecka w linii ojcowskiej mogło być niepewnem. Tymczasem, jak widzieliśmy, fakty bynajmniej nie uprawniają nas do tak obszernego wniosku. Co najdalej można odrzucić p o w s z e c h n o ś ć bezładu w ludzkości pierwotnej, powszechność prawa macierzyńskiego, jako pierwotniejszego. Wszystkie powyżej wyliczone fazy ewolucyi rodziny grupowej: bezład, małżeństwo grupowe i prawo macierzyńskie mogły się były spotykać obok regularnej monogamii lub polygamii, opartych na prawie ojcowskiem—wszak sam Westermarck, jak widzieliśmy, przyznaje objawy bezładu, uważając je tylko za zjawiska przypadkowe. Niema jednak na świecie zjawisk przypadkowych, wszystkie odbywają się na zasadzie praw, chodzi tylko o to, czy są mniej lub więcej liczne, rozpowszechnione. Otóż obecnie istniejący bezład w formie prostytucyi i cudzołóstwa jest dostatecznem potwierdzeniem tego, iż bezład mógł istnieć i w czasach pierwotnych, a zważywszy ówczesne ubóstwo, iż był nawet liczniejszy, niż za czasów historycznych. Jednemu tylko zaprzeczamy, — by rodzina miała przechodzić wszędzie przez jednakową ewolucyę i by etapy jej w czemkolwiek się zbliżały do szematów, nakreślonych przez Morgana i jego uczniów.

Dlatego też uważamy za zupełnie fantastyczne twierdzenie Morgana, iż rodzina „parzysta“ *(syndiasmique)*, obejmująca tylko dwie osoby, ale łatwo rozwiązalna miała się rozwinąć dopiero ze wszystkich poprzedzających faz rodziny grupowej. Miała ona powstać w sposób naturalny skutkiem zakazów obcowania płciowe-

go pomiędzy krewniakami, w miarę tego, jak węzły pokrewieństwa obejmowały coraz większą ilość osób danej miejscowości. „Tak u Irokezów i u większości innych Indyan okresu niższego barbarzyństwa i małżeństwo jest zakazane między wszystkimi krewniakami, których uznaje ich system, a jest ich kilka setek najrozmaitszego rodzaju" — powiada Enych. To jest fakt, nie przyjmujemy jednak w całej jego ogólności wniosku, który autor stąd wyprowadza: „z tymi zakazami małżeństwa grupowe stawały się coraz bardziej niemożliwe: zostały zastąpione przez rodzinę syndiasmiczną. W tej rodzinie mężczyzna żyje z jedną kobietą, ale tak, iż poligamia lub niewierność okolicznościowa pozostają prawem dla niego, ale nie dla kobiety". Z tej formy miała wreszcie z czasem rozwinąć się właściwa monogamia. Taką była ewolucya form rodziny według Morgana.

Przeciw tej teoryi rozpoczęła się opozycya, jak rzekliśmy, głównie dzięki Starckemu i Westermarckowi, rozwinięta zaś była w dalszym ciągu przez Grossego [1] i Cunowa [2]. Pierwsi dwaj zadawalali się robotą czysto krytyczną, drudzy starają się budować w inny sposób istniejące materyały etnograficzne, ale, właściwie mówiąc, opierają się w znacznym stopniu na tym samym fundamencie, co i Morgan lub Engels, t. j. na rozwoju techniki. na źródłach zarobkowania. Naszem zdaniem, jestto postępowanie błędne, a przynajmniej niewystarczające, gdyż obok ilości pokarmów (zależnej od źródeł zarobkowania, bo pasterstwo jest kilkanaście razy wydajniejsze od myśliwstwa, rolnictwo zaś kilkadziesiąt razy wydajniesze od pasterstwa), należy jeszcze brać pod uwagę rasę, natężenie energii biologicznej ras różnych i płci. Tylko wszystkie te czynniki, razem wzięte, pozwoliłyby dać objaśnienie i klasyfikacyę istniejących form rodziny. Niestety, nie mamy jeszcze praktycznych środków mierzenia energii biologicznej i dlatego musimy się zadawalać teoryą ogólną w rodzaju tej, jaką nasze równania przedstawiają. Opierając się zaś tylko na źródłach zarobkowania, otrzymujemy rzeczy chybione i jednostronne. Czuje to sam Grosse, przyznając, iż nie nastał jeszcze czas ostatecznej klasyfikacyi.

Grosse odróżnia następne źródła zarobkowania: niższe i wyższe myśliwstwo, pasterstwo, niższe i wyższe rolnictwo, na rasę zaś nie

---

[1]) Ernest Grosse: „Die Formen der Familie und die Formen der Wirthschaft".

[2]) Cunow: „Die oekonomischen Grundlagen des Muterrechts".

zwraca żadnej uwagi. Na tę ostatnią zwrócił poczęści uwagę Letourneau, ale on znów nie baczy na źródła zarobkowania. Bądź co bądź pewne cząstkowe oświetlenie kwestyi znajdujemy u jednego i drugiego, jak zresztą i u Morgana. Pozostawiając na stronie hypotezy o czasach przedhistorycznych, Grosse zajmuje się tylko ludami istniejącymi.

Otóż śród tych ostatnich, nawet najniższych, znajduje, jako typ zasadniczy, stadło małżeńskie parzyste. Rozbiór form, poprzedzających ten typ, jeżeli nawet na jego miejscu istniały małżeństwa grupowe, jest jego zdaniem niemożliwy dla braku dowodów. Zresztą niema to nawet znaczenia, albowiem każdy układ powinien i może być wyjaśniony (statycznie, nie zaś genetycznie) tylko działającemi w chwili obecnej siłami. Jeżeli więc chodzi nie o ewolucyę rodziny, lecz o wyjaśnienie form istniejących, przeszłość nie ma żadnego prawie znaczenia. Niestety, jak rzekliśmy, Grosse i Cunow śród tych sił zajmują się wyłącznie źródłami utrzymania, pokarmem.

Otóż pokarm, jak to wiemy skądinąd [1]), pozwala tylko objawiać się energii biologicznej, ale jej nie tworzy. W każdej rasie zawarte są siły biologiczne innego napięcia, dlatego też taż sama ilość pokarmu, też same źródła utrzymania w różnych rasach inne objawy wywoływać będą. Otóż temi siłami wewnętrznemi autorowie nasi wcale się nie zajmują. I na tem polega główna wada ich dociekań.

A mianowicie, nawet kontentując się analizą „źródeł utrzymania", to jest pewnej ilości pokarmu, różnej w okolicznościach rozmaitych, należy jeszcze odróżniać energię biologiczną kobiety i mężczyzny, z których każda przyciąga z otoczenia pewną ilość pokarmu zastosowaną do jej właściwości. Ta płeć, która w pracy tej wyzwala więcej energii i której produkty są przeto społecznie cenniejsze, ma zarazem w równowadze rodzinnej pewną przewagę. Równowaga ta ustanawia się na ogólnych zasadach ekonomicznych i według podziału Jevońskiego. Ustanawia się ona zresztą nie tylko między jednostkami, ale także między grupami, do których jednostki te należą, i wreszcie między rasami, do których grupy te należą.

A więc na najniższym szczeblu rozwoju źródeł zarobkowania, śród Australczyków i Buszmenów, Grosse znajduje wyodrębnioną rodzinę parzystą, w której ojciec jest głową i panem bezwzględnym żony i dzieci. Zamożni żyją w poligamii. Dziwna rzecz, jaką sta-

---

[1]) Por. „Energia społeczna" Ateneum, maj 1899.

łość formy rodziny przedstawiają w ludzkości, przypominając zupełnie procesy fizyczne krystalizacyi, odbywającej się koło punktów rozmaitej energii. Takim punktem jest w rozpatrywanej rodzinie mężczyzna. Nabywa on, t. j. przyciąga jedną lub kilka żon odpowiednio do swych zasobów, zasoby zaś same zależą od jego siły, energii. Objaśnianie form rodziny tylko względem ekonomicznym, ilością zasobów, posiadanych przez mężczyzn w danym razie, nic nie wyjaśnia, gdyż same te zasoby zależą od ich energii; człowiek słaby nie zdobędzie większej ilości zasobów, a więc nie będzie w stanie nabyć więcej żon. A zatem i ilość zasobów i ilość żon zależą razem i równolegle od energii biologicznej. Nie przeszkadza to zresztą, by zależały także jedne od drugich. Raz daną jest ta ogólna krystalizacya całego agregatu rodzinnego, to położenie i prawa każdego atomu, t. j. każdego członka rodziny jest zgóry określone i zależy od jego energii, t. j. od kosztów wytwarzania i usług, które oddaje. W bardzo drobnych gromadkach, któremi rodziny te koczują, poszukując pokarmu, energia mężczyzny społecznie gra pierwszą rolę, gdyż on jest żywicielem i karmicielem; rozporządza bezwzględnie losami dzieci i żony lub żon, gdyż one nie przedstawiają wielkiej wartości społecznej i mogą z łatwością być nabyte, t. j. przyciągnięte lub wytworzone przy odpowiedniem przekształceniu i nakładzie energii. Czemu jednak już na tem stadyum pochodzenie liczy się bądź w linii męskiej, jak u Buszmenow, bądź w żeńskiej, jak u wielu Australczyków? Czemu władza mężczyzny staje się mniej nieograniczoną u ludów żyjących rybołówstwem, niż u mieszkańców zachodniego wybrzeża Ameryki północnej? Oczywiście, iż tu same tylko względy gospodarcze, nie przedstawiające we wszystkich tych wypadkach wielkiej różnicy, wystarczyć nie mogą, jak u Grosse'go, i że tu działają czynniki rasowe, które jeszcze nie zostały wyjaśnione dokładnie.

Istotnie już na najniższych szczeblach rozwoju społecznego śród ludów Nowej Holandyi znajdujemy pokrewieństwo w linii żeńskiej. Cunow objaśnia to nie, jako pozostałość małżeństw grupowych, ani też, jako skutek wyższego położenia kobiet, gdyż przy myśliwstwie mężczyzna ma bezwzględnie pierwszeństwo w zdobywaniu pokarmów, ale jako warunek uniemożliwienia związków małżeńskich między krewniakami w linii macierzyńskiej. Istotnie pokrewieństwo w linii ojcowskiej przy jedno-lub wielożeństwie jest oczywistem, i zakazy odnośne same przez się działają bez żadnej interwencyi obyczaju. Natomiast, ponieważ pokrewieństwo w linii macierzyńskiej przy tym stanie rzeczy bynajmniej nie jest oczywistem, więc dla przestrzegania odnośnych zakazów należało wprowa-

dzić obliczanie w linii macierzyńskiej. Czemu jednak prawo macierzyńskie nie jest w takim razie powszechnem na tym szczeblu rozwoju? Należy wprawdzie przyznać, iż faktycznie nie ma ono wielkiego znaczenia i na istotne położenie kobiety nie wpływa. Taki np. Engels pisze: „obliczanie pokrewieństwa w linii żeńskiej przy niemożliwości wyróżnienia prawdziwego ojca oznacza wysoki szacunek kobiety, t. j. matki. Kobieta ma u dzikich i u barbarzyńców położenie wolne i szanowane. U Irokezów jest to potwierdzone przez misyonarza Artura Wrighta. Jestto także jedno z odkryć Bachofena. Niestety, Bachofen, Morgan i Engels, mówiąc o położeniu kobiety, opierają się głównie na Irokezach lub Malajczykach, którzy znajdują się już na dość wysokim szczeblu rozwoju społecznego. Sprawa jednak przedstawia się zupełnie inaczej, jeżeli wziąć najniżej postawione plemiona Australii, Melanezyi lub Brazylii. Nawet istnienie prawa macierzyńskiego nie zwalnia kobiet śród tych myśliwców od położenia zwykłego bydła roboczego.

U ludów pasterskich dzieje się toż samo, tylko na daleko większą skalę, co i u ludów myśliwskich. Ojciec jest panem bezwzględnym żony lub żon i dzieci, co się oznacza tem, iż jest właścicielem trzód. Pochodzenie prawie zawsze liczy się w linii męskiej, a gdy się spotyka panowanie prawa macierzyńskiego, położenie kobiety przeto się nie poprawia, tak, że zgodzić się należy z twierdzeniem Cunowa, iż pochodzenie w linii żeńskiej nie pociąga za sobą żadnych specyalnych przywilejów dla rodzicielki. Przeciwnie, wszędzie na najniższych szczeblach kultury mężczyzna panuje na zasadzie prawa silniejszego.

(*Dok. n.*)

Dr. Leon Winiarski.
Docent Uniwersytetu Genewskiego.



PRZYCZYNKI

do genezy kilku utworów Z. Krasińskiego z pierwszej doby jego twórczości.

I.

„Grób rodziny Reichsthalów".

Pierwszym dotychczas, przynajmniej, znanym, utworem młodziutkiego jeszcze pióra Krasińskiego jest wydany w Rozmaitościach do Gazety Warszawskiej w 1828 r.: „Grób rodziny Reichsthalów", powieść, jak zapowiada autor, oryginalna, z dziejów wojny trzydziestoletniej. Na tle wypadków tej wojny snuje autor w części pierwszej opowiadanie o dziejach nieszczęśliwej Minny Reichsthal, która, zmuszona przez ojca do oddania ręki Wallensteinowi, odbiera sobie życie, w części zaś drugiej, której akcya odbywa się o lat kilkanaście później, niż w pierwszej, — o zemście brata Minny Allana nad moralnym zabójcą siostry. Wypadki ściśle historyczne łączą się w tej powiastce z opowiadaniem zmyślonem o miłości Wallensteina ku Minnie; bo nie na samych faktach historycznych oparł się autor: one służą mu do dekoracyi sceny, na której odbywa się akcya, ma-

ło wspólnego mająca z historyą. Chcąc więc poznać, jak ta powiastka powstała, należy prócz źródeł historycznych odszukać i źródło literackie: „Odszukanie go, — mówi prof. Antoniewicz [1]) — nie byłoby tylko kwestyą zaspokojenia ciekawości literackiej. Chodzi tu o rzecz, o wiele ważniejszą, bo najpierw o rozstrzygnięcie pytania, co w tej pierwszej znanej nam pracy jest własnością literacką autora polskiej powiastki, a co nieznanego autora obcego źródła", powtóre, „czy wzór, który miał przed oczyma, zmusił Krasińskiego do tej dwoistej kompozycyi, którą już w tym pierwszym znanym utworze napotykamy, i czy ta wadliwa koncepcya da się choć w części wadliwością kompozycyi wzoru usprawiedliwić i wytłómaczyć".

Zanim przystąpimy do wskazania owego źródła literackiego, jeszcze słówko o tej koncepcyi. Treścią pierwszej połowy powiastki, jak słusznie zauważył profesor Antoniewicz, jest samobójstwo Minny, zmuszonej wbrew swej swoli do oddania ręki znienawidzonemu przez siebie Wallensteinowi; osią, około której obraca się część druga, zemsta Allana Reichsthala. Ponad tem wszystkiem jednak ukazuje się motyw, uwidoczniony w tytule „Grób rodziny Reichsthalów", nie wiążący się zresztą ściśle z akcyą i nie wywierający na nią żadnego wpływu. Przecież i ten fantastyczny grób rodu astrologa, „gdzie Adalbert, otoczony rodziną, we śnie śmierci oczekuje na dzień, w którym trąba anioła, wskrzeszając śmiertelnych, ma uwieńczyć cnotę lub ukarać zbrodnię", grób, gdzie zmarła Fatyma, jak zaklęta w czarownej bajce królewna, spoczywa, jak żywa, musiał na Krasińskim niemałe wywrzeć wrażenie, skoro od niego pochodzi cały tytuł. Obok tego głównego szkieletu ciało powiastki nie mało posiada specyficznych znamion, bardzo ciekawych i charakterystycznych, jak np. zaklinanie szatana przez mściciela Minny. Lecz dość już uwag wstępnych, które muszą wisieć w powietrzu; zbudujmy podstawę, a wtedy dopiero będziemy mieli jasny sąd o cechach powiastki Krasińskiego, wtedy będziemy mogli rozstrzygnąć, co jest własnością, a co pożyczką autora.

Ktokolwiek się zajmował najwcześniejszymi utworami Krasińskiego, zwróci przedewszystkiem uwagę na dzieła Skotta. W nim, jak to już dzisiaj na pewno prawie twierdzić można, jest źródło wielu motywów, zużytkowanych przez Krasińskiego w innych młodzieńczych powieściach; w dziełach jego dadzą się odszukać szczegóły drobne, powtórzone przez polskiego autora czy to w „Mściwym

[1]) „Z Krasiński i dzieło St. Tarnowskiego" Przegl. Polski, 1896.

Karle", czy we „Władysławie Hermanie"; co więcej, powieściopisarz angielski wpłynął na cały kierunek ówczesnej twórczości Krasińskiego, lubującej się w opowiadaniach fantastycznych, opartych na tle historycznem. Średniowieczne stroje, tak szczegółowo odtworzone piórem Skotta, walki rycerzy, namiętności, nie znające żadnego hamulca, to wszystko działało na Krasińskiego młodą fantazyę. Głównem więc źródłem pierwszej powieści Krasińskiego jest Walter Skott, i to jeden z jego najpiękniejszych romansów — „Łucya z Lamermooru" Ponieważ jednak powieść ta w tłómaczeniu polskiem wyszła dopiero w r. 1828. („Narzeczona z Lamermooru" przeł. przez F. S. Dmochowskiego. Warszawa 1828), wysoce prawdopodobnem jest twierdzenie prof. Antoniewicza, że Krasiński korzystał z Walter Skotta w tłómaczeniu francuskiem. Zobaczmy teraz, co zapożyczył z „Łucyi" Krasiński.

Jakaż jest Minna w przedstawieniu Krasińskiego? „Zdawało się, że dopiero osiemnasta wiosna jej bladawe skronie uwieńcza, ogień młodości, ogień, do błyskawicy podobny, świetniał w jej czarnych oczach, ukrytych pod długiemi rzęsy, a smutek, po nadobnych licach rozlany, bladość zamieniająca na lilie róże, kwitnące niegdyś na twarzy, wydawały uczucie zbolałego serca. Jej włosy w wijących się splotach spadały na około szyi, otoczonej pięknie wyszytą chustką". Taką była Minna. A Łucya? „Luciens ausgezeichnet schöne, doch etwas zu weiche Züge—czytamy u W. Skotta w wyd. Reclama, 489—waren gemacht, Seelenruhe, Heiterkeit und Verachtung des weltlichen Flitters auszudrücken. Ihre dunkelgolden Locken umgaben die blendendweisse Stirne, wie gedämpfter Sonnenschein einen Schneehügel. Der Ausdruck ihres Gesichts war im höchsten Grade freundlich sanft, schüchtern und weiblich... Es lag etwas Madonnenhaftes in ihrer Erscheinung, was vielleicht ihrer zarten Gesundheit und dem Aufenthalte im einer Familie zuzuschreiben war, deren Glieder stolzer, lebendiger und thatkräftiger waren, als sie". Takąż rodzinę dumną i nieugiętą w swej woli ma Minna w osobie swego ojca astrologa. Tymczasem jej miękki charakter — *etwas zu weiche Züge* Łucyi — nie dał jej dość siły do stawiania oporu ojcu. Gdy ją pierwszy raz autor wyprowadza na scenę, czyta książkę o śmierci, napisaną przez jakiegoś protestanta. Mimo gorących przedstawień ojca odmawia ręki Wallensteinowi, chociaż serce jej jest wolne, bo serce jej nie pozwala na połączenie się z człowiekiem, w którym dumna ambicya pierwsze zajmuje miejsce, bo czuje, że z nim nie będzie szczęśliwą, „a pędzić życie z takim człowiekiem zdawało się jej, że jest to zamienić złudzenie i błogie

chwile młodości na męczarnie bezdennego piekła." Toż samo pragnienie gorącej miłości ogarnia i Łucyę [1]). Nieokreślony i niewytłomaczony miłością ku innemu wstręt Minny ku Wallensteinowi, wstręt tak wielki, że przełamanie jego jest powodem jej śmierci, wydaje się nam błędem powieści. Sam opór woli ojca, wogóle woli rodziny wziął Krasiński ze Skotta, ale pominął przyczyny oporu, przez tamtego uwzględnione. Łucya bowiem kocha Rawensvooda wbrew woli swej matki i w miłości ku Ravensvoodowi czerpie siłę do oporu woli matki, czego pozbawioną jest Minna. Obie jednak ulegają w końcu rodzicom. Zniewolona usilnemi prośbami ojca zgadza się Minna na jego życzenie, lecz stawia warunek: „Wallensteinie, jeśli prawdziwie mnie kochasz, uczyń zadość mojej prośbie, poczekaj jeszcze tydzień, a po jego upłynieniu przysięgam, że nigdy mojej ręki nikomu nie oddam, jak tobie". W podobnej sytuacyi znajdujemy Łucyę. W towarzystwie jej matki przychodzi do niej Bucklaw — jak Wallenstein do Minny w towarzystwie astrologa — i prosi o jej rękę. Surowość nieugiętej matki łamie wolę Łucyi, i Łucya godzi się na oddanie ręki Bucklawowi, lecz prosi go o tygodniową zwłokę [2]). Jakkolwjek Krasińskiego Wallenstein pod względem swego charakteru o całe niebo różni się od Bucklawa—Wallenstein naturalnie jest namiętny—przecież obaj zgadzają się na prośbę Minny-Łucyi: „Minno, rzekł Wallenstein, zezwalam na twoje żądanie, i, żeby dowieść ci mojej miłości i poświęcenia bez granic, jeszcze tydzień jeden w najsroższej niepewności dla mnie upłynie, ale potem żadna władza boska ni ludzka nie zdoła mnie powstrzymać". Bucklaw nie z tych działa pobudek, co Wallenstein. On ma serce czulsze i delikatniejsze uczucie. I on zwraca się do matki Łucyi z prośbą o zezwolenie na żądanie córki [3]).

---

[1]) „Ihr geheimes Entzücken waren die alten Legenden, in denen sich heisse Liebe und unverbrächliche Treue mit seltsamen Abenteuern und übernatürlichen Schrecknissen mischten" (l. c. 49).

[2]) „Ich habe Wochen, Tage, Stunden und Minuten gezählt, antwortete miss Ashton, ehenoch eine Woche vergeht, muss ich eine Antwort haben... Bis dahin, Sir, sagte sie, sich an Bucklaw wendend, habe so viel Nachsicht für mich, meine Mutter zu bitten, mich mit dieser Sache zu verschonen" (str. 353).

[3]) „Es soll meine inständige Bitte an Lady Ashton sein, erwiderte Bucklaw. Bei meiner Ehre, Madame, ich achte eure Gefühle, und obgleich es mir nun um so wichtiger ist, die Sache für mich zu einem günstigen Abschluss zu bringen, so würde ich doch, so wahr ich ein Edelmann bin, lieber ganz darauf verzichten, als Euch durh die Verfolgung derselben auch nur einen Angenblick Kummer zu verursachen" (l. c. 353).

List, o którym Łucya mówi, wysłała do Rawensvooda, swego narzeczonego, Minna zaś wysyła list do brata. Tydzień mija, niema odpowiedzi dla Łucyi, ani brat nie przybywa w pomoc Minnie. Tu musimy zauważyć, że Krasiński tragiczny koniec swej bohaterki umieszcza przed ślubem przy podpisywaniu intercyzy, Walter Skott zaś dopiero po ślubie, zgodnie z rzeczywistością, bo zdarzenie u Skotta jest historyczne, — każe umrzeć gwałtowną śmiercią Łucyi. Na obrzęd uroczysty przychodzi Minna bez ślubnego wianka. „Rozpuszczone włosy wiły się bez porządku naokoło śnieżnej szyi. Jedna tylko suknia biała bez żadnych ozdób mogłaby być znakiem godowej uroczystości, gdyby wpół ją (!) nie obejmowała czarna przepaska". Tego opisu nie znalazł Krasiński w swym wzorze. Skott ze znaną owszem skrupulatnością opisuje toaletę Łucyi. Nie trzeba chyba tłómaczyć, dlaczego tak Krasiński postąpił. Wydało mu się bardziej odpowiedniem zastosować ubiór do stanu duszy Minny. Usposobienie jednak Minny wiernie podług Skotta skreślone. U Minny „nie wesele, nie słodkie uczucie radości, nie miłości uniesienia, ale smutek, ale śmiertelna rozpacz malowały się na twarzy, odbijały się w ogniu ponurym jej czarownych oczu". Minna „podobną była do pięknego posągu z marmuru, tylko że na martwym kamieniu rozpacz się nie maluje, a rozpacz władała jej sercem, władała już nie zdrowym rozumem" [1]).

Wprowadzona przez ojca do komnaty ma Minna podpisać akt ślubny. Już go podpisał Wellenstein i Adalbert Reichsthal, „teraz kolej przychodziła na nieszczęsną Minnę. Z obłąkanemi oczyma wzięła pióro, ale zapomniała go umaczać. Astrolog odebrał pióro, zanurzył w kałamarz i oddał córce. Ale Minna nie miała dosyć mocy do podpisania się. Ojciec więc wziął jej rękę i nią kierował. Nareszcie nieczytelne dziewicy imię zaczarniało na pergaminie. Właśnie kończyła ostatnią literę, kiedy usłyszano tętent prędko biegnącego konia, a wkrótce potem kroki w sieni i głos silny. — To on — krzyknęła Minna i pióro wypadło jej z ręki". Podobnież było u Walter-Skotta. Intercyzę podpisał już ojciec Łucyi,

---

[1]) Podobnież Łucya „hörte von den getroffenen Gestalten mit der stummen Gleichgültigkeit der Verzweiflung, oder vielmehr mit einer Fühllosigkeit, die in der Betäubung ihres Gemüts begründet war... (l. c 372)... Es war ein Glanz in ihren Augen und eine Farbe auf ihren Wangen, wie man seit lange nicht an ihr gesehen hatte" (l. c. 388.)

sir William i Bucklaw, jej nowy narzeczony [1]) Ta scena widocznie najbardziej się podobała Krasińskiemu, jako rzeczywiście wzruszająca swą dramatycznością. Poszedł więc też za swym pierwowzorem tak dokładnie, że prawie przetłómaczył angielskiego powieściopisarza [2]). Któż więc przerwał akt ślubny? U Krasińskiego „drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Alan de Reichstal. Pióro połamane na czapce, cały ubiór w nieładzie, buty, okryte śniegiem, pot, cieknący z twarzy dowodziły prędko odbytej podróży. Jego ukazanie się wszystkich zdziwiło". I Walter-Skott przybyłego Rawensvooda tak samo opisuje [3]).

---

[1]) „Es war nun an Miss Ashton, die Papiere zu unterzeichnen, und sie wurde von ihrer achtsamen Mutter zu diesem Ende an den Tisch geführt. Beim ersten Versuch begann sie mit einer trockenen Feder zu schreiben und, als dieser Umstand bemerkt wurde, schien sie nach wiederholtem Versuche unfähig, ihre Feder in das silberne Tintenfass zu tauchen, das gefüllt vor ihr stand. Die Wachsamkeit von Lady Ashton half dieser Verlegenheit ab. Ich selbst habe den unseligen Kontrakt gesehen und in den deutlichen Buchstaben, womit der Name von Lucie Ashton auf jeder Seite gezeichnet ist, nur eine sehr zitternde Hand bemerkt, was ihren Gemüthszustand zur Zeit der Unterzeichnung offenbart. Aber die letzte Unterschrift ist unvollständig, verwischt und befleckt, denn während ihre Hand schrieb, hörte man den Hufschlag eines Pferdes am Thor, worauf man Schritte in der äussern Gallerie vernahm und eine Stimme hörte, die in befehlendem Ton dem Widerstand der Dienerschaft Trotz bot. Die Feder fiel Lucien aus der Hand, während sie mit schwachem Schrei die Worte ausstiess: „Er ist gekommen — er ist gekommen". (l. c. 375).

[2]) Tłómaczenie niemieckie, którem, niestety, muszę się posługiwać, jeszcze nie oddaje wierności wpływu tej sceny na Krasińskiego. W tłómaczeniu Dmochowskiego, opartem, jak wiadomo, na przekładzie francuskim, ta scena bardziej odpowiada opowiadaniu Krasińskiego, tak, że zadziwiające to podobieństwo: „Przyszła nareszcie kolej na pannę Ashton. Jej czujna matka sama zaprowadziła ją do stołu i wskazała miejsce, gdzie się ma podpisać, Najprzód, gdy zebrała swoje siły, chciała pisać suchem piórem. Gdy matka ostrzegła ją o tem, usiłowała zamaczać je w kałamarzu, stojącym przed nią, ale nie mogła tego dokazać, a lady Ashton musiała i to jeszcze podjąć starannie. Sam widziałem nieszczęśliwą tę intercyzę. Nazwisko Łucyi Ashton wyraźnie wyczytać można na dole każdej stronnicy, zdaje się tylko, że je drżąca ręka kreśliła. (To miejsce zgadza się więcej z Krasińskim, niż przekład niemiecki). Ale ostatni podpis prawie jest nieczytelnym, a litera t w wyrazie Ashton jest tak postawiona, iż możnaby mniemać, że ją wymazać chciała. Bo w tej właśnie chwili, gdy ją kreśliła, koń, pędzący galopem, stanął przed bramą. W tejże chwili ktoś wszedł do przedsionku, a groźny głos odpowiedział służącym, którzy chcieli wzbronić wejścia do sali. To on! zawołała Łucya, przyjechał! i pióro wypadło jej z ręki.
(l. c. III. 173).

[3]) „Kaum hatte miss Ashton die Feder fallen lassen, als die Thüre des Gemaches aufflog und der Herr von Rawensvood in das Gemach trat. Lockhard und

Zbliżamy się do końca tragedyi. Minna truje się, dostawszy truciznę ze zbiorów ojca, Łucya dostaje pomieszania zmysłów i po ślubie rani sztyletem, który jej dał niebacznie własny brat, Bucklawa, sama zaś wkrótce w obłąkaniu umiera. Rolę mściciela—Allana Reichsthala przyjmuje u W. Skotta brat Łucyi, pułkownik Ashton. Scena między nim a Rawensvoodem, jakkolwiek zupełnie przypomina walkę Wallensteina z Allanem, nie prowadzi, jak u Krasińskiego, do pojedynku, bo Rawensvood ginie śmiercią samobójczą. Tyle o jednym motywie i jednej części opowiadania Krasińskiego.

Czy są jeszcze inne ślady wpływu W. Skotta? Po śmierci Minny miał się Allanowi ukazać szatan. „Mówią nawet, że tej pamiętnej nocy ukazał mu się szatan w całej potędze... Ofiarował mu pan nieszczęścia wykonanie zamiarów, obiecał nieszczęśliwy zgon wroga". Walter-Skott mówi to o Rawensvoodzie [1]).

Opis opustoszałej wieży astrologa również nosi na sobie cechy opisów W. Skotta. Burza szaleje na dworze. Wśród burzy i deszczu do domu astrologa przybywa posłaniec od Wallensteina: „Przybył do stóp wzgórka, na którym się wznosił dom niski, ale tak długi, że wziąćby go można z początku za obszerny pałac. Znikało jednak to złudzenie za zbliżeniem się do niego. Jedna część zupełnie była pusta, okna bez szyb, a nieliczne kawałki szkła, pod niemi leżące, dowodziły, że już wiatr rozwiał inne na wszystkie strony. Belki, niedobrze spojone, uginały się pod wichrem, a deszcz rzęsisty dokonywał dzieła niedbałości i czasu... Wysoka wieża z cegieł, rozmaicie pomalowanych, dopełniła dziwacznego obrazu... Dwie lampy oświecały szeroką komnatę, ale ich światło z trudnością się przedzierało przez gęsty dym, który dopiero się zmniejszył, kiedy Walter drzwi otworzył". W podobną burzliwą noc przybywa Rawensvood do zamku swych przodków [2]). Podobnie jak Walter

---

ein anderer Diener... erschienen auf der Schwelle, wie verblüfft, und die ganze Gesellschaft im Prunkzimmer war es für einen Augenblick nicht weniger... Sein dunkelfarbiger Reitermantel, von der einen Schulter verrückt, hing von der andern in den weiben Falten eines spanischen Mantels herab. Seine übrige, sehr reiche Kleidung war von der Reise beschmutzt und von einem scharfen Riss in Unordnung gebracht".

[1]) „Der Bauer... versichert noch heute, dass in jener Unglücksnacht der Herr von Rawensvood durch bittere Ausbrüche der Verzweiflung irgend einen Teufel beschworen habe, durch dessen furchtbare Macht das Gewebe der folgenden Vorfälle gewirkt worden sei. (l. c. 44).

[2]) „Der blasse Mond, der bisher mit fliehenden Wolken gestritten, trat hell hervor und zeigte ihnen den einsamen, nackten Thurm auf einer in das deutsche Meer hinausragenden Klippe. Auf drei Seiten war der Fels unzugänglich; auf der

z trudnością dostał się do wnętrza wieży astrologa („Słowo daję, że łatwiej się dostać do nieprzyjacielskiego zamku, niż do waszego domu"), tak też było i z Rawensvoodem [1]).

Usposobienie Lesliego, jak je opisuje Krasiński, ma pewne podobieństwo do stanu duszy Rawensvooda po śmierci Łucyi. „Zimne jego serce niczem się nie wzruszyło, chyba, kiedy wlewało w niego gorycz przeszłych zdarzeń przypomnienie. Wtenczas zdawał się odchodzić od zmysłów... Chodził po długich zamku korytarzach, jęczał i wzywał zemsty niebios na wroga". Podobnie Rawensvooda wspomnienie Łucyi wyprowadzało z równowagi [2]).

Motyw „Grobu rodziny Reichsthalów", gdzie jej członkowie nienaruszeni oczekują na trąbę archanielską, przypomina „Pieśni ostatniego minstrela". Tam przybywa rycerz do podziemnego lochu, gdzie, jak mu mówiono, ma spoczywać zmarły pielgrzym:

„Vor ihrem Blick der Zaubrer lag
Als wär'er tot noch keinen Tag.
Sein Bart im Silberglanze wallt,
Er schien wohl siebzig Jahre alt.
Ihn hüllt' des Pilgers lang Gewand,
Umschnürt von spanischen Gürtels Band.
Die Linke hielt das Zauberband,
Ein silbern Kreuz die rechte Hand
Die Lampe stand zu seinen Knieen [3]).

---

vierten, der Landseite war er sonst von einem künstlichen Graben und einer Zugbrücke beschützt gewesen, aber die letztere war zerbrochen und eingestürzt und der erstere war zum Theil ausgefüllt... Die übrige Seite des Vierecks wurde von dem Thurme selbst eigenommen, der eng und hoch von gräulichen Steinen gebaut im Mondlicht erschien, wie ein schimmerndes, ungeheures Riesenscepter. Eine wildere, unheimlichere Wohnung könnte man sich schwerlich vorstellen... Obwohl die Nacht noch nicht sehr vorgerückt war, so bemerkte man doch kein Lebenszeichen in dieser verlorenen Behausung, ausgenommen, dass ein einziger der schmalen Gitterfenster, die unregelmässig in den Wänden des Gebäudes sich zeigten, in einem matten Lichte schimmerte" (l. c. 98—9.

[1]) „Obgleich Rawensvood mit Macht an das niedriege Thor klopfte und mit wiederholten Rufen Caleb aufforderte, aufzumachen und sie einzulassen, währte er doch sehr lange, bis sie eine Antwort erhielten".

[2]) „Sie, Lucie Ashton! —willst du mich töten, Alter, indem du mich zwingst, ihren Namen zu wiederholen" mówi do swego wiernego sługi. (l. c. 405). Późno w noc Kaleb „vernahm die schweren Tritte desselben auf dem Fussboden, die von tiefen Stöhnen unterbrochen wurden; er hörte es, wie er mit dem Absatz seiner schweren Stiefel den Boden stampfte und er erkante in diesen Zeichen die Ausdrücke der heftigsten Verzweiflung" (l. c.).

[3]) (Des letzten Minnesängers Sang, Leipzig. Reclam 24—5).

U Krasińskiego u grobu Fatymy również pali się „srebrna lampa, podsycana najczystszą palestyńską oliwą”. Czy jednak to, zresztą piękne i fantastyczne opowiadanie wywołało u Krasińskiego takie wrażenie, że motyw ten szerzej rozwinął, czy też wziął go całkowicie z jakiej innej powieści, nie umiem powiedzieć.

Zdać sobie wreszcie należy sprawę, co właściwie jest własnością Krasińskiego, a co Walter-Skotta. Widzieliśmy, że cała pierwsza część opowiadania oparta jest na „Łucyi z Lammermooru”. Znajdujemy więc tu nieugiętego ojca, tam—matkę, piekną, lecz ulegającą woli rodziców, Minnę-Łucyę i ten sam tragiczny jej koniec. Nie brak jednak i różnic. Wallenstein łączy w sobie dwie osoby z Łucyi: Rawensvooda i Bucklawa. Rawensvooda znowu wiele cech dostał Allan, mianowicie jego namiętność uczucia, chociaż jemu, jako mścicielowi siostry, odpowiada u W. Skotta Bucklaw i brat Łucyi, pułkownik Ashton. Jako wspólny motyw, który wszystkie różnice w sobie łączy i skupia, jest złamanie szczęścia córki wskutek woli rodziców. Co jednak W. Skott głęboko i obszernie umotywował, miłością Łucyi ku Rawensvoodowi jej niechęć do Bucklawa, to u Krasińskiego przybiera kształt chorobliwego prawie i nie bardzo wytłómaczonego wstrętu Minny ku Wallensteinowi. Przyjąwszy jednak ten motyw, szerzej rozwinął Krasiński motyw zemsty i wplótł go w fakt historyczny, korzystając z nieznanej, choć historycznie prawdziwej, osoby pułkownika Leslie. Ten więc należy bezwarunkowo oddać Krasińskiemu i przyjąć go za rys charakterystyczny do ocenienia jego działalności pisarskiej. Szczegóły historyczne są prawdziwe; nawet rude włosy historycznego Wallensteina znalazły się u Krasińskiego, nie mówiąc już o dokładnem podaniu dni bitew, zamiłowaniu Wallensteina do astrologii, przepychu prawdziwie królewskim, o jego zamysłach i śmierci. Tylko miłość Wallensteina i pułkownik Leslie — przebrany Allan—są wytworem fantazyi autora, posługującej się pierwowzorem angielskim. Tam znalazł Krasiński to, co było potrzebnem wedle jego zapatrywań do stworzenia powieści historycznej.

II

„Mściwy Karzeł i Masław, książę mazowiecki”.

Powieść narodowa.

Krótka ta powiastka, zamieszczona w „Pamiętniku dla płci pięknej” z roku 1830, bez wątpienia jednak napisana wcześniej,

słaba pod względem techniki powieściowej i stylu, jest o tyle znamienną, że rzuca nowy snop światła na młodociany umysł Krasińskiego. Kolorytu romantycznego odmówić jej nie można. O treści szczupłej i strasznej, ma za dekoracyę czerwone chmury, straszliwą burzę, ciemności, lochy podziemne, huczną biesiadę na zamku gozdawskim i pożar. Na tem tle ukazują się nam Joanna z Gozdawy, mordująca dziewice, dziki Masław, który bierze na siebie rolę mściciela, karzeł Joanny, pomocnik w jej zbrodniach, i dwie postacie: Jordana i Zbisławy z Czernic, którzy niewinnie śmierć ponoszą przez spalenie żywcem w zamku razem z Joanną i jej pomocnikiem. Odłóżmy na bok dekoracyę, a zostaną straszne czyny Joanny i kara za nie, jako główna treść powiastki. Skąd ją Krasiński wziął?

W „Dzienniku warszawskim" z r. 1826 (tom VI. 75 — 77) pod tytułem „Miscellanea. Zamek węgierski Kseith", znajduje się następujący artykuł: „W podróży opisowo malowniczej (*pittoresque*) ponad brzegami Waagi przez barona Miedniańskiego drukowanej w Pesth 1826 r., znajduje się następująca historyczna okoliczność. Zamek Kseith nad Waagą przedstawia teraz gruzy i zwaliska. Należał on kiedyś do Mathiasa Korwina i Maxymiliana II i dostał się Elżbiecie Batorównie, synowicy Stefana Batorego, króla polskiego, a żonie Franciszka Nadasdy. Księżniczka ta nadała nieszczęsną sławę temu zamkowi, w którym przez wiele lat dopuszczała się okrucieństwa, jakiego prawie dzieje nie wystawiają przykładu. Kazała ona wychowywać w swoim pałacu ubogie dziewczęta, które wyposażała i wydawała za mąż co rok w czasie niektórych okoliczności; ale karała gwałtownie i srogo najmniejsze uchybienia i zdawała się mieć upodobanie, poglądając na cierpienia tych niewinnych istot. Dnia jednego w szalonem uniesieniu uderzyła gwałtownie jedną z tych nieszczęśliwych tak, że krew bryznęła jej na twarz. Zbliżywszy się do zwierciadła dla otarcia twarzy, zdało się jej, że w miejscu skrwawionem ciało stało się bielsze, piękniejsze i świetniejsze. Wnet przychodzi jej na myśl, ażaliż nie mogłaby się odmłodnić, we krwi ludzkiej się kąpiąc. Dwie stare służące i karzeł nadworny Fitzko pomagali jej w wykonaniu tak okropnego zamiaru. Młode dziewczęta znikały jedna po drugiej, i, co zaledwie można pojąć, więcej, niż 300, zostało zamordowanych dla kaprysu tej okrutnej niewiasty. Pewien młodzieniec, utraciwszy tym sposobem swoją narzeczoną, powziął podejrzenia, a rozrzuciwszy złoto, wydostał nawet szczątki nieszczęśliwej, którą opłakiwał. Zapalony gniewem, przejęty boleścią, leci do Presburga i napełnia całe miasto wyrzekaniem żałości i rozpaczy. Grzegorz Thurzo, kanclerz kró-

lestwa, widząc, że chodzi o znakomitą osobę, udał się sam na miejsce, zeszedł niespodzianie cztery potwory na gorącym uczynku właśnie w tej chwili, gdy ofiara ostatniego oddawała ducha, opierając się pierwej nadaremnie swoim zabójcom. Natychmiast uformowano proces, którego akta zostały wydrukowane dla zaspokojenia powszechnej ciekawości i oburzenia. Dwie owe kobiety skazano na ucięcie prawej ręki i głowy, karła na utratę ręki i spalenie żywcem. Księżnę wtrącono do ciemnego więzienia, w którem po trzech latach umarła roku 1614."

W tym artykule mamy całe opowiadanie Krasińskiego. Joanna z Gozdawy była to można i bogata pani, opowiada Krasiński, ale okrutne jej serce raczej pod żelaznym pancerzem, niźli pod rąbkiem niewieściego stroju, bićby powinno. Wdzięki jej mało równych zapewne miały na świecie, a przecież nie zdobiły one przed laty Joanny; nie zbywało jej zaprawdę na kształtności rysów i wspaniałości postawy, ale płeć twarzy nadzwyczaj śniada niweczyła całą piękność. Lubiła potężna pani zgromadzać do domu swojego młode dziewice. W ich gronie znajdowała się Elżbieta... Czarowne jej wdzięki wielbiła cała okolica; zazdrosnem na to spoglądała okiem Joanna, i przyszła jej myśl piekielna sprzątnąć ze świata Elżbietę. Karzeł jej wezwany był do spełnienia tych zamiarów. Ułożono daleką podróż, Elżbieta towarzyszyła swej pani. Na pierwszym noclegu związano dziewicę, i sama Joanna męczyła ją różnymi sposobami. Wtem kropla krwi padła na jej twarz śniadą. Joanna, zbliżywszy się do srebrnego zwierciadła, obmywać ją zaczęła, i zaraz potem spostrzegł karzeł dziwny rodzaj radości i zadowolenia w jej okrutnem spojrzeniu. Skinęła na karła ręką, a ten, zbliżywszy się, dostrzegł z niemałem zdumieniem, że miejsce, skąd krew otarła, bieliło się, jak śnieg na górach. Joanna spojrzała na sztylet karła, lecz nim jeszcze słowo wyrzec mogła, już Elżbieta u nóg jej bez duszy leżała. Joanna rzuciła się na ciało dziewczyny i w ciepłej krwi twarz swoją myła. Trzeba było widzieć jej radość, gdy, zbliżywszy się do zwierciadła, nadzwyczajną białość płci ujrzała... Gdy Joanna namiętnie pokochała Masława, księcia na Mazowszu, wtenczas często już trzeba było powtarzać zbrodnicze kąpiele. Ginęły dziewice jedna po drugiej. Właśnie w dniu, w który nas wprowadza autor, miała zginąć Zbisława z Czernic. Karzeł, dotychczasowy pomocnik Joanny, odepchnięty przez nią i zionący zemstą, wydaje wszystko Jordanowi z Bordan. narzeczonemu Zbisławy. Złoty łańcuch, rzucony mu pod nogi przez Jordana, nie wpłynął na jego zdradę, bo osobista ku Joannie nienawiść główną jest sprężyną zemsty. Lecz w opowiadaniu z Pamiętni-

ka Warszawsk. czytał zapewne Krasiński i zapamiętał złoto, rozrzucane przez młodzieńca. Właśnie w chwili, gdy już Zbisława miała upaść pod ciosem zbrodniczego sztyletu, ocala ją od śmierci Jordan (w wyżej wymienionem opowiadaniu łapią zbrodniarkę w chwili, gdy jej ofiara już umiera) i razem z nią udaje się do Masława. Ten, odepchnięty przez Zbisławę, w której chce mieć następczynię Joanny, każe przywiązać do kamiennych słupów zamkowych Joannę z jej pomocnikiem karłem, Zbisławę i Jordana i spalić wszystkich żywcem. Na tem kończy się opowiadanie.

Nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości, że powieść Krasińskiego na wskazanem opiera się źródle. Dla charakterystyki jednak autora trzeba słów parę powiedzieć o jego sposobie korzystania ze źródła. Pierwszem pytaniem, które tu należy postawić, jest, czy powieść ta ma prawo do noszenia tytułu narodowej. Bezwarunkowo nie. Jako osoba historyczna, występuje tu Masław, jednem zdaniem autora bliżej określony, jako: podczaszy na królewskim dworze, a teraz książę płocki i srogi łupieżca ucieczką Ryxy zaburzonej Polski. „Zuchwałość, połączona z chęcią panowania, strasznym go czyniła nawet odległym sąsiadom, i może nie było wówczas w całem Mazowszu człowieka, któryby się poważył wszechwładnej woli jego oprzeć." Nawet kolorytu historycznego nie zachował Krasiński w charakterystyce Masława, który, jak mówca dzisiejszy, do swych rycerzy woła: „Panowie!..." Historyczną więc ta powiastka nie jest, chociaż młody autor chciał, aby była historyczną, nietylko bowiem wplótł w kanwę opowiadania osobę historyczną Masława, lecz zlokalizował całe opowiadanie na Mazowszu. Wszystkie mianowicie miejscowości, wspomniane przez autora, jak Czernice, Bordany, Gozdawa, leżą na Mazowszu i to w pobliżu Opinogóry, siedziby Krasińskich. Zewnętrznemi więc cechami chciał Krasiński zrobić z tej powieści powieść narodową i historyczną. „Mściwy karzeł" jest też pod tym względem o wiele niższy od „Władysława Hermana", w którym mimo fabuły przejętej od angielskiego powieściopisarza dość jest miejsca na podmalowanie tła rzeczywiście historycznego, chociaż jeszcze nie wszędzie odpowiadającego rzeczywistości.

Główny motyw opowiadania (bielenie skóry krwią dziewic) również nie odnosi się do żadnej z osób historyi polskiej. Dlaczegoż więc autor przesadził fakt, stanowiący chyba bardzo ciemną plamę w charakterze narodowym, na grunt polski? Nie możemy przypuszczać, żeby autor nie wiedział, że może się spotkać z protestem histo-

ryka, występującego w obronie narodowego charakteru [1]), i że protest ten będzie najzupełniej szłuszny. Tak strasznych zbrodni nikt nie zechce przeszczepiać wbrew prawdzie historycznej na grunt swojski nawet w powieści. Tłómaczy autora ówczesna ogólna dążność do stworzenia w Polsce powieści historycznej. Miał fakt, straszny swą zwierzęcą prawie dzikością, lecz pociągający fantazyę grozą, a chciał, jak wielu innych, przyczynić się cegiełką do budowy powieści swojskiej. Oblókł go więc, jak umiał wtedy, w szaty polskie, nie troszcząc się o to, że czyni się tem krzywdę pewną przeszłości narodowej, i był pewny, że stworzył powieść narodową. Miał zresztą i obronę gotową.

Zdarzenie, zaszłe w wieku 17 w kraju obcym, przeniósł wprawdzie do Polski, ale przeniósł do wieku jedenastego. A to już stanowi pewną różnicę. Zbrodnia w wiekach średnich, najstraszniejsza nawet, znajduje, jeżeli nie usprawiedliwienie, to przynajmniej wytłómaczenie i złagodzenie w braku cywilizacyi i delikatności uczuć, więc mniej razi, niż ta sama zbrodnia, popełniona w wieku XVII. Szczęśliwy też pomysł autora wprowadzenia Masława do powieści pozwala na koloryt o wiele ciemniejszy, bo i czasy Masława, czasy ostatniego powrotu pogaństwa w Polsce, zgodzićby się mogły z największą zbrodnią. Nie dlatego jednak wprowadza nas autor w wiek XI. Powód znajdujemy w fantazyi autora, lubującej się w mgle średniowiecznej, w której dziwnie romantycznie i pięknie przedstawiają się rycerze, zamki, lochy podziemne i t. d. Toż nawet w „Grobie rodziny Reichsthalów" z wieku XVII-go woli nas autor prowadzić do opustoszałej wieży astrologa z trupią czaszką na stole a balsamowanym trupem w podziemiu, niż do nowego i spokojnego domu mieszczanina Egry.

Poza Joanną z Gozdawy, skreślonej według gotowego źródła, wśród innych osób zasługuje na uwagę pomocnik jej, karzeł Gonda. Jego osobista nienawiść do Joanny staje się powodem katastrofy. Obsypany przez swą panią łaskami w nagrodę za pomoc w zbrodni uczuł się bardzo dotkniętym, gdy się wyrzec ośmieliła, że wyrodek ludzkości, że jemu podobna potwora niepotrzebna na jej dworze. Przysiągł jej zemstę. „O Joanno z Gozdawy! szerokie masz dobra, liczne włości, wielkie dostatki i bogactwa w skarbcach i skrzyniach i niemałą potęgę w ręku; mury otaczają twój zamek, zbrojni go

---

[1]) Por. Gawarecki: Wieś Gozdawa w powiecie płockim. Bibl. warsz. 1852. IV.

strzegą żołnierze, a przecież musisz zginąć, bo ani dostatki, ani żołnierze, ani te mury nie potrafią cię zakryć przed zemstą Gondy, tego karła, tej poczwary, tego wyrodka ludzkości. Wyzwałaś mię do walki, będziesz ją miała, Gonda dotrzyma ci placu. Mściciela znajduje w Jordanie [1]), któremu wydaje zbrodnie swej pani. Skazany na śmierć przez Masława postępuje wprawdzie w milczeniu, a na jego twarzy malowała się straszliwa bojaźń cierpień przyszłego żywota i godnych zbrodni swojej udręczeń. Lecz była to słabość tylko chwilowa (a może niezręczność autora młodego). Pragnienie zemsty i radość na widok cierpień Joanny usuwa przestrach z jego twarzy, a „gdy już ogień przedsionki obejmować zaczął: „Ha! ha!— zawołał piekielnym głosem — jak się świetnie pani moja w płomieniach wydaje. Na szatana! płeć jej od lilii bielsza! szkoda, że ją dym okopci! krwi trochę! krwi trochę!... To były ostatnie jego słowa”. Ta jedyna postać, która obok Joanny posiada dość wybitnie odcinający się od powszedniości charakter, żyje tylko zemstą, a z tytułu możemy wnioskować, że, chociaż nie występuje w akcyi, miała być i była ważną jej sprężyną. Obok motywu zbrodni strasznej mamy motyw zemsty, który przewija się przez całą tę powieść i spokrewnia ją z innemi powieściami Krasińskiego. A co ciekawsza, to, że, podczas gdy osoby o charakterze szlachetnym nie występują dość plastycznie, postaci, zbrodniarki Joanny i karła, żyjącego zemstą, odcinają się wyrazistością przedstawienia od tamtych. W plastyce charakterów mściwych ćwiczył się Krasiński od początku swego zawodu pisarskiego.

III.

Przyczynek do genezy „Władysława Hermana”.

Po rozprawie prof. Antoniewicza o „Władysławie Hermanie” niewiele można dodać szczegółów do poznania, jakie okruchy złożyły się na powieść Krasińskiego. Wiemy, że oparł się na Naruszewicza Historyi i „Kenilworth” Walter-Skotta. Kilka uwag, które tu zrobię, niech służą do pełniejszego wykończenia obrazu.

Mimo bardzo szczegółowego korzystania z dzieła historyka polskiego przesunął Krasiński wiele faktów, zresztą prawdziwych, w je-

---

[1]) Łańcuch złoty rzuca mu Jordan. Przyjęcie łańcucha przez karła psuje jednolitość jego charakteru, lecz Krasiński przejął to ze źródła.

dną epokę, biorąc za punkt wyjścia rok 1089, jako czas tragicznego zgonu Mieczysława. Nie mówi Naruszewicz nigdzie w swem dziele, jakoby Zbigniew starszym był od Mieczysława, nie mówi nic ani wogóle o jakiemkolwiek małżeństwie Zbigniewa, ani tem więcej o tajemnem małżeństwie, nie daje najmniejszej podstawy do nazywania króla Władysława starcem. Czytamy jedynie u Naruszewicza, że Władysław Herman „był schorzały, a dla słabości zdrowia oddawna domu pilnujący", co też Krasiński niejednokrotnie podnosi. W roku 1089 nie był Zbigniew, według Naruszewicza, jeszcze uznany przez króla za syna, nie mieszkał też w Płocku i nie był nazywany księciem. W tym roku też nie prowadził Zbigniew żadnej walki z Pomorzanami. Wszystkie te drobne szczegóły, prawdziwe i u Naruszewicza podane, odnoszą się do lat po r. 1095. Krasiński przesunął je w epokę o wiele wcześniejszą zupełnie dowolnie. Jestto jedna z cech ówczesnej powieści historycznej, której już wielką było zaletą, gdy nie tylko miała osoby o nazwisku historycznem, lecz i posługiwała się zdarzeniami historycznemi, choć wbrew prawdzie złączonemi w jedność. Tak postępowali inni pisarze, za nimi poszedł i Krasiński. Wśród innych miał Krasiński i tu poprzednika, którego powagę musiał uznawać. Był to Niemcewicz.

W roku 1819 wyszła z druku tragedya Niemcewicza p. t. „Zbigniew", której bohaterem jest syn Władysława Hermana. Nie ulega chyba wątpliwości, że Krasiński dzieła Niemcewicza wogóle znał. Z tragedyi Niemcewicza „Władysław pod Warną" umieścił nawet wyjątek, jako motto drugiego rozdziału swej powieści. Otóż we wstępie do „Zbigniewa" mówi Niemcewicz to samo, cośmy przed chwilą mówili o prawdopodobnych zapatrywaniach Krasińskiego na zadanie powieści historycznej. „Oddalone tylko przez lat kilka w życiu Zbigniewa wypadki — pisze Niemcewicz — zawarłem w jednem objęciu i jednym czasie. Charakter jego niespokojny, burzliwy zdał się niepospolicie teatralnym. Od poranku życia aż do smutnego zgonu szalona żądza panowania, najazdy, zdrady, spiski, zmowy z postronnymi napełniały dni Zbigniewa". Takie zwrócenie uwagi na postać historyczną skłoniło zapewne Krasińskiego do ubrania jej w szaty hrabiego Leicestra z Kenilworthu. Wspomniałem wyżej, że źródła nic nie mówią o małżeństwie Zbigniewa. To, coby w ostateczności uszło Krasińskiemu w „Grobie rodziny Reichsthalów", nie uszłoby w powieści, tyczącej sie dziejów polskich. Wobec tego musiał Krasiński oprzeć się na powadze autora szanowanego. „Przydałem—pisze dalej Niemcewicz — żonę Zbigniewowi, tkliwą, pełną słodyczy i rozsądku, by burzliwą męża zaciętość tem mocniej

wystawić". Mając już żonę Zbigniewa, mógł Krasiński bez wielu skrupułów zrobić ją żoną, potajemnie zaślubioną, by nie oddalać się od swego wzoru. Ale i tu nawet pomógł mu Niemcewicz, który, wyliczając osoby, wymienia: „Dobrosława, żona Zbigniewa, potajemnie mu zaślubiona". Co więcej, Niemcewicz poucza nawet czytelnika, gdzie ma szukać wiadomości o Zbigniewie: „Ci, co o prawdzie przytoczonych czynów przekonać się zechcą, bez szperania w dawnych kronikarzach znajdą je w 3-im tomie historyi uczonego i niespracowanego Naruszewicza". Niemcewicz więc mógł poddać Krasińskiemu źródło, i od niego mógł przyjąć Krasiński fakt niehistoryczny tajemnego małżeństwa Zbigniewa. Nie można wprawdzie nawet spodziewać się znaczniejszego wpływu tragedyi Niemcewicza, zbyt drobnej, na obszerną powieść, i tu jednak dadzą się wykazać pewne rysy wspólne.

Zbigniew jest u Niemcewicza tak samo żądnym zemsty nad Bolesławem i tak samo go nienawidzi (str. 10), jak w powieści Mieczysława. Jedno słowo niebaczne wprawia go w uniesienie. Porównajmy np. zachowanie się tych dwu Zbigniewów w obu utworach. Gdy w liście cesarza czyta Zbigniew, że Bolesław grozi mu okowami, nagle wzmaga się chęć zemsty:

„W okowach! na myśl tę gniew mój, zemsta zapalczywa,
Głos jędz piekielnych w sercu mojem się odzywa". (l. c. 42).

Podobnież i Zbigniew Krasińskiego rzuca się na samą myśl o tem, że ktoś mógłby się starać go przestraszyć: „Przestraszyć, — zawołał książe, brwi marszcząc i rękę kładąc na pałaszu — Bóg chyba, kiedy w dzień sądu ostatniego zejdzie na chmurach pośród piorunów i burzy, zdoła mnie przestraszyć". Mimo dumy i namiętnej żądzy panowania przebija się u obu Zbigniewów pewna podatność na łagodne upomnienia. Pod wpływem perswazyi, w powieści—króla, w tragedyi—Bolesława, Zbigniew i tu i tam jest już gotów odstąpić od walki i pogodzić się z bratem. Lecz rolę Mestwina przyjmuje Gniewomir, odwodząc obaj swych panów i przyjaciół od tego zamiaru, a grają tylko na ich dumie. Gwałtownie i śmiało mówi Gniewomir, namawiając Zbigniewa do zemsty:

„Idź, niepomny na dawne zaszczyty i chlubę.
Tego, co płaszcz krolewski miał nosić na sobie,
Niech kryje włosiennica w pokornej żałobie".

Tak samo gwałtownie i z równie pomyślnym, jak Gniewomir, skutkiem, woła Mestwin do Zbigniewa: „Zrzuć już zbroję, synu

i wnuku tylu królów, zawieś oręż nad łożem rozpaczy, przywdziej suknię niewieścią".

Takież ogólne podobieństwo charakterów okazuje Dobrosława z Hanną. Obie odznaczają się cichem poddaniem się nieszczęściu, miłością dla męża i kraju. Dobrosława napomina Zbigniewa, by nie toczył bratobójczej walki z Polakami i kończy:

„Te rady daje, takie zdanie ci odkrywa
Żona. matka twych dzieci i Polka prawdziwa (l. c. 22).

Tak i Hanna, odwodząc męża od walki, mówi: „Ależ, mężu mój, oni Polacy, a ja córka Wszebora" (l. c. 70), a na innem miejscu: „Tak, wykonam obowiązek i Polki, i żony, i córki" (l. c. 207).

Rozmowa Dobrosławy ze Zbigniewem przypomina treścią scenę między Hanną z Ciechanowa a Zbigniewem:

Dobrosława:

„Ja nad wielkość związki prawe
I słodycz wolę kochania. (l. c. 23)

Zbigniew:

Nad miłość przekładam sławę,
I blask świetny panowania".

Tak Zbigniew u Krasińskiego, gdy mu Hanna wyrzuca, że zezwolił na to, by ją uważano za jego kochankę, odpowiada, że chodzi mu przedewszystkiem o pokonanie nieprzyjaciół (l. c. 71).

Wpływ tragedyi Niemcewicza ogranicza się więc na ogólnej charakterystyce Zbigniewa, Dobromira i Dobrosławy i odpowiednich osób z powieści i na przejęciu faktu tajemnego małżeństwa Zbigniewa. Rozumieć więc należy tak bieg myśli Krasińskiego. Z tragedyi zapoznał się ze Zbigniewem, jego stosunkami ogólnie, może Niemcewicz też podsunął mu myśl pogłębienia wiadomości przez przestudyowanie Naruszewicza. Stało się to w każdym razie dopiero wtedy, gdy w Kenilworcie znalazł hr. Leicestra w odpowiedniej sytuacyi i podobnie scharakteryzowanego, jak u Niemcewicza Zbigniew. W przedmowie pisze Niemcewicz, że nakłaniał innych do napisania tragedyi o Zbigniewie. Myśl ta podobała się zapewne Krasińskiemu: ponieważ tragedya już była, wziął się do pisania historycznej powieści, również bardzo tragicznej, o tymże samym Zbigniewie.

IV.

Pierwsze ślady wpływu Byrona na Krasińskiego.

Meteor, który jasno, lecz krótko świecąc, zabłysnął na horyzoncie literackim Europy na początku XIX wieku, olśnił swym promieniem i koryfeuszów naszej literatury. Byronizm — to cecha, którą prawie z góry ujrzeć się spodziewamy w każdym utworze z przed roku 1830, o ile do nowej już należy szkoły. Tem dziwniejsza, że u Krasińskiego wpływu tego w pierwszych jego pracach literackich nie dojrzysz: zapalony wielbiciel i naśladowca Walter-Skotta o nim tylko rozprawiał z młodymi towarzyszami dyskusyi literackich, jego tylko naśladować się starał. Pod tym wpływem powstały powieści historyczne Krasińskiego „Wilczki", „Grób rodziny Reichsthalów", „Władysław Herman", „Mściwy karzeł". Wrażliwy jednak charakter Krasińskiego nie mógł nie odczuć piękności pióra Byrona, zwłaszcza, gdy w duszy jego już nastała odpowiednia pora do przyjęcia pesymizmu. Wypadek w uniwersytecie, wyjazd na obczyznę wśród takich stosunków musiał bez wątpienia zostawić w duszy poety nasiona goryczy i zrobić ją podatniejszą dla wpływu pism Byrona. Dodajmy do tego nowe otoczenie w Genewie, literatów z zawodu, dyskusye literackie w salonach, w których literatura wcale nie była obcą, a utworzy się środowisko, w którem zrozumiały jest wpływ poety angielskiego. Z tego, cośmy powiedzieli, nie wynika jednak, by Krasiński Byrona zupełnie nie znał przed wyjazdem zagranicę. Owszem, mamy we „Władysławie Hermanie" cytatę „Snu" Byrona w tłómaczeniu Mickiewicza. (Rozdział XXVI). Przypuszczać więc należy, że tu główny wpływ wywarło imię Mickiewicza, z którego tyle cytat mamy porozrzucanych po pierwszych powieściach Krasińskiego. Widoczny wpływ Byrona daje się spostrzedz na małym, lecz ciekawym dla charakterystyki autora utworze, który się ukazał w „Pamiętniku dla płci pięknej" z r. 1830, w zeszycie z 15 czerwca p. t.: „On, ułamek z pamiętników życia młodzieńca". Już gdzieindziej udowodniłem [1]), że autorem tego utworu jest Krasiński; tu starać się będę wykazać, że „On" powstał przeważnie pod wpływem lektury Byrona i to przedewszystkiem dwu jego utworów. Pierwszym jest „Sen".

---

[1]) Zygmunt Krasiński jako współpracownik „Pamiętnika dla płci pięknej". Lwów 1894.

Już zewnętrzna strona obu utworów jest podobna, mianowicie co do sposobu rozdzielania rozdziałów od siebie. U obu poetów powtarza się zdanie, kończące jedną, a zaczynające drugą zmianę snu. U Krasińskiego brzmi ono: „Właśnie w tej chwili nowa nastąpiła zmiana“, poczem następuje opis coraz innej części życia młodzieńca, przy końcu „Żadnej już zmiany nie było“. Byron zaś mówi (w tłóm. Mickiewicza): „Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia“, a wreszcie: „Nie ma więcej zmian w scenach mojego marzenia”.

Co do sposobu ujęcia tematu, zauważyć należy, że obaj autorowie korzystają ze snu, by przedstawić życie młodzieńca. U Krasińskiego widzimy przeszłość śnioną, Byron sam opowiada nam, jak w widzeniu sennem widział całe życie młodzieńca i dziewicy. Tak więc w zmianie trzeciej u Krasińskiego widzimy młodzieńca wśród pięknej okolicy, gdzie „niebo uśmiechało się do ziemi, i kwiecia i łąki uśmiechem za uśmiech odpłaciły... I on był wśród tych wszystkich piękności, l·cz już nie sam — na jego ramieniu opierała się dziewica i oboje wchodzili na górę i za każdym krokiem w nową krzepił się, dotąd nieznaną siłę, i im bliżej dochodził wierzchołka, tem bliżej mniemał się nieba, bo ona szła z nim razem, bo w jej oczach czerpał strumienie wielkości i uniesienia“.

Od tego też zaczyna Byron swoje opowiadanie:

„Widziałem w kwiecie wieku młodych ludzi dwoje,
Chłopca i dziewkę: stali na wzgórku oboje,
A wzgórek był zielony, pochyłej urody,
Niby jaki przylądek; tylko zamiast wody
Wkoło żywy krajobraz i powiewna fala
Kłosów i sianożęci .....
W obojgu rzeźka młodość. w niej piękność rozkwita,
W obojgu młodość, ale młodość rozmaita;
Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad lata
Serce jego. Wzrok jego w całym kręgu świata
Jedynie tylko widział ukochane lice
I widział je przed sobą: w niem utkwił źrenice,
I nie mógł ich oderwać; nie było w nim ducha,
Ona była mu głosem, — on swych oczu nie ma,
Ona mu była okiem, bo ścigał oczyma
Jej spojrzenia i wszystkie ogląda przedmioty
W świetle, od niej odbitem: on nie ma istoty,
Nie ma życia; w nią przelał całe życie swoje,
W niej, jako w Oceanie, wszystkie myśli zdroje
Pogrążył....

Tu się drogi obu poetów pozornie rozchodzą. Młodzieniec Byrona czuje się nieszczęśliwym, bo nie jest kochany, a ulubiona jego

wychodzi za innego; Krasińskiego „On“ wpada w rozpacz, bo pani jego myśli rozłącza się z nim — z jakiego powodu, tego autor nie podaje. Że tu Krasiński odstąpił od swego wzoru, tłómaczy nam to, że w ułomku tym działała i fantazya i rzeczywistość. Wydaje się bowiem bardzo prawdopodobnem przypuszczenie, że Krasiński chciał przedstawić swoją rozpacz po odjeździe miss Harry, z którą się poznał w Genewie. Byron więc, jako autor tylko, występujący, przedstawia boleść młodzieńca w kilku fazach, Krasiński, który sam czuł to, co pisał, nie mógł rozwlekle swego stanu przedstawić, wolał rozpacz młodzieńca w jednej przedstawić zmianie, lecz za to nagromadzić tu tyle efektownych obrazów, by ta jedna zmiana wystarczyła. To, co Byron, jako widz, z pewnym filozoficznym opowiada spokojem, ubiera Krasiński w barwy namiętne i jaskrawe, dodaje od siebie wiele rysów, by ten straszny ból młodzieńca tem straszniejszym się wydał Korzystając z kilku delikatnych wzmianek Byrona, stara się fantazyę czytelnika przerazić widokiem obrazów okropnych, które przecież nie mogły wzruszyć nieszczęściem znieczulonego umysłu młodzieńca: „Dziwne, pomieszane i tłumne kształty przesuwały się przed jego wzrokiem... wśród miast i pustyń, wśród wesołych zabaw i smętnych okolic, wszędzie nosił z sobą własne nieszczęście... Zimnem patrzał okiem na zgon cudzych nadziei, bo już sam przyzwyczaił się żadnej nie mieć na ziemi. Wdzierał się na skały—przebywał spiekłe pustynie, żmijom zostawione w podziale, gdzie promienie słońca członki jego paliły, i krew, z ran ciekącą wysuszały w powietrzu, nim spadła na piaski... a wszędzie, wszędzie szła za nim rozpacz... i jedną myślą zajęty z wszystkiemi innemi rozbrat uczynił i, jeśli działał, to działał bez chęci, bez rozumu, bez namiętności.

A u Byrona:

Chłopiec dorósł młodzieńca. W obce pokolenia.
W dalekie zbłądził kraje i pod wschodniem słońcem
Poił duszę płomieniem. On wiecznym był gońcem
Na lądzie i na morzu. Dokoła postaci
Podobne jemu krążą — przyjaciół czy braci?...
Tu mnóstwo scen okropnych snuło się odrazu,
I ów chłopiec był cząstką każdego obrazu.
Ujrzałem go nakoniec. Dziwacznie przebrany,
Gdzieś daleko, w obozie wschodniej karawany,
Śród połamanych kolumn, na gruzie pomników,
Co przeżyły imiona swoich budowników,
Leżał.

Korzystał także Krasiński z innej „zmiany“ Byrona:

Młodzieniec był pielgrzymem, jak widać z odzienia.
Kształty, przy nim krążące, znikły z senną marą

Lub wojnę z nim toczyły. On stał się ofiarą
Nienawiści swych wrogów; zewsząd zguby blizki
Postrzega sidła zdrady lub zemsty pociski.
Stoły jego zgryzota, jak harpia, plami,
On, jak dawny Mitrydat, karmił się jadami;
A trucizna nie była szkodliwą dla niego
I służyła mu nakształt chleba powszedniego.
Co innym śmiercią było, tem życie przewlekał,
Zbrzydził społeczność ludzką, w pustynie uciekał,
Żył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata,
Wdał się w rozmowę z wielkim geniuszem świata.
Wzbogaconemu nauk czarodziejskich zbiorem
Tajemna księga nocy stanęła otworem;
Jego klątwą wyzwane z głębokości ziemi
Duchy go otoczyły — i został się z nimi.

Byron wypełnił więc znaczną część tej młodzieńczej autobiografii, dodał wiele palnego materyału do wzburzonego odjazdem Henryety serca Krasińskiego. To, co Krasiński czuł, mogło być zapewne bolesnem dla niego, mogło nim wstrząsnąć do głębi i obezwładnić zdolności jego myślenia w innym kierunku na pewien czas; że jednak ten sen młodzieńca jest trochę za jaskrawy swym kolorytem beznadziejności, to pewna, jak jasnem, że część jej należy odnieść do snu Byrona. Ale część tylko. Już wyżej wspomniałem, że pewne „zmiany“ utworu Krasińskiego, że wstęp i zakończenie nie noszą na sobie cech Snu Byrona, który wypełnia środek; zresztą Sen Byrona jest pisany w tonie, o wiele spokojniejszym. Niema u Byrona tej rozpaczy i zwątpienia, niema tylu jaskrawych barw w sposobie obrazowania i niema chęci sztucznego draźnienia fantazyi czytelnika. Byron we śnie, co zresztą u niego jest dość rzadkie, podaje czytelnikowi materyał do myślenia, obrobiony literacko i wycieniowany, ale podaje to dość spokojnie jakby mówił: Gdy ci poruszy fantazyę, czytelniku, to, co ci dałem, będziesz miał pełny obraz nieszczęść miłosnych, jeśli nie, to i to, co przeczytasz gotowego, wystarczy, byś to nieszczęście w jego różnych fazach odczuł. Krasiński tu zrobił przeciwnie, może dlatego, że się w pewnej części identyfikował z tym młodzieńcem. Nie dość, że przejął od Byrona wiele rysów do skreślenia bólu młodzieńca, nie dość, że go posyła, jak Byron, na spiekłe pustynie, i każe, jak tamten, nieczułym być na wszystko; dodał jeszcze tyle barw jaskrawych, a we wstępie tak go scharakteryzował, że jego młodzieniec stał się podobnym do typu ogólno-byronowskich postaci. Weźmy np. jego dumę i dumne oczy, całkiem niepodobne do gniewem płonących oczu Allana Reichsthala,

czy Wilczka, czy Zbigniewa lub innych znanych dotychczasowych osób. Tamci są dumni przedewszystkiem w stosunku do ludzi, ten nie boi się natury. Ten zwrot zawdzięcza Krasiński Byronowi, a przedewszystkiem jednemu z najpiękniejszych jego dramatów, Manfredowi. W czasie pobytu swego w Szwajcaryi poznał Krasiński dzieła Byrona, a mianowicie Manfreda dokładnie. Towarzysz jego wycieczki w góry, Odyniec, opowiada w swych listach w podróży (IV, 324), że Krasiński deklamował zaklęcia z Manfreda. Dowód to jasny, że dramat ten wrył się w jego pamięć.

Młodzieniec Krasińskiego od chwili, gdy miał pewność, że nie ujrzy swej kochanki, stracił spokój duszy. To samo stało się z Manfredem po śmierci Astarty. Jak Krasińskiego dziewica była dlań wszystkiem, bo „w jej oczach czerpał strumienie wielkości i uniesienia, bo czuł, że serce, bijące w blizkich piersiach, na wieki z nim się połączy łańcuchem, którego każde ogniwo niebieską będzie myślą i wzniosłą nadzieją“, tak i Manfred dlatego tak cierpiał po stracie Astarty, że

„Równie, jak ja, lubiła samotne dumania,
Pielgrzymki i zgłębiania tajemniczych nauk
I, jak ja, miała duszę, zdolną świat ten pojąć. (II. 2.)

Po odjeździe dziewicy rozpacz ogarnęła młodzieńca. „Wszędzie, wszędzie szła za nim rozpacz, w domu siadała przy rodzinnem ognisku, w nocy krępując się u łoża, zarzucała na sny jego łańcuchy i w dzień towarzyszką nieodstępną mu była.“ Tak samo mówi o sobie Manfred:

Od owej godziny —
Ale słowa są wiatrem — patrz na mnie w śnie moim
Lub czuwaj z czuwającym. Pójdź i zostań przy mnie.
Samotność samotnością dla mnie być przestała,
Jędze ją zaludniły. Zgrzytałem zębami
Przez całą noc od rana. Przeklinałem ciebie
Aż do słońca zachodu. (I. II. 2.)

Krasińskiego młodzieniec nic nie zawinił wobec swej miłej. O niczem więcej nie słyszymy, coby mówiło o jakiejkolwiek winie jego. Niezrozumiałem więc jest dla nas, dlaczego owładnęła nim boleść, „która, podobna do wyrzutów sumienia, na zawsze w sercu jego zasiadła i w żelazne ujęła okowy.“ Zrozumiemy jednak ten zwrot niejasny, gdy zajrzymy do dramatu Byrona. Tam Manfred winnym był śmierci Astarty, zabił ją bowiem swą miłością. W śpie-

wie też ducha siódmego, który się ukazał pod postacią pięknej kobiety (I. 1.), czytamy groźby jej:

„Okropne słowa tajemniczej siły
Straszną, wieczystą, klątwą cię ochrzciły;
Jest duch w powietrzu, co cię pęty swemi
Ujął, usidlił i skrępował niemi:
Będziesz głos słyszał w pośród wiatrów życia
Który ci zmiesza wszelką rozkosz życia,
Noc na to swoim cieniem cię pokryje,
By w piersiach twoich jątrzyć zgryzot żmiję,
A dzień ci będzie wydawał się wieczny
Tak cię zdręczy blask słoneczny.

Jak na młodzieńcu perzyny miast, klęski ludzkości nie zrobiły żadnego wrażenia, bo stał się już nieczułym na wszystko, tak i Manfred mówi o sobie:

Wrzałem nienawiścią,
Żaden wróg mię nie przemógł, wielu z nich poległo,
Lecz i to nadaremnie. Dobre lub złe — życie
Potęga — namiętności, wszystko to, com w innych
Widział, było tem dla mnie, czem jest deszcz dla piasku
Od owej bezimiennej chwili. (I. 1.)

Młodzieniec, „okiem rozpaczy, okiem, w którem nadzieja żadnego nie miała ołtarza, spozierał na fale, coraz bardziej z wichrem bój toczące, i czuł jakąś radość, bo już spodziewał się, że już nadchodzi zaguba i że przynajmniej w trumnie z morskich bałwanów odzyska spokojność i ciszę, dawno straconą na ziemi“. Nie inaczej Byron przedstawia Manfreda:

„Nie znam trwogi,
Czuję klątwę nieznania człowieczej bojaźni,
Ni tych silnych uderzeń serca za nadzieją,
Życzeniem lub miłością czegoś bądź na ziemi“.

Jak młodzieniec rzucił się w bałwany wody, by tam znaleźć śmierć, lecz jezioro się uspokoiło, nie chcąc go przyjąć w swe fale, tak i Manfred szukał nieraz śmierci.

Szukałem wszędzie śmierci—lecz w szturmie żywiołów
Wody się, jak zaklęte, cofały odemnie,
Co mi śmierć przynieść miało, minęło bez śladu. (II. 2.)

Przed samą śmiercią młodzieńca umysł jego uspokoił się, I Manfred w monologu III. 1. przed śmiercią mówi:

„Jakiż pokój w mej duszy! Niepojęta cisza!
Nigdy podobnej jeszcze nie doznałem w życiu
. . . . dobrze choć raz w życiu takiej doznać ciszy:
O jedno czucie moją rozszerzyła duszę.

Śmierć kończy cierpienia obu; śmierć u obu nienaturalna. Manfreda duszę porywa duch, młodzieńca statek pogrąża się w jeziorze mimo ciszy i spokoju w naturze. Przed śmiercią młodzieniec błagał Stwórcę, by mu umrzeć dozwolił przed zachodem słońca; podobnie Manfred kazał słudze swemu przyjść do siebie przed słońca zachodem, (III. 2.) aby słońce pożegnać. I Krasiński i Byron kładą też w usta swych bohaterów pożegnanie słońca, pełne uczucia i wzniosłych słów.

Dodajmy do tych dwu źródeł byronowskich trzecie, mianowicie wypadki rzeczywiste, otrzymamy wszystkie części, z których składa się utwór Krasińskiego. Rrzeczywistość ma tu może najmniejsze znaczenie. Byron dał autorowi wszystkie rysy, z których ten obficie czerpał. Dla charakterystyki działalności pisarskiej wpływ Byrona jest ważny, bo odgranicza utwory, pozostające pod wpływem W. Skotta od późniejszych dzieł Krasińskiego. W utworach młodzieńczych przeważa żywioł romantyczno-rycerski, opisowy, w następnych—żywioł refleksyjny, filozoficzny. W poprzednich powieściach historycznych czynyśmy widzieli skreślone piórem jeszcze nieudolnem, choć silącem się nieraz na barwne oddanie chwili, teraz idee, myśli zajmują pisarza. Nie spodziewać się jeszcze po próbach jego w tym kierunku tej biegłości w oddaniu psychicznego stanu człowieka, jaką spotykamy w „Nieboskiej" lub „Irydyonie", nie znać cieniowania delikatnego, jak np. w charakterystyce Hrabiego, jeszcze pociągnięcia są grube, bez linii okrągłych, ale i te już wskazują, że z tych prób powstać mogą dzieła, zadziwiające głębokością myśli. Jak w poprzednim okresie od bardzo słabych prób w „Grobie rodziny Reichsthalów" widzimy wielki postęp we „Władysławie Hermanie", tak i w tych postęp od prób, umieszczanych w „Pamiętniku dla płci pięknej", do „Nieboskiej" jest olbrzymi. Dla tego postępu okres szwajcarski, gdzie się Krasiński poznał z Byronem, jest wagi bardzo wielkiej. Byron prócz innych zapewne autorów zapłodnił jego umysł myślami filozoficznemi, Byron też może stał się powodem, że w dziełach późniejszych jego dramatycznych więcej „idee się ruszają, niż ludzie".

Maryan Reiter.

BRAK PRACY

w świetle nauki i faktów społeczno-ekonomicznych *).

Jedną z najbardziej żywotnych i palących kwestyi społeczno-ekonomicznych na Zachodzie, a niezawodnie najbardziej zawiłą jest

---

*) W powyższej pracy posiłkowano się następującą literaturą:

John Schikowski, Ueber Arbeitslosigkeit und Arbeitslosenstatistik. Leipzig, 1894; Zur Methode der Arbeitslosenstatistik, Leipzig, 1895.

Zeitschrift für die gesammte Staatswissenschaft, Jahrg. 51: *Frhr. O. von Boenigk*, Die Versicherung gegen die Arbeitslosigkeit.

Georg Schanz, Zur Frage der Arbeitslosen-Versicherung, Bamberg, 1895; Neue Beiträge zur Frage der Arbeitslosen-Versicherung, Berlin, 1897.

Lujo Brentano, Die Arbeitergilden der Gegenwart, Leipzig 1871 — 1872; Über die Ursachen der heutigen socialen Nat., Leipzig, 1889.

Documents sur la question du chômage. Office du travail (Ministère du commerce, de l'industrie...), Paris. 1896.

Second and Third annual Report of the Labour Department of the Board of trade, London, 1895, 1896.

The Labour Gazette (The Journal of the Labour Department). London.

Bulletin de l'Office du Travail (Ministère du commerce...), Paris.

Archiv für Sociale Gesetzgebung und Statistik, Bd. I, 43 ff.; IV, 563 ff.; IX, 79 ff.

Geoffrey Drage, The Unemployed, London, 1894.

Arbeitslosigkeit und Arbeitsvermittelung in Industrie—und Handelsstädten (Schriften des Freien Deutschen Hochstiftes), Berlin, 1894.

zagadnienie mimowolnego bezrobocia [1]). Niektórzy z niemieckich polityków społecznych nie cofają się przed nadaniem kwestyi bez-

---

Socialpolitisches Centralblatt.

Sociale Praxis.

W. Jutzi, Die Arbeitslosigkeit und ihre Bekämpfung, Darmstadt, 1895,

Economiste français, 1889.

Statistisches Jahrbuch der Stadt Berlin, Jahrg. XIX, XXI.

Hector Denis, La dépression économique et sociale et l'histoire des prix, Bruxelles, 1895.

Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik, III Folge, XI Bd., 3 Heft.

Arthur Curti, Bericht uud Gutachten an das h. Schweizer. Industriedepartement betreffend Arbeitslosigkeit und Arbeitsnachweis, Zürich, 1896.

Zeitschrift des Königl. Preussischen Statistischen Bureaus, Jahrg. 1896.

Vierteljahrshefte zur Statistik des Deutschen Reichs.

Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft, Jahrg. XIX, 633; XX, 189.

Th. Frhr. von der Golz, Die ländliche Arbeiterklasse und der preussische Staat, Jena, 1893.

Hermann Losch, Nationale Produktion und nationale Berufsgliederung, Leipzig, 1892.

Georg Adler, Über die Aufgaben des Staates angesichts der Arbeitslosigkeit, Tübingen, 1894.

Handwörterbuch der Staatswissenschaften (*Conrad...*).

Max Schippel, Das moderne Elend und die moderne Übervölkerung, Leipzig, 1883.

Karl Marx, Das Kapital, 4 Aufl. Hamburg, 1890.

Julius Wolf, Socialismus uud kapitalische Gesellschaftsordnung, Stuttgart, 1892.

H. Herkner, Die sociale Reform, als Gebot des wirtschaftlichen Fortschrittes, Leipzig, 1891; Die Arbeiterfrage, Berlin, 1894.

Eugen Schwiedland, Kleingewerbe und Hausindustrie in Österreich, Leipzig, 1894.

Adolf Wagner, Grundlegung der politischen Ökonomie, 1892.

Henry George, Sociale Probleme, Berlin, 1885.

Allgemeines statistisches Archiv, Jahrg. 1890.

Statistische Monatsschrift, Jahrg. 1893.

Karl Bücher, Die Entstehung der Volkswirtschaft, 1893.

Drucksachen der Kommission für Arbeiterstatistik, Erhebungen № VI (Kellner), Berlin, 1894.

Gustav Maier, Der Kampf um Arbeit, 1896.

Report on Agencies and Methods for dealing with the Unemployed, London, 1893.

Schriften des Vereins für Socialpolitik, Bd. 61.

Ludwig Gall, Was könnte helfen? Trier, 1825.

[1]) By z góry zapobiedz nieporozumieniom, zaznaczamy, że słowa „bezrobocie" użyto w niniejszej pracy jednoznacznie z *die Arbeitslosigkeit*, *le chômage*, nie zaś, jak to się u nas często dzieje, w znaczeniu: zmowy robotniczej, strejku.

robocia miana: „*die sociale Frage*". Nie schodzi ona już z programów zebrań ludowych i obrad parlamentów, bije z ksiąg i łamów prasy, zaprząta w mniejszym lub większym stopniu ludzi prywatnych i organy państwowe, uczonych i laików, ba, zradza specyalne kongresy! Wszędzie, gdzie nowoczesna gospodarka dzierży berło, sprawa braku zajęcia domaga się rozwiązania, tak w opancerzonych cłami Stanach Zjednoczonych, jak w opoce wolnego handlu—Anglii, zarówno w republikańskiej Francyi, jak i monarchicznych Niemczech, tak w krajach, stojących na względnie nizkim szczeblu rozwoju ekonomicznego, jak i znajdujących się w pełni rozkwitu.

Czemu przypisać tę okoliczność, ze całe zastępy ludzi, ożywionych szczeremi chęciami i zdolnych do zarobkowania, nie mogą wynająć swej siły roboczej na rynku pracy? Czy klęska ta jest jedynie zjawiskiem sporadycznem, towarzyszącem innym wypadkom, i z nimi znika, jak z nimi przyszła? Tak twierdzą jedni. Czy też jest stałą plagą życia dla klasy robotniczej Zachodu i wypływa z istoty ustroju ekonomiczno-społecznego, jak twierdzą inni? Jednem słowem, czy mimowolne bezrobocie jest normalną fizyologiczną funkcyą obecnego ustroju, czy też tylko patologicznym przejawem?

Zanim przystąpimy do rozpatrzenia powyższych pytań, wprowadzających w samo sedno zagadnienia, należy, popierwsze, wyświetlić, kogo uważać za bezrobotnego (*arbeitslos*), następnie zbadać rozmiary bezrobocia. Wszak i dzisiaj jeszcze można usłyszeć zdanie, że każdy, kto chce, znajdzie sobie zajęcie, a tak zwane bezrobocie bywa płaszczykiem próżniaków, żebraków i podobnych pasorzytów, żyjących kosztem społeczeństwa. Czy więc ów zastęp rąk, skazanych na bezczynność, czy owe głosy: *panem et laborem!* nie są przesadą, bańką li tylko, wzdętą przez demagogicznych szalbierzy do rozmiarów, rażąco odskakujących od rzeczywistości?

I.

Odpowiedź na pytanie: kogo zaliczać do bezrobotnych? nie tak jest łatwa, jak może się wydać na pierwszy rzut oka. O pojęcie bezrobotnego kruszyło już kopie niemało zapaśników, bynajmniej nie przypominających doktorów średniowiecznej scholastyki. Nie-

ustalenie dotychczas tego pojęcia wypływa mianowicie z chwiejnej natury samego przedmiotu, ujawniającej się najjaskrawiej przy przejściu na pole działalności praktycznej: wiele prób przeciwdziałania lub zaradzenia klęsce rozbija się właśnie o trudność odgraniczenia grupy bezrobotnych. W istocie, czyż mamy zaliczyć do nich wyrostka lub nieudolnego starca w równym stopniu, jak robotnika w pełni sił, o ile tak jeden, jak i drugi, nie mają zajęcia? Czy należą do grupy bezrobotnych chorzy, rekonwalescenci, kalecy, żebracy, włóczęgi oraz rój pasorzytów z różnych sfer społeczeństwa? Czyż możemy postawić tu obok zwykłego najemnika bez zajęcia lekarza, napróżno wyczekującego pacyenta, urzędnika bez posady, strejkującego robotnika albo takiego, który niedawno dopiero przywędrował do danego miasta w poszukiwaniu pracy, robotnika sezonowego podczas martwego sezonu i t. d., i t. d.?

Sama mowa potoczna nie pozwala bez różnicy nadawać miana bezrobotnych całej powyższej galeryi. Przez bezrobotnych w jak najszerszem pojęciu słowa rozumiemy zwykle ludzi, którzy poszukują zajęcia, a nie mogą go znaleźć, w odróżnieniu od niepracujących, — bądź to w skutek niechęci (rentyerzy, włóczęgi i t. p.), bądź z braku niezbędnych fizycznych i umysłowych warunków, by módz przyjąć udział w pracy społecznej (dzieci, starcy, kalecy i t. p.). Znajomość liczby wszystkich tych, którzy jedynie przez niezależne od siebie warunki, przez „społeczną niezdatność do pracy" (wyrażenie Wilhelma Roschera) skazani są każdorazowo na bezczynność, byłaby nader ważną zdobyczą dla nauki, nowym przyczynkiem do odsłonięcia spółczesnej budowy społecznej. Atoli, traktując bezrobocie, jako kartę z księgi zawiłej kwestyi robotniczej, polityka społeczna zacieśnia koło bezrobotnych i pozostawia w jego obręczy jedynie tych, u których w parze z bezrobociem kroczy brak środków do życia, zatem, ogólnie mówiąc, bezrobotnych, należących do klasy najmitów. Tak daleko posuwają się zazwyczaj politycy społeczni, rozbierając nasze zagadnienie. Wychodząc jednak z dopiero co wzmiankowanego założenia, należy, mniemamy, iść konsenkwentnie po obranej drodze i uznać za bezrobotnego każdego najmitę, jak powyżej, który nie może znaleźć odpowiedniej jego uzdolnieniu pracy. Bo i cóż pomoże murarzowi bez zajęcia, że w fabryce zegarów wakują miejsca? Możnaby wprawdzie zarzucić, że bezrobocie w ostatnim wypadku jest nader względne, analogicznie do lokalnego bezrobocia wobec braku robotnika tegoż zawodu w innych miejscowościach, że idzie raczej o nieodpowiednie ugrupowanie zawodowe klasy robotniczej, które prę-

dzej czy później unormują same prawa rynku pracy. Dopływ rąk do przepełnionych zawodów zwolni biegu i skieruje część swych fal w niepełne koryto innych działów pracy. Lecz lokalnemu bezrobociu łatwo zapobiedz przez wskazanie miejscowości poszukujących właśnie robotników tej samej gałęzi; tymczasem w drugim wypadku sprawa się wikła. Nagła zmiana zawodu często nie daje się uskutecznić, wymagając przygotowania, rutyny, specyalnego uzdolnienia lub siły; tu mowy być nie może o doraźnem normowaniu liczby robotnika. Dokonywa się ono drogą powolnego procesu, przytem bywa zakłócane przez zmienne warunki produkcyi oraz zbytu. Że niemożność znalezienia pracy, odpowiedniej uzdolnieniu szukającego, jest rdzenną cechą bezrobocia, przebija się np. ze statutów wielu miejskich kas ubezpieczenia od bezrobocia i biur pośredniczenia w pracy: jest w nich mowa o udzielaniu zapomogi na wypadek bezrobocia, o ile „dana instytucya nie nastręczy „odpowiedniego" („*passend*") zajęcia". Francuski Departament pracy w swej definicyi bezrobocia wyraźnie kładzie nacisk na to pojęcie [1]).

Doszliśmy zatem do następującego określenia bezrobotnego w ścisłem pojęciu słowa: b e z r o b o t n y j e s t t o n a j m i t a, c h ę t n y i z d o l n y d o p r a c y, k t ó r y n i e m o ż e z n a l e ź ć o d p o w i e d n i e g o s w y m k w a l i f i k a c y o m z a j ę c i a. Posiłkując się powyższem kryteryum, możemy wyodrębnić grupę bezrobotnych — ideologicznie, życie realne nie daje ująć się w szemat: w przędzy jego zjawisk pasma zachodzą jedne na drugie i giną dla oka ludzkiego. Czyż posiadamy praktyczną skalę wieku lub warunków fizycznych i umysłowych dla bezrobotnego? Czy daje się ściśle odgraniczyć najmita w subtelnej hierarchii pracy?

Z pośród bezrobotnych w ścisłem pojęciu słowa — o takich jedynie będzie mowa poniżej — na szczególną uwagę zasługują strejkujący oraz robotnicy sezonowi. Pierwszych przeważnie wykluczają z grupy bezrobotnych, motywując ten w życiu praktycznem bogaty w następstwa wyrok (np. przy ubezpieczeniach) twierdzeniem, że wszak podczas zmowy robotnicy mogą pracować, jeśli zechcą, że ogólna podaż i popyt na siły robocze nie uległy zmianie. Ani słowa! Nie zapominajmy tylko, iż możność pracy bywa tu często złudną. W pewnej liczbie wypadków motywem zmowy jest samoobro-

---

[1]) „On peut définir le chômage professionnel, qu'elles qu'en soient les causes, la situation de l'ouvrier qui, vivant habituellement de son travail dans une certaine profession, se trouve actuellement sans travail *dans sa profession*". (*Documents sur la question du chômage*. Office du travaill, Paris, 1896).

na, odrzucenie mających uledz zmianie warunków najmu, na jakich zatrudnieni nie zawarliby od samego początku umowy. Takich strejkujących możemy śmiało zaliczyć do bezrobotnych, podobnie jak w wypadku zawieszenia pracy (*lock out*), jednego ze środków, polegającego na zamknięciu fabryki na pewien czas przez samego przedsiębiorcę. Oczywiście, ten, a nie inny punkt wyjścia skłonił kilka białych kruków z dość pokaźnej już liczby municypalnych biur pośredniczenia w pracy do zamieszczenia w statutach osławionego „*Streikparagraph'u*"; głosi on, iż w razie wybuchnięcia zmowy lub zawieszenia pracy obie strony sporne winne przedstawić sprawę na rozstrzygnięcie sądu zawodowego i że biuro zawiesza swą działalność na niekorzyść strony, uchylającej się od wyroku.

Jeszcze mniej można przystać na wyłączenie z grupy bezrobotnych najmitów sezonowych w czasie martwego sezonu. Niezaprzeczenie wyższa płaca w wielu zawodach stanowi do pewnego stopnia równoważnik ograniczenia zajęcia do pewnego tylko okresu w roku. Lecz z drugiej strony w licznych gałęziach (np. w budowlanej dla wyrobników, w konfekcyi i in.) zarobek jest często nikły, zaś sezon martwy długi, i robotnikowi, nie mającemu w tym czasie pobocznego zajęcia, wreszcie braknie odłożonych groszy.

Robotnik podczas przypływu pracy spogląda w przyszłość różowo, liczy na krótsze bezrobocie, niż ma ono następnie miejsce w istocie, i nie ujmuje zawczasu swych potrzeb w karby tak dalece, by wyżyć przez cały okres bezczynności. Często niema co w karby ujmować, gdyż nawet w sezonie pracy starczy zaledwie na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb życia. Minęły czasy królowej angielskiej Elżbiety, kiedy sędziowie pokoju i magistraty normowały płacę w ten sposób, by „najmita miał dość na czas dostatku i niedostatku".

II.

Już powyższy zarys wykazuje, jak trudno w praktyce rozstrzygnąć, czy poszczególne jednostki należy podciągnąć pod rubrykę bezrobotnych w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Gdy dodamy, że w dotychczasowych próbach bądź śledzenia, bądź jednorazowe-

go uchwycenia rozmiarów bezrobocia brak jedności, zgodnych założeń, wspólnej metody zbierania i opracowywania materyałów, a niekiedy niezbędnej przedmiotowości, — należy przyjąć, że cyfry, podane niżej, posiadają tylko przybliżoną, niekiedy nawet wprost wątpliwą wartość. W jednym spisie znajdujemy strejkujących pośród bezrobotnych, w innym nie; to samo dzieje się względem najmitów sezonowych, nawet chorych: jeden podaje nam procent bezrobotnych, inny — stan bezrobocia (stosunek czasu bezrobocia do czasu zajęcia w ciągu roku ogółu robotników, jaki miałby miejsce w danym zawodzie przy normalnych warunkach) itd. W braku jednak lepszych danych musimy się niemi posiłkować; młoda statystyka bezrobocia nie wyszła jeszcze z okresu niemowlęctwa.

Najwybitniejsze miejsce w dziedzinie statystyki bezrobocia, a nawet, śmiało rzec można, prawie jedyne zasługujące na baczniejszą uwagę, zajmowała aż po ostatnie czasy Anglia. Dopiero odnośne próby, podjęte w ostatniem dziesięcioleciu w Niemczech, ograniczyły dotychczasową wyłączność Wielkiej Brytanii. Kolebką statystyki bezrobocia w Anglii są: *trade union*'y, jej poczęciem—wciągnięcie w zakres działalności wspierania członków bez zajęcia. Procent ostatnich daje się w wielu związkach uchwycić aż po szóste dziesięciolecie 19 wieku np. w *Amalgamated society of engineers* (najwyższy stan wynosił w 1879 roku 13,3% ogólnej liczby członków, najniższy w 1872 roku 0,9%) i in [1]). Założony w r. 1886 Departament pracy w angielskiem ministeryum handlu (*Labour Department of Board of Trade*), dzięki oględnej taktyce, stał się w krótkim czasie ośrodkiem angielskiej statystyki pracy wogóle, a *trade union*'ów w szczególe. Dopięciu powyższego celu sprzyjało większe zaufanie w Anglii, niż na kontynencie, jakiem się cieszą spisy, wywiady i podobne przedsięwzięcia rządu zarówno ze strony fabrykantów, jak i robotników. W ten sposób organ departamentu pracy, „*The Labour Gazette*”, jest w możności informować też o stanie bezrobocia i podaje od roku 1887 co miesiąc stosunek przeciętnej liczby wspieranych bezrobotnych w około stu *trade union*'ach do ogólnej liczby ich członków w poszczególnych miesiącach. Procent bezrobotnych wynosił według zestawienia danych, nadsyłanych do departamentu przez związki zawodowe [2]).

---

[1]) Dalsze dane u G. Schanz— *Zur Frage der Arbeitslosen-Versicherung*, Bamberg, 1895.

[2]) *Third annual Report of the Labour Department of the Board of Trade* (1895 1896), p. 67.

W końcu miesiąca	1887	1888	1889	1890	1891	1892	1893	1894	1895	1896
Stycznia	10.3	7.8	3.1	1.4	3.4	5.0	10.0	7.0	8.2	4.5
Lutego	8.5	7.0	2.8	1.4	2.6	5.7	9.5	6.3	7.9	3.8
Marca	7.7	5.7	2.2	1.7	2.8	5.7	8.7	6.5	6.5	3.5
Kwietnia	6.8	5.2	2.0	2.0	2.7	5.4	6.9	6.1	6.5	3.2
Maja	8.5	4.8	2.0	2.0	3.0	5.9	6.2	6.3	6.0	3.3
Czerwca	8.0	4.6	1.8	1.9	2.9	5.2	5.8	6.3	5.6	3.2
Lipca	8.5	3.9	1.7	2.3	3.3	5.0	6.2	7.4	5.3	3.1
Sierpnia	8.3	4.8	2.5	2.3	4.2	5.1	7.1	7.7	5.2	3.4
Września	7.5	4.4	2.1	2.6	4.5	6.2	7.3	7.6	4.9	3.6
Października	8.6	4.4	1.8	2.6	4.4	7.3	7.3	7.4	4.9	3.3
Listopada	8.5	3.1	1.5	2.4	3.8	8.3	7.2	7.0	4.3	2.9
Grudnia	6.9	3.3	1.7	3.0	4.4	10.2	7.9	7.7	4.8	3.0
W przecięciu	8.2	4.9	2.1	2.1	3.5	6.3	7.5	6.9	5.8	4.0

Powyższa tabelka dowodzi ścisłej zależności liczby bezrobotnych od ogólnych koniunktur rynku. Rok 1887 zaznacza się w Anglii po kilkoletnim zastoju przemysłu i handlu sprzyjającą koniunkturą: przemysł i handel podnosi się. Jednak już w 1891 roku przypływa odwrotna fala i paraliżuje gospodarkę narodową. W roku 1895 położenie rynku polepsza się ponownie. To falowanie koniunktur odbija się wyraźnie na rozmiarach zastępu bezrobotnych. W roku 1887 odsetek ich dosięga poważnej liczby 8.2%, lecz w następnych latach szybko opada i wynosi w latach 1889 i 1890 zaledwie 2.1%. Już w 1891 r. horyzont rynku poczynają zasłaniać chmury, jednak sprzyjająca koniunktura lat poprzednich podtrzymuje w dalszym ciągu przemysł i handel, a jednocześnie nizki stan bezrobocia, — lecz na krótki czas tylko: w następnym roku nowy zastój odbija się na odsetku bezrobotnych, — wzrasta on prawie w dwójnasób: z 3.5% do 6.3%. W roku 1895 powraca sprzyjająca koniunktura, a z nią obniżenie procentu pozbawionych zajęcia do 5.8% w 1895 i 4% w 1896 roku. Następnie tabelka potwierdza ogólne doświadczenie, iż bezrobocie dosięga najniższego poziomu w lipcu, zaś najwyższego w styczniu — lutym, zatem w porze, zawieszającej w części lub w całości pracę pod gołem niebem.

Dane „*The Labour Gazette*" są nader szacownym materyałem, atoli nie zasługują jeszcze na miano statystyki bezrobocia w An-

glii — są one dopiero jej zawiązkiem. Przedewszystkiem rozciągają się się tylko na małą cząstkę klasy, mianowicie robotników zorganizowanych, i to nie w całości. Zaś *trade union*'y stanowią arystokracyę klasy, najmniej wystawioną na niedolę „społecznej niezdatności do pracy". Kiedy ilość robotników płci męskiej w Anglii wynosiła w 1894 r. około 10 mil., należało do związków zawodowych około 1,400,000 zatem mniej więcej 1/7, a Departament pracy powiadamia nas zaledwie o 400,000 — 450,000 z owych 1,400,000. Następnie, zapomoga zostaje przyznawana tylko na pewien określony przeciąg bezrobocia — nie przewyższający 26 tygodni w roku, zwykła norma 6-14 — i sprawozdania, nadsyłane co miesiąc przez *trade union*'y do Departamentu, nie wliczają takich członków, którzy przestali czerpać z kasy związkowej, ani tych, którzy stosownie do przepisów, wymaganych przez technikę ubezpieczeniową, jeszcze nie uzyskali prawa na zapomogę (karencya). Wreszcie należy dane o bezrobotnych trade unionistach i dlatego przepuszczać przez sito ścisłości naukowej, że wchodzi tu w grę obawa związków, by przedsiębiorcy, mając każdorazowo dokładne informacye o liczbie rąk bez zajęcia, nie wyzyskiwali natychmiast pomyślnych dla nich koniunktur rynku pracy. Cyfry, udzielane przez *trade union*'y, można raczej uważać za zbyt nizkie, niż za tendencyjnie zwiększone, tembardziej, iż, jak wszelka zresztą inna statystyka, nie uwzględniają częściowego bezrobocia, wypływającego ze zmniejszonej ilości godzin pracy dziennej lub dni w tygodniu. Po za powyższymi brakami „*The Labour Gazette*" podaje jedynie mniej ważną statystykę bezrobotnych, a nie bezrobocia, gdyż nie przytacza ilości dni bez zajęcia, pozycyi najrdzenniejszej. W ostatnim kierunku rozpoczęto poszukiwania i zebrano dosyć pewne dane z okresu 1887—1892 o *Amalgamated Society of engineers* okręgów Manchester i Leeds, głównej siedziby fabrykacyi maszyn. Posiłkowano się przedewszystkiem t. zw. „*vacant book*", księgą, do której zobowiązany jest wpisywać codziennie swe nazwisko każdy z członków związku przez czas korzystania z zapomogi na wypadek bezrobocia. Departament pracy jest obecnie zajęty rozszerzeniem tych poszukiwań na ogół robotników fabrykacyi maszyn, należących do *trade union*'ów.

Z powyższego wynika, że zdobycze dotychczasowe departamentu angielskiego rzucają zaledwie słabe światło na przedmiot naszego badania. A jednak przewyższają one wiele innych, niekiedy ściślejszych i na szerszą skalę podejmowanych prób pokrewnych jedną wybitną cechą — swą ciągłością. Choć w szczupłych ramach, choć niepełny, daje nam wszelako statystyka w „*The Labour Gazette*" obraz przebiegu, ustawicznego dopływu i odpływu przez

szereg lat bezrobocia, daje możność wnioskowania poniekąd o charakterze zjawiska. Do ostatniego punktu wrócimy jeszcze, a teraz rozpatrzmy się w dalszym ciągu w materyale statystycznym.

Za przykładem Anglii poszła Francya, gdzie ministeryum handlu podaje od roku 1894 w swem „*Buletin de l'Office du Travail*" podobne — choć mniej wyczerpujące i ścisłe — dane o bezrobociu w związkach zawodowych (*Syndicats professionnels)*, jak „*The Labour Gazette*" o *trade union*'ach. Od 15. VI. 1894 do 15. VI. 1895 liczono średnio 11—12% ludzi bez zajęcia. W przeciągu dłuższego szeregu lat francuski Departament pracy przyjmuje dla ogółu robotników przemysłowych Francyi 10% bezrobocia włącznie z chorymi, zaś bez ostatnich 7,5%; co do czasu — 4 miesiące bezrobocia na bezrobotnego, 5—6 tygodni na robotnika. Podług 13-go sprawozdania Newyorskiego biura statystycznego z pośród 927 związków robotniczych o 180,231 członków 848, podało jako bezrobotnych w lipcu 1895 roku 32,237 na 164,497 członków, czyli 19.6%, w lipcu 1894 24.4%. Lecz i te wyniki są tylko cząstkowe, jeszcze mniej ścisłe i naukowe, — na możności ujęcia rzeczywistej, pełnej liczby bezrobotnych oraz jej falowań na całym obszarze jakiegokolwiek kraju aż po ostatnie czasy zbywało zupełnie. Wnioskowano ze zjawisk symptomatycznych życia społecznego, podejmowano nawet prywatnie próby zapełnienia tak ważnej luki w statystyce pracy, lecz do istotnych rozmiarów nie docierano. I nie dziw: do podobnego dzieła niezbędny jest potężny aparat rządowy z jego środkami i jego władzą.

Tak np., wnioskując z liczby zamkniętych fabryk oraz zatrudnionych w nich robotników, M. C. Wright przyjmuje w sprawozdaniu amerykańskiego Departamentu pracy 7½% bezrobotnych w roku 1885 w rolnictwie, przemyśle i handlu Stanów Zjednoczonych, w 1893 — roku wielkiej depresyi — 25% ludności przemysłowej. Gompers, prezydent „*American federation of Labour*", oblicza ilość ludzi bez pracy w Stanach wkrótce po zamknięciu wystawy w Chicago na 3 mil., w samem Chicago miało ich być w końcu 1893 roku przeszło 100,000. Jeden z najlepszych znawców nędzy angielskiej, Charles Booth, twierdzi, iż na samym Londynie ciąży około 350,000, zaś na całem Królestwie do 2 mil. ludzi bez zajęcia lub z braku stałej pracy żyjących w ustawicznej biedzie. Keir Hardie, znany przywódca robotniczy, w swych oświadczeniach przed komisyą parlamentarną angielską 1895 roku, która miała na celu zbadanie stanu bezrobocia oraz środków zapobiegawczych, podał liczbę sporadycznie bezrobotnych na skutek zmian atmosferycznych na 1,300,000, zaś ilość osób — włącznie z rodzinami — dotkniętych nędzą bezro-

bocia na 6 mil. Twierdzenie swe opierał Hardie, zdaje się, na wynikach wywiadów, podjętych w styczniu 1895 r. — zatem w miesiącu, najmniej sprzyjającym pracy — przez *Trades Council* w dzielnicy londyńskiej West Ham; okazało się, że 44,690 robotników, na których rozciągnięto wywiady, 28,383 miało stałe zajęcie, 6,176 dorywczo, zaś reszta — 10,131 była skazana na zupełną bezczynność. G. Michel podawał liczbę bezrobotnych w Anglii przed dwunastu laty — po wyłączeniu t. zw. *paupers*—na 800,000. Opierając się na statystyce angielskiej, H. Herkner dochodzi do wniosku, iż pośród robotników zawodowych procent bezrobotnych wynosi w przeciętniu 7%, pośród wyrobników—najmniej 15%. Znany wydawca *Finanzarchiv*'u, G. Schanz, który w ostatnich latach zwrócił swe badania szczególnie na kwestyę bezrobocia, twierdzi, iż w zawodach sezonowych na robotnika wypada przeciętnie 50 dni bez pracy (poniżej zwykłej normy), w pozostałych—15. Do mniej lub więcej smutnych wyników dochodzą inni badacze, posiłkując się pośredniemi źródłami w rodzaju statystyki próśb o wsparcie, biur pośredniczenia w pracy, kas ubezpieczenia od bezrobocia, od chorób, kryminalistyki, robót, podejmowanych dla zażegnania nędzy, które w ostatnich czasach nie schodzą z budżetów miast itd. itd. Atoli tego rodzaju wskazówki ujawniają jedynie niewątpliwy fakt istnienia bezrobocia; można z nich wnioskować o mniej lub więcej sprzyjających koniunkturach rynku pracy, lecz rzeczywista statystyka domaga się bardziej wyraźnych i ścisłych danych.

Nowy okres zaznaczyły państwowe spisy bezrobocia w Niemczech. Dotkliwa nędza, która w tym kraju smagała klasę robotniczą na początku bieżącego dziesięciolecia, szczególnie w czasie zimy, zrodziła próby oznaczenia ilości sił roboczych, pozbawionych zajęcia; chciano tą drogą wymusić od rządu środki zapobiegawcze. Posypały się ankiety robotnicze jedna za drugą; przez szpalty prasy robotniczej poczęły przeciągać obrazy, pod względem cyfr ponurych prześcigające się nawzajem, — wtedy dopiero przystąpiły do dzieła organy miejskie, a zwolna i ogólnopaństwowe. Należało sprawdzić wyniki spisów samych zainteresowanych i w razie przesady sprowadzić na grunt rzeczywistości.

Z wywiadów, przedsiębranych przez robotników, najwięcej zasługują na uwagę urządzone w 33 miastach zimą 1892/3 przez kartel związków zawodowych socyalno-demokratycznych. Ujawniły one, że 7% z ogółu liczonych w danym czasie nie miało zajęcia, i że na każdego bezrobotnego przypadało przeciętnie po 10 tygodni bezczynności. Oczywiście, jak inne pokrewne próby prywatne, tak

i pomieniona posiada wątpliwą wartość naukową: często zaliczano do bezrobotnych chorych, włóczęgów i t. p., często zainteresowani świadomie ubarwiali swe odpowiedzi, niekiedy miano do walczenia ze wstydem i niechęcią „wykazania czarno na białem własnej nędzy". Nadto przyjmowali udział w wywiadach przeważnie robotnicy zorganizowani, podobnie jak to się dzieje w Anglii, zatem najmniej podpadający bezrobociu. Pomimo jednak wszelkich wad spis kartelu związków robotniczych posiada doniosłą wartość, jako pierwszy podjęty w Niemczech na szerszą skalę, jako bodziec do spisów państwowych z 1895 roku oraz przyczynek do metodologii statystyki bezrobocia.

Dwukrotny spis niemiecki z roku 1895, mianowicie 14-go czerwca w połączeniu ze spisem zawodowym oraz 2-go grudnia, jako dodatek do spisu ludnościowego, jest najobszerniejszym z pośród wogóle przedsiębranych dotychczas. Szczególnej wagi nabiera on przez tę okoliczność, że objął wszystkich robotników — nie tylko wykwalifikowanych albo zorganizowanych—kraju całego, a jako odbyte jeden w lecie, drugi w zimie, uzupełniają się nawzajem. Myliłby się jednak, ktoby mniemał, że zdobyte rezultaty podają nam najniższy, względnie najwyższy stan masowego bezrobocia, jakie ma wogóle miejsce w ciągu roku. Doświadczenie uczy, iż stan ten dosięga najniższego poziomu w lipcu — sierpniu, zaś najwyższego w styczniu — lutym. Zwłaszcza mało miarodajnym jest spis grudniowy: choć wiele gałęzi pracy, jak np. budowlaną, rolną i inne owiewa już o tym czasie mroźnym tchem zima i wytrąca na szereg miesięcy kielnię czy cep z rąk robotnika, z drugiej strony bliskość Bożego Narodzenia ożywia inne i zwiększa na krótki czas popyt na siły robocze. Poza tem listopad i grudzień 1895 r. odznaczały się wyjątkowo łagodną pogodą, a cały rok ten w okresie od 1889 nie ma równego sobie pod względem pomyślności dla niemieckiego przemysłu i handlu. Liczne wystawy roku 1896 nie pozostały też bez wpływu na ożywienie rynku pracy.

Wyniki obu spisów są zawarte w „*Vierteljahrshefte zur Statistik des Deutschen Reichs, Jahrgang 1896, Ergänzung zum vierten Heft*". Dowodzą one wielkiej wadliwości planu podjętego dzieła; nie należy jednak zapominać, że, jako pierwsze, zakreślone na tak szeroką skalę, musiały walczyć z brakiem doświadczenia, przydatnych wzorów i... *last not least*... z niedostatecznem przejęciem się sprawą sfer miarodajnych. Ileż to np., traci na wartości całe przedsięwzięcie przez niestwierdzenie poszczególnych przyczyn bezrobocia! Nie ulega wątpliwości, że spisy miały na celu nie zaspokojenie próżnej

ciekawości, nie osiągnięcie doświadczenia naukowego, ale odsłonięcie nędzy bezrobocia w celu zaradzenia złemu. Lecz jak jąć się terapii bez uprzedniej dyagnozy!? Niezbędność ostatniej bije w oczy; tymczasem zamiast wstąpić na jedynie niezawodną drogę, mianowicie początkowo postawić w ogólnych formularzach spisów zawodowego i ludnościowego tylko wstępne pytanie: czy dana osoba jest bez zajęcia, czy nie? i dopiero w razie twierdzącej odpowiedzi skierować drugi specyalny formularz, zarzucono ten projekt w komisyi parlamentarnej, jako wprawdzie najlepszy, ale za trudny do wykonania. Spis bezrobocia zbyto po macoszemu: przyczepiono go do spisów zawodowego i ludnościowego i zredagowano odnośne pytania w generalnych formularzach, jak następuje:

Dla robotników, służących, czeladników i pozostałych najmitów obojga płci, zarówno dla trudniących się domowym przemysłem oraz wyrobników domowych, wyłączając stale i zupełnie niezdatnych do pracy		
czy chwilowo ma robotę (miejsce) Tak czy nie?	od wielu dni bez roboty (zajęcia)	czy bez roboty (miejsca) wskutek chwilowej niezdatności do pracy Tak czy nie?

Najmici, podający w ogólnym formularzu swój zawód za główny, (zatem np. nie żony lub córki dorywczo tylko zarobkujące), mieli wypełnić też powyższe trzy szpalty. Zadowolono się prostem stwierdzeniem, czy zapytany był bez zajęcia wskutek choroby czy dla innych powodów, zatem w ostatnim wypadku — właściwego bezrobocia—zakończono pytaniem, które należałoby przyjąć za punkt wyjścia szczególnych wywiadów. Co do samej bezbarwnej liczby bezrobotnych, należy wziąć pod uwagę, że z jednej strony z powodu dopiero co omówionej kardynalnej wady spisu, z drugiej na skutek niedość ścisłego i przystępnego sformułowania pytań, zachodziły często nieporozumienia ku wielkiej szkodzie całego dzieła. Wliczano np. osoby, bynajmniej nie podpadające pod rubrykę bezrobotnych, jak służące, które zamieniły dotychczasowe miejsce na inne, żony, młodych ludzi, opuszczających fabrykę dla wstąpienia w szeregi armii i t. d. Zachodziły nawet takie nieporozumienia, jak np. że

osoba, która podała się jako „służąca" za bezrobotną od roku, po sprawdzeniu okazała się od roku krawcową i w nowym zawodzie była bez zajęcia zaledwie od dwu tygodni. Inne osoby znowu przypadkowo nie zostały objęte przez spis, jak wędrowni czeladnicy w poszukiwaniu pracy, częściowo bezrobotni; chorych, którzy bezpośrednio przed zapadnięciem na zdrowiu, byli bez zajęcia, zaliczano do chorych i t. d. W ten sposób „ogólny obraz został uchwycony jedynie w jak najgrubszych zarysach" (Schanz).

Rezultat przedstawia się, jak następuje:

	14-go czerwca	2-go grudnia
Wogóle bezrobotnych	299,352	771,005
mężczyzn	218,603	553,578
kobiet	80,749	217,427
Bezrob. wskutek choroby	120,348	217,365
mężczyzn	85.886	153,561
kobiet	34,482	63,804
Zdrowych (właściwych) bezrob.	179,004	553,640
mężczyzn	132,737	400,017
kobiet	46,267	153,623

Ludność państwa wynosiła 14-go czerwca 1895 r. 51,770,284, 2-grudnia 52,246,589 osób; ilość rozpatrywanych wogóle najmitów — 16,146,671 (31.19% ludności), względnie 16,295,226 (31.19% ludności). Więc właściwi bezrobotni stanowili:

14-go czerwca	0.34% ludności
2-go grudnia	1.06% „
14-go czerwca	1.11% najmitów
2-go grudnia	3.40% „

Niestety praca statystycznego biura rzeszy robi różnicę pomiędzy chorymi a zdrowymi tylko w pierwszej części tabel (trwanie i przyczyny bezrobocia), w drugiej zaś (wiek i stan rodzinny bezrobotnych, też zależni od nich niezarobkujący krewni) operuje sumarycznie zdrowymi i chorymi. Gdy jednak przyjmiemy za podstawę stosunek obu grup bezrobotnych, dowiemy się, że włącznie z niezarobkującymi członkami rodzin było dotkniętych następstwami bezrobocia osób w dziale

	14-go VI	2-go XII
wogóle bezrobotnych	512,543 (0.99% ludności)	1,474,251 (2.82% ludności)
zdrowych (właściwych) „ około	306.500 (0.59% „)	1,059,000 (2.02% „)

Co do wieku, godnem jest zaznaczenia, że na ludzi w pełni sił (lat 20—50) przypada 62.21% wzgl. 60.97% ogółu bezrobotnych (zdrowych i chorych), liczono bowiem

lat	14-go. VI	2-go XII	cała ludność I. XII. 1899
14—20	60,781 (20.30%)	144,798 (18.78%)	17.76%
20—30	89,475 (33.23 ,,)	231,999 (30.09 ,,)	24.15 ,,
30—50	86.760 (28.98 ,,)	238,107 (30.88 ,,)	34.52 ,,
50—70	46,068 (15.39 ,,)	141,913 (18.41 ,,)	19.44 ,,
70 i więcej	6,268 (2.10 ,,)	14,188 (1.84 ,,)	4.13 ,,

Co do trwania bezrobocia, z pośród stu liczonych było już bez zajęcia w grupie właściwych bezrobotnych

	14-go czerwca	2-go grudnia
od 1 dnia	2,104	15,791
2 — 7 dni	17,471	70,589
8 —14 ,,	39,659	154,206
15 —28 ,,	19,782	98,180
29 —90 ,,	39.398	132,810
91 i więcej ,,	25.256	39,051
niewiadomo	35,334	42,013
	179,004	553,640

Zatem mniej, niż 29 dni—55% względnie 66.4% bezrobotnych, ponad cztery tygodnie 45% względnie 33.6%.

Na szczególną uwagę zasługuje kolosalny wzrost liczby ludzi bez zajęcia w grudniu; oczywiście lwia część bezrobocia jest wypływem mroźnej pory roku, ograniczającej pracę w wielu zawodach, a nawet stawiającej jej zupełnie tamę na szereg miesięcy. Wejrzenie w kolumny cyfr poszczególnych zawodów potwierdza to zdanie (patrz też tabelę bezrobotnych *trade union*'istów w poszczególnych miesiącach, str. 527). Naprzykład w grupie A (rolnictwo, ogrodnictwo, hodowla bydła, leśnictwo, rybołówstwo) liczba bezrobotnych podniosła się od czerwca o 846.03%, mianowicie z 19,204 do 162,472 osób czyli z 0.33% do 2.80% ogółu najmiów tej grupy, w gałęzi budowlanej o 747.74%, mianowicie z 19,408 do 145,121 osób i t. d. Z drugiej strony w wielkich miastach, ogniskach przemysłu i handlu, liczba pozbawionych pracy mniej podlega wahaniom, niż w więcej zależnych od pory roku gminach wiejskich i małych miasteczkach.

	mieszkańców		bezrobotnych	
	14. VI	2. XII	14. VI	2. XII
Wielkie miasta (10,0000 m. i więcej)	7,027,790	7.272,400	78,911	116,801
Gminy o 10,000 — 100,000 m. . .	8,524,363	8,771,439	38,624	88,349
„ poniżej 10.000 m.	36,218.131	36,202,750	61,469	348,490

	Na 1000 mieszk. bezrobotnych		Na 1000 najmitów	
	14. VI	2. XII	14. VI	2. XII
Wielkie miasta	11.2	16.9	33.8	50.5
Średnie „	4.5	10.7	7.6	33.2
Drobne gminy „ . . .	1.7	9.6		

Jeśli nawet wziąć pod uwagę, że z pracą ma się, jak z mieszkaniami, które nigdy nie są naraz aż do ostatniego zajęte, że bądź wymówienie roboty przez pracodawcę albo najmitę, bądź zmiana miejsca zamieszkania, zawodu i t. d., zawsze utrzymują przerwy w stosunkach roboczych, wszelako obraz, jaki roztaczają przed naszym wzrokiem spisy niemieckie z 1895 roku, daje wiele do myślenia. I cóż dopiero wydobyłby na widownię spis, sporządzony w styczniu albo lutym, kiedy barometr pracy spada najniżej? Cóżby wypowiedziały cyfry tych miesięcy zimowych któregokolwiek z lat przesilenia!?

Choć próba, podjęta przez Niemcy, nie jest pozbawiona wartości, nawet pomimo licznych braków i wad nabędzie ona doniosłej wagi, jeśli stanie się punktem wyjścia systematycznego badania, nieprzerwanego śledzenia falowań rezerwy robotniczej. Wtedy jedynie będziemy w posiadaniu podkładu do zwalczania bezrobocia nietylko dorywczo, represyjnie, ale i—co najważniejsza—prewencyjnie. Następny spis ludności w 1900 r. otwiera pole rządowi Niemiec do posunięcia wszczętego dzieła o krok dalej.

* *

*

Wracamy do założenia: jakież piętno odsłania nam bezrobocie? Jest li ono zjawiskiem jedynie sporadycznem, przypadkowem, czy też koniecznym wypływem ustroju ekonomiczno-społecznego, jego nieodłącznym cieniem?

Specyalni badacze w rodzaju M. Schippla, dogmatycznie wyznający drugi pogląd, przeoczają, iż bezrobocie nie jest przejawem jednolitym, prostym. Składa się na nie cały szereg zjawisk i wy-

darzeń różnej natury, i zależnie od źródła mamy do czynienia nie z bezrobociem, lecz, że tak powiem—z bezrobociami.

Należy rozróżniać dwie zasadnicze formy bezrobocia: względne oraz absolutne.

Bezrobocie względne.

W ostatnich latach zaprząta ono przeważnie umysły, i przeciw niemu skierowuje się przedewszystkiem akcya zapobiegawcza. Wypływa to z natury przedmiotu, gdyż z jednej strony względne bezrobocie zdarza się pomimo niezaspokojonego popytu na siły robocze, z drugiej zaś narzuca się prawodawcy ogromem rozmiarów oraz swą peryodycznością.

Bezrobocie względne może być związane z całkowitą lub częściową tylko bezczynnością dotkniętych niem ofiar i ujawnia różne typy. Jak często rozbrzmiewają w pewnej okolicy skargi na brak robotnika, gdy na innych rynkach pracy tego samego kraju krążą tłumy szukających zajęcia! Najjaskrawiej występuje to zło w Prusach Wschodnich, gdzie właściciele ziemscy rok rocznie zawodzą gorzkie żale. W istocie natrafiamy tam nieledwie na całe wioski wyludnione: podług urzędowych danych w 1890 roku nie mniej, jak 6015 mieszkań dla robotników, stało we wschodnio-pruskich wioskach pustkowiem, i rolnicy są zmuszeni werbować na czas robót w polu najmitów z krajów ościennych. Podczas rozpraw w sejmie pruskim nad kwestyą braku sił roboczych wiejskich jeden z mówców podał ilość brakujących w 1897 r. w szląskim okręgu Goldberg, Haynan na 1600; pastor Langer, poseł z okręgu Frankenstein—Münsterberg zebrał następujące dane co do swego okręgu: z 95 miejscowości 16 tylko mogło zaspokoić zapotrzebowanie sił roboczych w pozostałych zaś 79 brakowało ogółem 1152 najmitów. Brak sił roboczych w Prusach Wschodnich — jak zresztą podczas żniwa w słabszym stopniu i w wielu innych stronach państwa — daje się wyjaśnić tą okolicznością, że właśnie wschód Niemiec jest głównem źródłem wewnętrznego odpływu ludności, o którem będzie mowa poniżej. Mamy tu na myśli nie naturalny odpływ ludności wiejskiej, tkwiący w niemożności rozszerzania gospodarki rolnej podobnie do produkcyi w przemyśle i dopasowywania popytu sił roboczych do wzrostu tej ludności. Wieś stale zasila i odświeża miasta, i, o ile wysyła jedynie odsetki, proces ten pozostaje na wyższych szczeblach kultury naturalnym. Atoli w Prusach Wschodnich cierpi w części sam rdzeń ludności wiejskiej.

Inny typ: w pewnej miejscowości -- szczególnie w pomniejszych miastach — występuje brak robotnika zawodowego, kiedy w różnych wielkich ogniskach życia zarobkowego najmici tego samego zawodu poszukują bez skutku zajęcia. Wypływa to z braku wiadomości o wakujących miejscach lub z niechęci albo niemożności zmiany miejsca zamieszkania (znaczne koszta przesiedlenia, zarobkowanie innego członka rodziny w dotychczasowem miejscu zamieszkania). Ba, przy braku centralnego biura pośredniczenia w pracy podobne *qui pro quo* zachodzą w jednem i tem samem mieście. Ankieta, przedsięwzięta w 1889 r. przez stolarzy Niemiec, ujawniła obok braku pracy na 20,187 tygodni brak sił roboczych na 2821 tygodni. Podaż i popyt w pewnej miejscowości mogą się też nie pokrywać jedynie wskutek ugrupowania sił roboczych nieodpowiednio do zmiennych zapotrzebowań. Do takiego tragizmu stosunków doprowadza najczęściej moda: pewien artykuł sprzedaży ustępuje nagle miejsca w naszym kapryśnym wieku nowemu, popyt na siły robocze zmienia w części bieg, tu gwałtownie wzbiera i nawet przy pełnym rynku pracy nie znajduje dostatecznej ilości rąk, obeznanych z fabrykacyą najnowszego faworyta publiczności. Tak, np., dzieje się obecnie w Niemczech w gałęzi rowerowej: wchłonęła ona w ostatnich latach taką ilość tokarzy, że popyt przewyższa tu stale podaż. Niepokrycie popytu może też wypływać z niedostatecznego fachowego wykształcenia robotników. Np. we Frankfurcie n. M. stale brak szewców i krawców, choć jednocześnie wielu tego rodzaju fachowców szuka tam bez skutku zajęcia. Powyższa anomalia daje się wyjaśnić tą okoliczuością, iż owi bezrobotni nie stoją na wysokości techniki spółczesnej.

Na szczególną wzmiankę zasługuje bezrobocie, wynikające z zatargów pomiędzy pracodawcami a najmitami. Howell twierdzi pesymistycznie, iż zmowy i *lock out*'y stały się koniecznością naszych czasów, częścią rdzenną ekonomii kapitału i pracy. W rzeczywistości niema dnia, by tu lub owdzie nie wybuchały starcia pomiędzy obiema kontraktującemi stronami. O absolutnem bezrobociu nie może tu wszelako być mowy: jak już w pierwszej części niniejszej pracy zaznaczonem zostało, przez użycie tego skrajnego środka walki pracy i kapitału ilość podaży i popytu nie ulega najmniejszej zmianie—przynajmniej dopóty, dopóki przedsiębiorcy nie próbują ukrócić krnąbrności swojskich najmitów zagranicznymi *blacklegs*, t. j. robotnikami, którzy wbrew klasowej solidarności podejmują robotę w dotkniętych zmową fabrykach. Na ogólny rynek pracy zmowy i *lock'out*'y oddziaływają też ujemnie pośrednio, po-

ciągając za sobą zakłócenia w gałęziach, zależnych od objętej rokoszem.

Powtóre mamy do czynienia ze względnem bezrobociem, jeśli najmita jest tylko częściowo zatrudniony, bądź poniżej zwykłej w zawodzie normy czasu roboczego, bądź też jedynie w regularnie przemijających i powracających okresach, mianowicie w dziale pracy sezonowej. W razie konieczności zmniejszenia przejściowo produkcyi w pewnej fabryce lub pewnym przemyśle następuje niekiedy na żądanie najmitów lub pracodawców ograniczenie godzin lub dni pracy. W ten sposób częściowe bezrobocie ogółu robotników danego zakładu czy przemysłu jest klapą bezpieczeństwa przeciw całkowitemu bezrobociu części towarzyszy. Powyższa metoda najbardziej jest praktykowana w Anglii: w produkcyi maszyn i okrętów robotnicy zmniejszają niekiedy w podobnych wypadkach ilość godzin pracy dziennej, górnicy przekładają ograniczenie roboty do kilku dni w tygodniu w celu równomiernego podziału zapotrzebowania na ogół pracujących. W Niemczech środek ten jest dotychczas mało w użyciu; w ostatnich latach uciekają się doń saskie zakłady przędzalnicze i tkackie.

W zawodach, w których bezrobocie peryodycznie powraca, z czasem stało się ono nader dotkliwem i trudnem do usunięcia brzemieniem. Dopóki przeważała gospodarka domowa, dawał się zastosować tego rodzaju podział całej pracy, iż członkowie domostwa załatwiali poszczególne roboty w najodpowiedniejszym ku temu czasie; nie było tu ani warunków, ani miejsca dla bezrobocia, Gdy natomiast wytwarzanie dla własnego użytku rozwinęło się do wysokości zróżniczkowanej produkcyi masowej dla rynku, gdy zakres potrzeb ludzkich rozszerzył się, i poczęły powstawać wielkie miasta, owe różnorodne czynności, zależne od pory roku, pogody i t. d. rozpadły się na samoistne zawody, a ilość zarobkujących w każdym z nich wzrosła niezmiernie. Gdzie sezon trwa bardzo krótko, kilka tygodni, jak np. w cukrownictwie, gorzelnictwie albo fabrykacyi konserw, robotnicy zwykle służą dwu panom na raz i z upływem kampanii, która jest dla nich jedynie bardziej dochodnym epizodem, powracają do zwykłych zajęć. Lecz w wielu gałęziach sezon trwa długi szereg miesięcy, jak np. w rolnictwie, budownictwie, przemyśle rzecznym (sezon martwy zima), w konfekcyi (sezon martwy: od Nowego Roku do marca, oraz od lipca do jesieni), drukarstwie (sezon martwy: maj do września), piwowarstwie (sezon martwy: gorące miesiące) i in. Tu odpowiednik sezonu, bezrobocie, staje się dotkliwym biczem: w jak szalonem tempie

wzbierają zastępy bezrobotnych, o tem pouczają wykazy niemieckie z 1893 r.; u większości tych fachowców zatrudnienie podczas martwego sezonu staje się wyjątkiem z reguły bezczynności i przypada w udziale nielicznym wybrańcom, najczęściej dorywczo z dnia na dzień.

Z powyższego wynika, że bezrobocie względne ma miejsce z jednej strony w razie częściowego tylko zatrudniania robotników, z drugiej zaś tam, gdzie ogólny popyt na siły robocze nie zostaje zaspokojony czy to na skutek nieodpowiedniego ugrupowania klasy robotniczej, czy to niedostatecznej organizacyi pośredniczenia w pracy, czy wreszcie zatargów pomiędzy pracodawcą a najmitami.

Bezrobocie absolutne.

Jak już wyżej zaznaczyliśmy, wszczęta w ostatnich latach akcya zapobiegawcza zwraca się przedewszystkiem przeciw bezrobociu względnemu. Jednak dalsze badania dowiodą, że o wiele ważniejszą rolę odgrywa w teoryi i bezporównania zawilej występuje przed nami druga zasadnicza forma, mianowicie bezrobocie absolutno. Dlatego to jemu poświęcamy główną część rozdziału o przyczynach bezrobocia.

Absolutne bezrobocie daje się określić, jako stan, w którym część podaży najemniczej, przewyższając cały popyt, nie znajduje zastosowania w życiu gospodarczem. Przeto może powstawać na skutek przekształceń bądź popytu, bądź podaży: w pierwszym wypadku przez bezpośrednie ograniczenie lub zakłócenie rozmiarów produkcyi, zatem i ilości potrzebnych rąk, i pośrednio przez przedłużanie dnia roboczego albo też potęgowanie wytwórczości pracy, które może być następstwem ekonomiczno-technicznych postępów lub zwiększonej siły roboczej najmitów. Zaś podaż pracy podlega działaniu rozmnażania ludności robotniczej oraz dopływu rąk nowych.

Wytwórczość pracy zatem, ludność robotnicza, czas roboczy i rozmiary produkcyi — są to cztery czynniki absolutnego bezrobocia. Trzy pierwsze, jako powodujące brak zajęcia przez wzrost każdego z nich *ceteris paribus*, możemy nazwać pozytywnymi, natomiast rozmiary wytwarzania, których zmniejszenie wywołuje bezrobocie, czynnikiem negatywnym.

Każdy z nich jest w stanie sam przez się sprowadzać klęskę; natomiast przy współudziale kilku czynników naraz bezrobocie może wzmódz się, może też nastąpić wzajemne osłabienie, a nawet zniesienie działania poszczególnych czynników. Powstaje tu wiele kombinacyi, i stosownie do ilości wchodzących w grę czynników

oraz rozciągłości i natężenia działania otrzymujemy różne stopnie bezrobocia. Przy założeniu, że czas roboczy i wytwórczość pracy pozostają niezmienione w pewnym okresie czasu, produkcya musi się podwoić w razie takiegoż wzrostu ludności robotniczej; inaczej zostanie naruszona równowaga zajęcia. Jeżeli następnie podwoi się i wytwórczość pracy, natenczas produkcya powinna w czwórnasób przewyższyć początkową. W przeciwnym razie w rezultacie otrzymamy bezrobocie.

Bezpośrednie dowodzenie Schippla za pomocą statystyki produkcyi i pracy istnienia i rozmiarów bezrobocia chybia celu: jest ono zbyt podmiotowe i posługuje się wadliwą metodą. A przedewszystkiem statystyka produkcyi i pracy, bez której nie da się ostatecznie rozstrzygnąć zagadnienie bezrobocia, i dzisiaj jeszcze nie dorosła do zadania. Raczej rozważmy na mocy powyższego, o ile spółczesna gospodarka ujawnia tendencye ku skazywaniu ludzi pracy na mimowolną, masową bezczynność, zarówno szkodliwą dla dotkniętych nią ofiar, jak i dla społeczeństw, na których ciążą.

Wolność współzawodnictwa tworzy jedną z podwalin nowoczesnego ustroju gospodarczego. Lecz *conditio sine qua non* współzawodnictwa po stronie przedsiębiorców jest ustawiczne obniżanie kosztów produkcyi: tańszy towar, oczywiście, pobija droższy równej dobroci, a często i wyższej. Zastój równa się tu zanikowi; więc współzawodnicy chwytają się najprzeróżniejszych środków, jako narzędzi tańszego wytwarzania. Gdzie warunki sprzyjały temu, walczono na zaraniu spółczesnej gospodarki narodowej metodą prostą: przedłużano nadmiernie dzień roboczy, nieledwie robiąc drugi dzień z nocy, zaciągano w szeregi armii przemysłowej pracownika najtańszego, — kobiety i drobne nawet dzieci. Lecz dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie: gdy zwyrodnienie i niedołężność klasy robotniczej poczęły przybierać coraz groźniejsze rozmiary, aż wreszcie nie tylko sami robotnicy, nietylko manchesterskie rządy, ale i część pracodawców poczęła we własnym interesie powstawać przeciw najbardziej krzyczącym nadużyciom; gdy przemysł, zdobywając sobie coraz nowe rynki zbytu, z trudnością mógł dłużej podołać rosnącym z dnia na dzień zapotrzebowaniom, — przedsiębiorcy zarzucili poniekąd stosowaną metodę, dając pierwszeństwo nieznającemu granic doskonaleniu techniki i ekonomizowaniu pracy. Misterny podział pracy i rozczłonkowanie jej procesu, bajeczne zdobycze mechaniki i chemii w usługach przetwarzania i nie mniej zadziwiające okiełznanie i wyzyskanie sił przyrody, a w parze z powyższem kapitalistyczna akumulacya po stokroć odbiły straty z niemoż-

ności przekroczenia pewnych przyrodzonych prawnych szranek pracy ludzkiej. Zwrot ten jednak ma również swą ciemną stronę: wypiera z fabryk i warsztatów tysiące rąk roboczych.

Powyższy rozwój najbardziej znamionuje Anglię, klasyczny kraj nowoczesnej gospodarki, lecz nie jest obcym i innym państwom zachodu. Maszyna staje się najcelniejszym środkiem wypierania siły żyjącej. Przedewszystkiem potęguje ona niezwykle pierwszy czynnik absolutnego bezrobocia — wytwórczość pracy. Juliusz Wolf przytacza, iż, gdy w latach 1819/21 robotnik przerabiał 670 bel bawełny, w latach 1880/2—5,200, zatem w przeciągu 60 lat skok o 680%! Podług Marxa za czasów Adama Smitha 10 mężczyzn było wstanie przez podział pracy sporządzić w ciągu dnia 48,000 igieł. Maszyna natomiast dostarcza w ciągu 11 godzin 145,000 sztuk, a jedna dziewczyna dozoruje jednocześnie cztery takie maszyny, zatem dostarcza dziennie 600,000 igieł. Jedna jedyna para rąk kobiecych zastępuje przez użycie maszyny 125 par męzkich! Zaś robotnicy, wyparci w ten sposób z pewnej gałęzi przemysłu, nie mogą w całości być zatrudnieni przy wyrabianiu swych żelaznych rywali, bo,,jak Marx słusznie twierdzi, „dopływ rąk potrzebnych do wytwarzania środków produkcyi, maszyn, węgla itd. musi być mniejszym, niż wywołany przez zastosowanie maszyny odpływ: w przeciwnym razie produkt maszynowy byłby również drogim albo nawet droższym od głównego produktu" [1]). Przeciwwagę może stanowić jedynie odpowiedni przyrost produkcyi w poszczególnych zawodach lub powstawanie nowych gałęzi pracy.

Następnie maszyna zagarnia coraz większe pole działania. By dać niejakie pojęcie o jej zaborczości, przytaczamy, że ilość siły maszynowej w wysługach produkcyi kuli ziemskiej powiększyła się w przeciągu 35 lat (1850—1885) sześć razy; rocznie wzrasta ona w przeciągu lat 1870/80 o 365,000 koni parowych, co się równa 7,665,000 sił ludzkich, od roku 1880 do 1885 o 303,000 koni parowych rocznie (6,380,000 sił ludzkich). Gdy stosunek siły ludzkiej w produkcyi do parowej wynosił:

w 1850	roku	45 : 55, spada on
„ 1860	„	33 : 67
„ 1870	„	24 : 76
„ 1880	„	19 : 81
„ 1885	„	17 : 83 [2]).

[1]) Karl Marx. *Das Kapital*, III Aufl., t. I, str. 354.
[2]) Denis, *La dépression économique et sociale et l'histoire des prix*, str. 262.

W samych Prusach podniosła się liczba zastosowanych w przemyśle i rolnictwie maszyn i parowozów z 775,993 sił parowych w 1879 r. do 1,768,137 w 1889, zatem w ciągu 10 lat o 127%!

Jednocześnie maszyna rozszerza do niebywałych rozmiarów poszczególne zakłady przemysłowe. Z biegiem czasu rozwój ostatnich staje się nawet głównym warunkiem zwycięskiej walki pomiędzy fabrykantami. Im przedsiębiorstwo rozleglejsze i rozporządza znaczniejszym kapitałem, tem kosztowniejsze i produkcyjniejsze może zaprowadzać maszyny; tem łatwiej iść krok w krok za postępami techniki i czynić zbyteczną stosunkowo drogą i nie zawsze powolną siłę ludzką, oszczędzać na kosztach nakładu i fabrykacyi, a w rezultacie — zalewać rynek tańszymi towarami. Powstają w ten sposób zakłady, podobne do sporych miast (zakłady Kruppa w Estenie), i w porozumieniu z kilku innymi nieraz opanowują rynek i zagarniają całą produkcyę w swe ręce. Proces ten dotkliwie odbija się na drobnym przemyśle i rzemiosłach: odbyt coraz więcej przechodzi do wielkiej industryi, zaś zacofane technicznie i mało zasobne w kapitały drobny przemysł i rzemiosła, w których przeważa praca ręczna, kurczą się w ciężkiej walce z przeważającym współzawodnikiem, niby napełniony gazem balon, którego powierzchnię przekłuto. Upadek drobnej produkcyi ma jeszcze tę złą stronę, że powiększa zastępy najmitów. Bo majstrowie po zaciętej walce w końcu składają broń w ręce kolosa i albo spadają do poziomu majstrów akordowych, a nawet prostych robotników, albo też uciekają się do zatrudniania, przeważnie niepłatnych terminatorów, których po wyzwoleniu stale zastępują nowymi wyrostkami; zatem powiększa się zastęp czeladników bez zajęcia. Proces ten wciąż postępuje, i w wielu zawodach wielki kapitał częścią już pogrzebał produkcyę drobną, częścią wysysa z niej w dalszym ciągu soki żywotne. Zupełnie wyłamują się z pod powyższego procesu wchłaniania tylko nieliczne działy pracy, jak np. takie, które wymagają specyalnych wyrobów lub mają wyłączne koło kupujących: krawiec i szewc ludzi o anormalnych kształtach, krawiec klasy zamożnej, pewna liczba rzemieślników z działu sztuki stosowanej i in. Natomiast w górnictwie, przemyśle tkackim i in. produkcya drobna, rzec można, zanikła.

Już sam zwycięski pochód maszyny i wypieranie drobnego przemysłu przez wielki musi mieć *ceteris paribus* nader ujemne następstwa dla żyjących wyłącznie z pracy rąk robotników. Złe to potęguje w dalszym ciągu jedyny w dziejach przyrost ludności robotniczej. Postępuje on drogą niezwykłego rozmnażania się całej ludności oraz dopływu nowych rąk do rwącego potoku przemysłu.

Wzrost klasy robotniczej w okresie panowania maszyny jest dotychczas punktem ciemnym w statystyce. Musimy się posiłkować światłem danych, dotyczących całej ludności, uwzględniając przytem fakt, że niższe warstwy posiadają większą siłę rozrodczą od wyższych. W dziwnym zaiste żyjemy wieku: możnaby mniemać, jakoby siła reprodukcyjna rodu ludzkiego była wprost zależną od sił produkcyjnych gospodarki, jakoby nowe dobra wywoływały nowe pokolenia. Od chwili wtargnięcia pary do przemysłu i wpływu przewrotu technicznego na rozmiary wytwarzania ludność świata cywilizowanego rozmnaża się w niezwykłem aż po owe czasy tempie. Henry George wyraża w swych „Zagadnieniach Socyalnych" zdanie, że, jeśli ludność rasy anglo-saskiej Stanów-Zjednoczonych będzie i nadal wzrastała w dotychczasowym stosunku, w połowie przyszłego stulecia przewyższy liczebnie obecną ludność Europy. Kiedy Anglia miała w 1661 r. wszystkiego około 5,548,000 mieszkańców i jeszcze w sto lat później — zatem przed nastąpieniem okresu maszynowego — nie więcej nad 6 mil., wykazuje już w 1820 r. 14 mil., które podwajają się w niespełna 60 lat następnych: w 1694 r. Anglia liczyła 38, 926,901 mieszkańców. Sam zastęp robotników—w 1894 liczba ich płci męskiej nad lat 20 wynosiła około 10 mil. — jest dziś w tym kraju nie o wiele mniejszy od ludności schyłku pierwszej ćwierci bieżącego stulecia. Wzrost ludności w Niemczech również budzi podziw. Podług danych niemieckiego biura statystycznego, ludność cesarstwa w teraźniejszych jego granicach wynosiła w 1816 r. 24,831,396 mieszk., podług spisu z 1895 r. 52,246,589; ilość mieszkańców przemysłowej Saksonii powiększyła się w ciągu lat 1815 do 1890 w czwórnasób. Cały kontynent europejski liczył na zaraniu wieku 175 mil. mieszkańców, w 1892 r. 360 mil., nadto od 1815—20 do 1890 przesiedliło się za ocean około 20 milionów.

Drugie źródło przyrostu ludności robotniczej—tym razem przemysłowej — leży we wsi, a mianowicie w ciążeniu, po pierwsze, ze wsi do miast wogóle, następnie z miast drobnych i średnich do wielkich.

W Niemczech ludność wiejska wzrosła w przeciągu 20 lat (1871/90) z 14,790,798 (0,36 całej ludności) do 23,243,229 (0,47 części), kiedy wiejska w tym samym okresie czasu spadła z 26,219,352 do 26,185,241. W Anglii pierwsza powiększyła się w latach 1881—1891 o 15%, druga tylko o 4%; we Francyi miejska podniosła się 1846—86 z 24.42% do 35.95%, wiejska spadła z 75.58% do 64.05% ogółu mieszkańców. W czasie pierwszego spisu w Stanach Zjednoczonych w 1790 r. liczono w miastach 3.3% ludności, 1880 — 22.5%, w Austryi

w miejscowościach, liczących powyżej 2,000 mieszkańców w 1843 r. $^1/_5$, w 1890 — $^1/_3$ całej ludności.

Jeszcze w szybszem tempie, niż wzrost ludności miejskiej kosztem wiejskiej, postępuje dopływ do wielkich miast, tak iż H. Rauchberg upatruje w ruchu zasiedlania prawo analogiczne do prawa ciążenia mechaniki: „siła przyciągająca o tyle potężniej działa i dalej sięga, o ile większem jest ciało, z którego wychodzi" [1]). W roku 1871 Niemcy liczyły 8 miast o przeszło 100,000 mieszkańców, w r. 1895—28. W latach 1867/85 cała ludność wzrastała rocznie w przecięciu o 0,86% średniej ludności wobec przeciętnego przyrostu w

wielkich miastach	(100,000 mieszk. i więcej)			o 2.6%
średnich „	(20,000—100,000 mieszk. i więcej)			o 2.4%
małych „	(5,000— 20,000	„	„)	o 1.8%
osadach „	(2,000— 5,000	„	„)	o 1.6%
wsiach „	(poniżej 2,000	„	„)	o 0.2% [2])

Na 100 mieszkańców obecnego obszaru Austryi przypada na miejscowości o

	1843	1890
przeszło 20,000 mieszk.	42	120
10,000—20,000 „	16	38
5,000—10,000 „	32	41
2,000— 5,000 „	99	126
poniżej 2,000 „	811	675 [3])

Podobny dopływ rąk roboczych do środków przemysłu musi, oczywiście, ujemnie oddziaływać na rynek pracy; obok tego krępuje on swobodę ruchu związków zawodowych oraz polepszenie bytu całej klasy, z którem, jak zobaczymy poniżej, nędza bezrobocia stoi w ścisłym związku. Im liczniejsza jest podaż sił roboczych, czyhających tylko na każde opróżnione miejsce, tem łatwiej przedsiębiorcom utrzymać się przy swoich warunkach najmu, tem trudniej zaś najmitom stać na straży własnych interesów: wspomniani już *blacklegs*, gotowi do usług na każde skinienie zagrożonego zmową fabrykanta, są mieczem Damoklesa klasy robotniczej.

Różnorodne czynniki składają się na dążenie do miast.

Choć szczególny charakter i warunki produkcyi przy dzisiejszym stanie nauki nie otwierają maszynie podobnego pola do działa-

---

1) „Statistische Monatsschrift", Wien, 1895, str. 130.

2) Karl Bücher, „Die Entstehung der Volkswirtschaft", str. 260.

3) „Statistiche Monatsschrift", ibidem, str. 125.

nia w rolnictwie, jak w przemyśle, wszelako „robotnik żelazny" przyczynia się i tu w poważnym stopniu do wypierania pracy ręcznej. A ponieważ produkcya z natury rzeczy nie daje się równie dowolnie rozszerzać w rolnictwie, jak i w przemyśle, przeto zbyteczne ręce szukają ujścia i płyną do miast fabrycznych. Jeden z najpoważniejszych znawców rolnictwa, Theodor von der Goltz, mówi: „Przez ograniczenie użytku młocarni, szczególnie parowej, dałby się znacznie polepszyć byt robotnika wiejskiego oraz zmniejszyć wychodźtwo i wewnętrzny odpływ ludności wiejskiej [1]). Młocarnia parowa tem zgubniej działa, iż zastosowana w porze zimowej potęguje jeszcze różnicę pomiędzy popytem na ręce w pewnych porach roku i czyni położenie robotnika wiejskiego tem bardziej chwiejnem. Często rolnicy zastępują uprawę zboża gospodarką pastewną i hodowlą bydła, które wymagają mniejszej ilości sił roboczych. Nieprzyjazne stosunki własnościowe i przesilenie agrarne, ciążące na Europie od lat szeregu, zmuszają gospodarzy do pozbywania się nadwyżki każdej pary rąk ponad potrzeby systemu i wielkości gospodarstwa. Głównego źródła jednak dążenia do miast należy dopatrywać w niepewnym bycie robotników wiejskich, w braku zajęcia zimą — dopływ robotników wiejskich do miast najbardziej wzbiera w październiku i listopadzie, po ukończeniu robót w polu — w niedostatecznym udziale ich w własności ziemskiej i w wyjątkowem, odosobnionem położeniu społecznem. Polityka socyalna, uwzględniając, jak dotąd, prawie wyłącznie tylko przemysłowy odłam klasy robotniczej, sprzyja powyższemu ruchowi i podkopuje własne dzieło. Podług spisu zawodowego 1882 r. około 70% z 8,063,966 zarobkujących w Niemczech w rolnictwie było zupełnie lub prawie bezrolnych. Tymczasowo miasto zdaleka, zdaje się, przedstawia aż nadto okazyi zarobku, przytem lepszego, niż na roli. Więc nie dziw, że robotnik opuszcza glebę i tłumnie ciągnie do ognisk przemysłu, tembardziej, iż wciąż postępujące uproszczenie udziału pracy ludzi w produkcyi maszynowej sprzyja zatrudnianiu w niej i niewykwalifikowanego, lecz zdrowego i wytrzymałego wieśniaka. Często starczy dni kilku, by się obznajmić z obsługiwaniem maszyny. Przezorni fabrykanci w poczuciu korzyści, jakie daje im przepełnienie rynku pracy, popierają tę wewnętrzną wędrówkę. Gdy wreszcie dodamy liczne ponęty życia wielkomiejskiego, łowy po wsiach agentów (zakładów

---

[1]) Th. Frhr. von der Goltz. Die ländliche Arbeiterklasse und der preussische Staat, str. 145.

cukierniczych, piekarni i t. d.), nowe ukształtowanie stosunków prawnych po przyznaniu wolności osiedlania się i zarobkowania, rozszerzenie horyzontu kmiotka za pomocą szkoły i służby w wojsku rozwój środków komunikacyi i t. d. i t. d., pojmiemy, jak musi działać podobny splot czynników ekonomicznych, społecznych, politycznych i umysłowych na ten nowożytny ruch, wobec którego, podług Seringa, „rozmiarami ruchomych mas wprost maleje wędrówka narodów z przed $1 \frac{1}{2}$ tysiąca lat".

Następuje t. zw. „dążenie na zachód" sił roboczych, t. j. przechodzenie ograniczonych w potrzebach robotników z krajów o niższym ekonomicznym i cywilizacyjnym poziomie do bardziej rozwiniętych. Ruchowi temu sprzyja, zarówno jak ciążeniu ze wsi do miast, ułatwienie komunikacyi oraz wolność osiedlania się. „Z Poznańskiego i Górnego Szlązka robotnik wędruje do Saksonii, z Królestwa Polskiego do Górnego Szlązka, Czech wdziera się do krajów niemieckich, Rumuńczyk i Słowak do Węgier, Włoch do południowych Niemiec, Irlandczyk do Anglii, a Chińczyk do całej Azyi wschodniej i Ameryki" [1]). Mniemanie zaś, jakoby tańsza siła robocza pociągała ostatecznie wyższe koszta, niż droższa i wydajniejsza, nie zawsze znajduje poparcie w faktach: mniej produkcyjna praca może być tak nizko opłacana, czas roboczy tak wyszrubowany, iż jej współzawodnictwo z robotą wydajniejszą nie na wszystkich polach pracy jest wykluczone. Podobne zjawisko znajdujemy np. w anachronicznem przenoszeniu niekiedy przemysłu fabrycznego z miast do mieścin i na wieś pod postacią przemysłu domowego: pomimo wyższości pierwszego udaje się zniżyć w ten sposób koszta przedsiębiorstwa. Kapitalistyczny wielki przemysł przedzierzga się w formę, z której historycznie się wyłonił. Odnośnych danych posiadamy bardzo niewiele; do Prus np. przywędrowało podług półurzędowej statystyki w 1893 r. 23,353 sił roboczych z samego Królestwa Polskiego i Austryi, w 1894 r. 27,645.

Nie tylko więc wewnętrzny wzrost ludności robotniczej drogą rozmnażania się, a specyalnie w przemyśle też drogą ciążenia ze wsi do miast, ale nadomiar immigracya sił roboczych dorzuca cegiełkę do utrudniania robotnikom walki o byt i pozbawiania części ich zajęcia i środków do życia.

W jaki sposób wciągnięte zostały kobiety i dzieci w ciężkie dla siebie jarzmo pracy fabrycznej, wyłuszczono powyżej, zarówno jak

---

1) H. Herkner „Die Arbeiter-Frage", 1894, str. 206.

walka o byt drobnych producentów rozplenia hodowlę terminatorów. Do ilustracyi tego czynnika absolutnego bezrobocia niechaj posłuży kilka poniższych cyfr. Ilość zatrudnianych w Niemczech w przemyśle robotnic nad lat 16, wzrastając z roku na rok, dosięgła w 1896 r. liczby 699,570; w ciągu 4 lat wykazuje ona przyrost 23.3%, w roku bowiem 1892 wynosiła tylko 567,234. Młodocianych osób— termin statystyki urzędowej — obojga płci (lat 14 — 16) zatrudniały fabryki i warsztaty niemieckie w 1896 r. 244,860, zaś dzieci poniżej lat 14 we wszystkich gałęziach pracy w 1895 r. 214,954. W Stanach Zjednoczonych liczono kobiet, zarobkujących ponad lat 10, w 1870 r. 1,836,288 (około 9.66% kobiet wogóle), w 1790—3,914,571 (około 12.61%). We Francyi pracowało w 1866 r. w 296,797 zakładach przemysłowych, podlegających inspekcyi fabrycznej, na 2,673,314 sił roboczych 442,925 (16.5%) kobiet w wieku lat 13 — 18 oraz 631,078 (23.6%) od lat 18, razem 40.1% ogółu zatrudnionych.

Terminatorowie przeważają w rzemiosłach i handlu, następnie u restauratorów, fryzyerów i innych. Niemiecka komisya statystyki robotniczej stwierdziła, że w 1894 r. znajdowało się w restauracyach i pokrewnych zakładach państwa obok 3,478 kelnerów oraz 803 oberkelnerów 2,895 uczni, co się równa 67.6%. W czterech zgromadzeniach powiatowych golarzy i fryzyerów Niemiec północnych liczono mniej więcej o tym samym czasie obok 1,294 członków 1511 (116.8%) uczni! Drukarstwo podług obliczeń „towarzyszy" posiada o 4,700 uczni zadużo; przytem zło się powiększa: stosunek towarzyszy do uczni wynosił w 1885 r. 2.5 : 1, natomiast w 1895 r. 2.3 : 1. Obok tego około 10% drukarzy jest stale bez zajęcia! Oczywiście, ta hodowla uczni odbywa się kosztem towarzyszy, z których część bez skutku kołacze od warsztatu do warsztatu o zajęcie.

Z powyższego widzimy, jak wytwórczość pracy i wzrost ludności robotniczej w silnym stopniu sprzyjają bezrobociu. Czy wrogie te tendencye znajdują przeciwwagę w dwu pozostałych czynnikach?

W zdrowym, celowo zorganizowanym ustroju społecznym wszelki postęp ekonomiczny, przyrost wytwórczości i produkcyi winienby stawać się dobrodziejstwem ogółu, dostarczać odpowiednich ulg oraz podnosić odpowiednio *standard of life* całej ludności. Należałoby zaspakajać więcej potrzeb i w coraz wyższym stopniu, należałoby skracać dzień roboczy. Czy w takim kierunku postępują narody, które pod względem możności wytwarzania w ciągu jednego wieku wyżej się wzbiły, niż nasi praojcowie przez lat tysiące? Produkcya dóbr dosięgła w samej rzeczy w XIX stuleciu niebywałych

rozmiarów, lecz to samo stulecie przygniata dziwna sprzeczność: owe dobra, zamiast wracać do rąk wytwórców, zalewają istną powodzią kulę ziemską i więcej dbają o odbiorców w najodleglejszych zakątkach globu, niż w kraju rodzinnym. Gwoli zbytowi zagranicznemu przeoczają rynek swojski.

W stosunku do środków i wytwórczości pracy siła kupcza i stopa życiowa niższych warstw ludności podniosły się nieznacznie, szczególniej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że ilość robotników bez zajęcia, zatem niepłatnych, pozornych tylko spożywców w ostatnich dziesiątkach lat znacznie wzrosła. Ponieważ jednak brak możności zużytkowania całej reszty produkcyi, pozostającej po odciągnięciu udziału klasy robotniczej, przeto, by się uporać z potęgą, wywołaną niby laseczką czarnoksiężnika, pozostaje jeden środek: szukać odbiorców towarów zagranicą. W przeciwnym razie siły produkcyjne, zatem i ręce robotnicze muszą leżeć odłogiem. Tymczasem widoki przemysłu wywozowego wciąż się pogarszają. Potężny rozwój industryi, szczególniej w Stanach Zjednoczonych i Niemczech, wschodzący przemysł Rosyi oraz części Azyi — do czego Europa sama się przyczynia swymi kapitałami stałymi i zmiennymi — nakładają więzy na produkcyę zachodnio-europejską: odbyt towarów po opanowaniu największej części rynku zaoceanowego postępuje stosunkowo za wolno, a udział każdego z mnożących się na rynku wszechświatowym współzawodników nie dotrzymuje dłużej kroku możności i potrzebie rozrostu produkcyi. Ba, owe do niedawna jeszcze ziemie obiecane nie tylko powoli wyzwalają się z pod ekonomicznej opieki Europy, ale nawet wstępują w szranki wywozowych zapaśników, przewyższając nas na pewnym punkcie: siły roboczej za bezcen. Naprzykład, przeróbka bawełny w Indyach wzrosła w przeciągu 9 lat (1880—89) z 301,000 bel po 394 funt. do 930,000 rocznie, a fabrykanci indyjscy i japońscy zbywają już swoje towary do Chin i Australii. Znany ekonomista niemiecki, Lujo Brentano, posuwa się tak daleko, że uważa wciągnięcie przemysłu na rynek wszechświatowy za pierwszą i ostatnią przyczynę nędzy społecznej.

Zły duch konkurencyi oraz braków w systemie produkcyi zasila i wywołuje bezrobocie jeszcze z innej strony: siły produkcyjne wymykają się z pod steru przedsiębiorców. Nie znając rozrzuconych po wielkich obszarach odbiorców, wytwarzając w części dla potrzeb, które mają dopiero być wywołane, nie są oni zupełnie w stanie przystosować produkcyi do zmiennego popytu na towary. Powstają okresy nadprodukcyi, jedno przesilenie goni drugie, aż w końcu od lat przeszło dwudziestu ustąpiły one miejsca chronicznej

depresyi, którą prof. Lexis chrzci mianem „pełzającego kryzysu". A każde przesilenie zradza szczególne bezrobocie, którego długotrwałość, rozmiary i natężenie są zależne od sprawcy. Towarzyszące przesileniom zmniejszenie spożycia dorzuca nową cegiełkę i—ot, kręcimy się w zaczarowanem kole. Następstwo okresów rozkwitu i upadku, rozrost produkcyi dóbr, pociągający za sobą bezczynność z jej następstwami pewnej części tych właśnie, którzy je wytworzyli, stało się paradoksem 19 stulecia. Zaiste na farsę zakrawają słowa zurychskiego profesora J. Wolfa, jakoby przesilenia ekonomiczne były urządzeniami, „o których nieledwie dają się powtórzyć słowa Voltaire'a o Bogu, mianowicie, iż musianoby je zaprowadzić, gdyby ich jeszcze nie miano, lub słuszniej w naszym wypadku: jeśli zechcemy zwolnić kryzysy od zarzutu nieszczęsnych następstw, nie wolno ich zupełnie potępiać wobec ich pobudzających własności". [1]).

Rozważyliśmy czynniki masowego mimowolnego bezrobocia, wypływające z samej istoty ustroju społeczno-ekonomicznego, zdające się stanowić rdzenną część jego. Po za tymi ogólnymi czynnikami oddziaływają ujemnie na rynek pracy inne jeszcze zjawiska. Bezrobocie może być wywołane przez zjawiska przyrody, zajścia społeczne, polityczne i inne. Przybiera ono wtedy charakter mniej lub więcej przejściowy, nawiedza pewną miejscowość tylko lub cały obszar państwa, pojedyńczy zawód, a nawet cały przemysł. Zdarza się to przy zarazach, powodziach, nieurodzajach — w ostatnim wypadku ludność zmuszona jest wydawać więcej na materyały spożywcze ze szkodą innych pozycyi — przy wojnach (np. straszne bezrobocie w przemyśle bawełnianym Anglii w skutek wojen domowych w Ameryce północnej w siódmem dziesięcioleciu), zmowach robotniczych, zakłócających bieg robót w gałęziach zależnych od dotkniętej zmową (np. wpływ strejku w kopalniach węgla Anglii w 1893 r. na zakłady przemysłowe o motorach parowych) i t. d.

Powyższe dociekania nasuwają doniosłe wnioski. Dwa potężne czynniki absolutnego bezrobocia, jakimi są wytwórczość pracy i wzrost ludności robotniczej, które, by utrzymać równowagę zatrudnienia, winny *ceteris paribus* posuwać się w wprost przeciwnym kierunku, z niesłabnącą siłą, ręka w rękę, kroczą po drodze absolutnego powiększania podaży pracy. Co do skracania dnia roboczego, postępując naprzód krokiem iście ślimaczym, nie jest ono w stanie zrównoważyć działania dwu pierwszych czynników, tembardziej, iż zmniejszonej ilości godzin pracy stale towarzyszy

---

[1]) J. Wolf, *Socialismus und kapitalische Gesellschaftsordnung*, t. I, str. 439.

dalszy [illegible] jej intensywności, zatem skracanie przechodzi tylko w natężenie pracy. Pozostaje rozszerzanie rozmiarów produkcyi. Lecz z tej strony przy obecnym stanie rzeczy, jak widzieliśmy, zarysowuje się dość smutny horoskop; zresztą wywóz, zarówno jak wychodźtwo stanowią jedynie chwilową paliatywę, zwłokę, w czasie której możnaby właśnie przeprowadzić niezbędne reformy. Niewątpliwie wzrost produkcyi wchłania skądinąd wolne ręce, lecz jak liczne fakty dowodzą, tylko część przewyżki, to większą, to mniejszą. W najpomyślniejszych nawet latach dla przemysłu i handlu angielskiego znajdujemy w *trade union*'ach różny zależnie od koniunktur rynku pracy, lecz nie znikający „żelazny remanent" armii odwodowej. A wszak związki robotnicze tworzą arystokracyę klasy; procent bezrobotnych pomiędzy idącymi luzem, gorzej płatnymi i mniej odpornymi niefachowcami czyni jeszcze wymowniejszym język odsetek *trade union*'istów bez zajęcia.

Niestety wzajemne oddziaływanie czynników absolutnego bezrobocia dotychczas jest bardzo mało badane w dziejach życia gospodarczego. Wskutek tego, zarówno jak niedostatecznej statystyki produkcyi i pracy, brak nam podstaw do wyprowadzenia ścisłych, niezbitych wniosków, lecz wykryte tendencye wespół z dającymi się już dotychczas wyłożyć argumentami statystyki bezrobocia naprowadzają nas na naukowe mniemanie, że mamy tu—w pewnej części — do czynienia z organicznem, trwałem, choć zmiennem co do rozciągłości i natężenia zjawiskiem. Bezrobocie przestało być w krajach najbardziej rozwiniętych, jedynie „stanem wyjątkowym w regule pracy".

Godnem jest uwagi, że zmora bezrobocia w nowomodnej szacie, mianowicie, jako zjawiska masowego i chronicznego, pojawia się najpierw w kraju, który jest poprzednikiem i wzorem całego nowoczesnego rozwoju ekonomicznego, oraz, że w innych krajach rozgaszcza się, poczynając od pewnego szczebla indywidualnego ustroju społecznego. Następnie najwyraźniej i najfatalniej występuje ono w krajach, gdzie ustrój ten dojrzał najbardziej, zatem w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Francyi, Belgii. W Anglii możemy dojść wątka zagadnienia mimowolnego bezrobocia aż w 17 wieku; w owym czasie zwalczano je dobroczynnością. Z Anglii zmora bezrobocia przebrnęła kanał i pociągnęła przez Francyę, Belgię, Holandyę, Niemcy, Szwajcaryę; nie ominęła wreszcie tak bogato uposażonych od natury Stanów Zjednoczonych. A gdzie raz zajrzała, tam wchłania hekatomby po dzisiejsze czasy i tylko przejściowo pogrąża się w drzemkę.

W gwałtownym wzroście ludności nowszych czasów niektórzy fataliści czerpią przekonanie, że bezrobocie jest przedewszystkiem następstwem przeludnienia; należy je podług nich znosić, jako nieunikniony wypływ niedoskonałości i powikłań ludzkiego porządku rzeczy. „Istnieje za dużo ludzi, mimo wszelkich przeciwnych orzeczeń" twierdzi wspomniany już J. Wolf, nadmiar ludzi jest możliwy, i „nowoczesna nędza czyli nowoczesne przeludnienie jest przeważnie takim nadmiarem." Lecz cóż to znaczy: za dużo ludzi? Oczywiście możemy przez te słowa rozumieć tylko taki stan, kiedy państwo pomimo możliwego wysiłku nie jest w stanie dłużej zapewnić swym członkom dóbr niezbędnych do zaspokojenia zwykłych potrzeb życiowych [1]). Podobne przeludnienie zdarza się przy niesprzyjających warunkach u kolebki życia gospodarczego, u plemion, bezbronnie wystawionych na los żywiołów. Czyż może być jednak mowa o przeludnieniu nowoczesnych krajów? Nie przeoczając niebezpieczeństwa niesłabnącego i ustawicznego mnożenia się rodu ludzkiego, możemy śmiało twierdzić, żeśmy jeszcze daleko od kresu sił produkcyjnych. Przeciwnie, faktyczna produkcya pozostaje znacznie w tyle po za zdobytą już możnością wytwarzania. W 1873 r. np. jednym z najpomyślniejszych dla handlu co najmniej $^1/_{10}$ sił wytwórczych przędzalnictwa leżała odłogiem; wytwórczość ziemi przy zastosowaniu wszelkich zdobyczy nauki i najracyonalniejszego systemu gospodarki przeszłaby najśmielsze oczekiwanie. „Gdybyśmy mogli tyle zbywać, ile jesteśmy w stanie wytwarzać, nie znalibyśmy aui nędzy robotniczej, ani bezrobocia, ani kwestyi robotniczej" (prof. Neurath) [2]). Społeczeństwa Zachodu nie napełnia obawa, by nie wytworzono za mało, lecz przeciwnie—za dużo dóbr. W zagadnieniu bezrobocia absolutnego idzie nie o przyrodzoną granicę wytwarzania, nie o przeludnienie, lecz o paraliżowanie i niewyzyskanie sił produkcyi. Gdy siły te są o każdym czasie spełna wyzyskane, gdy spożycie mas ludności wzrasta w miarę nowych zdobyczy, wtedy pomimo rozpętania owych sił niema miejsca na absolutne bezrobocie. Dopóty nie wolno nam mówić o przeludnieniu, „dopóki każde pole i każdy zagon nie wyda najlepszego plonu, dopóki już żaden bór, żadna naga wyżyna, nieprzebyta puszcza,

---

1) M. Schippel. *Das moderne Elend und die moderne Uebervölkerung str. 223.*

2) *Schriften des Vereins für Socialpolitik*, Über Kartelle. T. 61. str. 191.

żadne bagno ani trzęsawisko nie da się przeobrazić w płodem brzemienne pola i łąki[1])".

* * *

Powyższe dociekania nasuwają następujące wnioski:

1-o, bezrobocie przedstawia — przynajmniej w części — stałe zjawisko gospodarki spółczesnej;

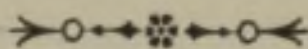
2-o, mniemanie, jakoby bezrobocie dosięgało ustawicznie niezwykłych rozmiarów, jest przesadą; przeciwnie, rozciągłość i natężenie bezrobocia zmienia się odpowiednio do roku, pory roku, miejsca, zawodu;

3-o, jeśli mylnem jest mniemanie, jakoby bezrobocie było ustawicznie niezwykle wielkie, to pozostaje niezachwiany fakt, iż bezrobocie względne dosięga nadzwyczajnych rozmiarów rok w rok z nastąpieniem zimy;

4-o, bezrobocie występuje na wsi, jako względne, w miastach zaś, jako względne i absolutne; zatem bezrobocie absolutne jest specyficznym przejawem miast i wogóle ośrodków przemysłu.

Co do istnienia pewnego stałego bezrobocia, spotykamy prawie zupełną zgodność zdań. Jedynie zaznaczają, że 1-o takie zajścia, jak wymówienie roboty, zmiana miejsca zamieszkania, zawodu i t. d. muszą ustawicznie utrzymywać przerwy w stosunkach roboczych, 2-o że pewna liczba robotników bez zajęcia jest konieczna, by przy wszelkich koniunkturach rynku módz dotrzymać kroku zmiennym warunkom zbytu gospodarki spółczesnej, zatem i popytu na siły robocze. Tłómaczenie to jednak służy wprost za potwierdzenie wyrażonego wyżej zdania, że pewna przewyżka czyli, innemi słowy, pewne bezrobocie absolutne, zarówno jak sezonowe, stały się organiczną częścią gospodarki nowoczesnej. Gospodarka atoli tworzy nie sam cel, lecz jedynie środek do celów społeczeństwa. To też w uznaniu tej prawdy przystąpiono w ostatnich latach gorliwie do zażegnania bezrobocia oraz łagodzenia jego następstw za pomocą licznych środków, jak organizacya pośredniczenia w pracy, ubezpieczenie przeciw bezrobociu, roboty posiłkowe i t. p.

Seweryn Kutner.



[1]) L. Gall, „Was könnte helfen“? str. VI.

Rozbiory i Sprawozdania.

E. Vigié-Lecocq. La poésie contemporaine (1884—1896). — Paris—(Éd. Mercure de France).

Dziełko pod powyższym tytułem jest próbą zrozumienia prądów dzisiejszych w poezyi francuskiej; dodać jednak należy, że komentarz ten układa przyjaciel i wielbiciel tej poezyi; jest to z jednej strony niebezpieczne pod względem bezstronności autora, z drugiej wszakże zapewnia nas, że mamy tu do czynienia z wtajemniczonym. Z tego powodu książeczka może być użyteczną; autor jej zresztą sam zaznacza, że przedsiębierze pracę skromną, że będzie mówił o dzisiejszej poezyi „z niewielką nauką, a wielką miłością".

We wstępie przedstawia rozwój liryzmu w XIX w. i wykazuje, że stadyum dzisiejsze jest koniecznym i naturalnym kresem ewolucyi. Liryzm jest, podług niego, najdoskonalszą formą poezyi, gdyż w nim się mieści swobodny poryw do ideału.

Nie możemy tu powtarzać niezbyt głębokich uwag p. Vigié-Lecocqa o klasykach i romantykach. Romantycy — mówi — nadali poezyi barwność; parnas—plastykę, symboliści—duszę, osobistość.

Osobistość i liryka — oto treść poezyi dzisiejszej. Bliżej się zatrzymuje autor na dwu inicyatorach nowoczesnej poezyi: Stefanie Mallarmé i Pawle Verlaine'ie. Obaj oni są sugestyjni, jeden przez symbolikę, drugi przez impresyonizm.

Dzisiaj jest wielka rozmaitość indywidualności — i to właśnie

bogactwo stanowi źródło stropienia śród czytelników. Rodenbach—smutny i subtelny, La Cardonnel—ascetyczny, Verhaeren — mistyk i realista, Moréas i La Tailhède — naśladowcy Ronsarda, Vielé-Griffin—lotny, radosny, kwietniowy, pełen ogrodów; H. de Regnier—stężony, marmurowy, spokojny w swej melancholii; Retté i Maeterlinck— śpiewacy litości, Kahn — najdalej idący wśród symbolistów, Stuart Merill—melodysta elegijny, Albert Samain—i wielu, wielu innych—-oto są osobistości nowe. Jedni szukają wrażeń i namiętności, nie zrywając z tradycyą ani chrześcijaństwem—-wyznają pewien panteizm. Inni pogrążają wzrok w nieskończoności, mają dreszcz niepoznawalnego, odgadują tajemniczą analogię wszechrzeczy. Co do formy, to i tu wprowadzają wiersz swobodny, rymy proste lub asonanse. Rasowo przytem dzielą się oni na południowców, latynów i północnych półgermanów; zresztą motywy czerpią z całego świata; pozostając Francuzami, tworzą oni poezyę, która jednak przestaje być narodową i staje się nadnarodową. Dlatego historya, otoczenie społeczne i inne pierwiastki znikają im z oczu, i widzą tylko ich uogólnienie, raczej streszczenie, kondensacyę w jednostce.

Bliższe szczegóły o głównych odłamach poezyi daje autor później; tymczasowo zaś rozważa zjawiska pojedyńcze; nie tworzy jednak grup, nie maluje osobistości, lecz obiera inną metodę. Nagromadziwszy mnóstwo przykładów z najmilszych sobie poetów, uczy nas, jak poezya dzisiejsza rozumie najwyższe uogólnienia bytu: naturę, miłość, świat mistyczny, altruizm (zmysł społeczny). Cztery te nomenklatury stanowią tytuł czterech rozdziałów dziełka. Nie zatrzymuje się jednak na tem p. Lecoq i podaje nadto swoje rozumienie dekadentyzmu i symbolizmu; nakoniec w rozdziałach Technika i Język bada formę nowoczesnej poezyi. W ten sposób książka daje obszerny a całkowity pogląd na dzisiejszą poezyę. Jest to jednakże niezadawalające, gdyż ostatecznie uwaga się rozsypuje, i przykłady chybiają o tyle, że dobór ich odbiera samej poezyi właściwą fizyonomię, a wreszcie uwypuklenie znika.

Istotną cechą nowej poezyi jest unikanie jaskrawych obrazów, a natomiast poszukiwanie odcieni.

W naturze zatem szukają oni odcieni. Niektórzy kochają naturę, jakby Rousseau, który przeszedł przez Shelleya i przez cały intelektualizm naszego wieku. Czy my żyjemy w naturze, czy natura w nas, oto główne pytanie. Rozważać naturę, to rozważać siebie. Miłość, śmierć, mistyka, nawet społeczność mieszczą się w naturze, jako w podścielisku.

A. E. Harold ślicznie przedstawia naturę:

Ona spoczywa, lecz jutro w godzinie,
Gdy się otworzą szczęśliwe kwiaty...
Ona się zbudzi—jako światło i harmonia,
Ona mię weźmie za rękę,
Ona — Dryada, Czarodziejka,
Ona — Sylfida, Święta,
Ona uśmiechać się będzie świętym uśmiechem—
I poprowadzi mię przez cudne ścieżki—
A ja, zapomniawszy burz i żałoby,
Z nią razem zbierać będę
Promienne kwiaty i trofea chwalebne.

Dla romantyków krajobraz był dekoracyą i teatrem wzruszeń dla parnasu był poprostu widowiskiem; dla symbolistów krajobraz ma wartość sam przez się, niezależnie od idei, które ukrywa. Natura zaś ta nie jest to ani poszczególny Wschód, ani Grecya, ani Prowancya, ani Skandynawia: jest to: „Kraina dalsza od starożytnej Atlantydy”. Niepodobna tu cytować pięknych urywków z Rodenbacha, Verhaerena, Regniera, Griffina, Samaina, którymi autor rożdział ten przyozdobił. Świadczą one o jednym fakcie: o tem mianowicie, że poczucie natury, które ludzkość zazwyczaj zdobywa w okresie dojrzałości kultury, ale później je zatraca, że poczucie to za naszych czasów nie ginie, nie znika, lecz się nieustannie rozwija.

Miłość była zawsze najulubieńszą stroną lutni poetów- *Jardin de l'Infante* belgijskiego poety Alberta Samaina zawiera w sobie największą ilość motywów dzisiejszej miłości poetyckiej. Mamy tu dreszcze, tęsknoty, uśmiechy, radości, pocałunki, rozczarowania, rozpacze, szały, namiętności, ironie, samobójstwa... Kobieta jest upiorem.

Biada temu, co przechodzi koło mnie w tej chwili—
Przyzywam go, jak umierającego, który pragnie napoju,
I on przychodzi. Biada mu, biada memu kochankowi,
Ja kocham niezwalczenie, kocham niemiłosiernie!

Vielé-Griffin dał obraz miłości w swych *Joies*, o których na tem miejscu pisałem w r. 1895. Są to prześliczne co do dźwięku i uczucia pieśni, świeże, pełne tchnienia natury. Drugi jego miłosny poemat zowie się *Yeldis*, fantazya Wagnerowska, w której pięciu młodzieńców ściga dziewicę, walcząc o jej serce. „*Człowiek i Syrena*” H. de Regniera zestawia mężczyznę — mózg i kobietę—zmysły i maluje starcie ich i cierpienia obojga; kobieta — to natura, a człowiek nie ujdzie natury.

Mistycyzm. Romantycy mieli chwiejną religijność, parnas był negatywny, owszem buntowniczy (Leconte de Lisle), nowi poeci są religijni, ale nie jest to ani idea religijna, ani uczucie religijne: jest to poprostu sensacya religijna, i ta sensacya wyraża się w nastroju mistycznym. Jest to właściwie pomieszanie miłości Boga i miłości człowieka i pewne poufałe obcowanie z bóstwem; jest to wreszcie protest przeciw suchym, pozytywnym tendencyom wieku, o którym Verlaine mówi:

Siècle d'âpreté juive et d'ennuis protestants.

Katolicyzm, tradycyjna religia Francuzów, symboliczny, imponujący ceremoniałem, artystyczny, rozśpiewany, trybularzami woniejący, porwał ich na nowo. Cała księga Verlaine'a *Sagesse* to jeden szereg hymnów pobożnych, zlewających się zresztą z zupełnie zmysłowem traktowaniem bóstwa. Istotnie Verlaine tak kocha Matkę Boską, jakby to była żywa kobieta.

Razem z tem duch miłosierdzia budzi się w poecie.

Allez, rien n'est meilleur à l'âme
Que de faire une âme moins triste!

Jak u Verlaine'a się łączą boskość i zmysłowość, tak u innych poetów miłość i śmierć (Griffin); tajemnica ich nęci (Regnier), czarują ciemne krużganki klasztorów (Verhaeren), dobro społeczne przekształca Jezusa w agitatora śród maluczkich (Retté). Louis le Cardonnel został księdzem; ale był to ksiądz z góry zbuntowany; chciał połączyć wszystkie religie w jedną, zwołać kongres wszystkich religii i ostatecznie na nowo zrzucił sutannę, wciąż jednak pełny tęsknot mistycznych; jego wiersze przypominają tryptyki średniowieczne.

Altruizm nowożytnej poezyi odzywa się w bardzo wielu utworach, ale głównym jego przedstawicielem jest Adolf Retté oraz Piotr Quillard.

A. Retté wydał dwa poematy: *Similitudes* i *Forêt bruissante*, w których maluje swoją utopię społeczną. Pasterz czarny, człowiek społeczny, nędzarz, przebija się przez bór szumiący, aż w końcu zwycięża. Allegorye zresztą bardzo proste w stylu np. „Romansu Róży". Występuje tam kilka postaci: Jakób — proletaryusz natchniony, Piotr—potępieniec, Magdalena itd.

P. Quillard w poemacie *l'Errante* maluje ludzkość i jej dążenie, do harmonii; ton jego energiczny i skondensowany. Miewa tęgie obrazy A. E. Haroed (La Fête), a Verhaeren, który maluje ogromne wizye siół i miast, ostatnio zawołał:

Lassé des mots, lassé des livres —
Je veux enfin un glaive qui taille!

Jest to jak gdyby: Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!

Pod wyrazem sztuki dekadenckiej rozumie autor sztukę, wyrażającą zjawiska dusz chorych, jaźni, dotkniętych cierpieniem. Ponieważ takich dusz jest dziś niemało, poezya taka ma racyę bytu. Osobistości, wyjątkowo delikatne, subtelnie przeczulone, wyrażają w swoich poezyach odpowiednie uczucia dla dusz pokrewnych i w ten sposób budzą w nich uświadomienie tajemniczych stanów ich serca.

Symbol jest po prostu rozszerzeniem metafory i porównania, najlepiej zaś można wytłomaczyć symbol przez przeciwieństwo do alegoryi. Alegorya nadaje sztucznie pojęciom oderwanym, za pomocą analogii, formę dotykalną; symbol wydobywa treść, istotę rzeczy, natury, duszę, podobną naszej. Alegorya idzie od abstraktu do konkretu i ucieleśnia ideę; symbol chwyta syntetycznie i intuicyjnie ideę i obraz. Alegorya analizuje, symbol — jest syntezą. Symbolizm—to poezya zjednoczenia treści i formy, barwy i dźwięku, ducha i materyi.

Co się tycze języka i techniki, są to rzeczy zbyt specyalnie francuskie, i nie będziemy ich tu rozważać. Zaznaczę tylko modny dziś t. zw. *vers libre*, który zresztą u nas dawno był znany (np. w Improwizacyi Konrada), wiersz nierówny, o rytmice zmiennej, o zmiennej ilości sylab, o rymach niewidocznych, a czasami mający wszystkie pozory prozy.

Książka p. Vigié Lecocqa daje tylko przybliżone i niezupełne pojęcie o dzisiejszym ruchu poetyckim, który wskutek swej nadmiernej bujności z trudem da się ogarnąć. Jest ona jednakże bardzo ciekawa i pożyteczna: autor posiada smak dobry i umie wybierać przykłady; to też wyłowił on najpiękniejsze urywki z ksiąg swoich przyjaciół, tłómaczy je, wyjaśnia, komentuje i wskazuje, na czem polega ich piękność i znaczenie. Czytelnicy, uprzedzeni przeciwko nowej poezyi, zobaczą, że dyabeł nie taki czarny, jak go malują, i że symboliści nie są tacy niezrozumiali, jakby się zdawało. Może nawet jest to słaba strona książki: udostępnia ona to co było *piscis non omnium*. Autor — zdaje się — mało posiada zmysłu filozoficznego; jest to natura łagodna, eklektyczna, skłonna do zacierania ostrych i wydatnych krawędzi — i dla tego, jak sądzę, w książce Vigié-Lecocqa nie jedno zostało przemilczane.

A. L.

Wł. Semkowicz. „Nagana i oczyszczenie szlachectwa w Polsce XIV i XV wieku“.

Z pośród dość licznego szeregu prac, poświęconych bądź to historyi rycerstwa, bądź to heraldyce, jakie się w literaturze naszej z ostatniego dziesiątka lat pojawiły, zwraca uwagę badacza zarówno pełnością, jak i gruntownością opracowania studyum Semkowicza, naganie i oczyszczeniu szlachectwa poświęcone. Autor w treściwym wstępie zaznacza, że instytucya nagany i oczyszczenia szlachectwa nie doczekała się dotąd naukowego opracowania, jakkolwiek materyał, tego przedmiotu dotyczący, jest bardzo obfity. Dotykali tej naukowej kwestyi uczeni badacze prawa polskiego i jego dziejów, a nawet prof. Ulanowski zapowiedział tego rodzaju pracę; z tem wszystkiem zapowiedź nie została urzeczywistnioną, a naganę i oczyszczenie szlachectwa znaliśmy jedynie z ogólnikowych wzmianek i określeń.

Zdaniem autora, zarzut nieszlachectwa nazywano w wiekach średnich najczęściej naganą lub przyganą szlachectwa (vituperatio, vilipensio i t. d. W różnych częściach Polski używaną jest jedna z tych nazw lub obie równocześnie. Mniej częste nazwy na oznaczenie zarzutu nieszlachectwa są: natrzeć, ohańbić, zdać, ożałować. Najczęstszą nazwą łacińską na oznaczenie czynności, mającej na celu zmazanie plamy nagany jest: expurgatio, co oddaje wyraz polski oczyszczenie. Jest to wynikiem faktu tak dawnego, jak ludzkość, że niezgoda i kłótnia rodzą się zwykle w sąsiedztwie. Nieraz naganiający w gniewie i bez dostatecznej podstawy zarzucał nieszlachectwo, przeto po ochłonięciu odwoływał niebaczne słowa, zwłaszcza, że groziła mu kara, skoro naganiony się oczyści. Zdarzało się jednak, że nagany dokonywano z całą świadomością.

Najczęściej chwytano się nagany, jako środka proceduralnego, aby w ostateczności poprzeć lub uchronić od upadku spór i sprawę sądową. Zarzucając np. świadkowi nieszlachectwo, przewlekało się sprawę aż do czasu, aż się ów świadek oczyści. Drugim powodem zarzutu nieszlachectwa było uniknięcie kary szlachectwa. Chodziło tu mianowicie o główszczyznę i nawiązkę, które dla osób stanu szlacheckiego były wyższe, aniżeli dla członków innych warstw społecznych. Skazany w tym wypadku zarzucał nieszlachectwo nieżyjącemu już szlachcicowi. Główszczyzny dochodziła wdowa w imieniu nieletnich dzieci, i na niej ciąży obowiązek oczyszczenia męża z zarzutu nieszlachectwa. Wreszcie, jeśli był kto niezadowolony z wyroku sędziego, zarzucał mu nieszlachectwo, a nawet krewne, chcąc wdowę od udziału w spuściznie wykluczyć, uciekały się do powyższego zarzutu.

Poczucie wartości klejnotu szlacheckiego sięgało tak daleko, że najmniejsze uchybienie czci uważano już za naganę szlachectwa. Wystarczało, gdy szlachcic mienił się w czemkolwiek lepszym od drugiego: już tem samem mu naganiał; podobnie obrażał dworzanin cześć szlachecką danego dworzanina, mówiąc, iż służy u lepszego, niż on, pana. Najzwyklejszym sposobem nagany był wprost zarzut nieszlachectwa. Samo gołosłowne powiedzenie: ty nie jesteś szlachcicem lub rycerzem, ty nie posiadasz szlacheckiego lub rycerskiego prawa, było już plamą na klejnocie. Jeśli szlachcicowi zarzucano, że pochodzi z ojca nieszlachcica, a matkę jego uważano za szlachciankę, musiał się on oczyścić tylko świadkami z klejnotu ojczystego. Zresztą mogła nagana dotyczeć wszystkich czterech klejnotów, t. j. po ojcu, matce i obu babkach. Pośrednio naganiano szlachcicowi, twierdząc, że jest włodyką lub chłopem, że jest nieślubnego pochodzenia lub że zajmuje się zawodami, właściwymi włościanom lub mieszczanom. Naganą dla każdego szlachcica było odmówienie prawa do jakiejkolwiek prerogatywy, posądzenie go o kłamstwo, tchórzostwo, kradzież lub fałszowanie monety. Wreszcie znieważenie kobiety szlachcianki pociągało za sobą naruszenie jej czci szlacheckiej.

Nagana spływała na dzieci naganionego. Jeśli naganiony się oczyścił, zmywał tem samem zarzut ze swych dzieci, gdy jednak, nie oczyściwszy się, zmarł, dzieci jego, nie chcąc uchodzić za nieszlachciców, musiały się oczyścić. Skoro naganiony dzieci nie zostawił, spadał obowiązek oczyszczenia na jego braci rodzonych, na których nagana również spływała. Kobieta zachowywała pierwotny klejnot nawet po zamążpójściu. Mężatka, naganiona w szlachectwie, oczyszczała się świadkami ze swego rodu. Nagana nie była osobistą ze względu na przedmiot i nie miała osobistych skutków ze względu na podmiot. Dotknięty zarzutem nieszlachectwa tracił mir rycerski w oczach wszystkich, i każdy mógł, powołując się na naganę, uważać go za nie szlachcica.

Do roku 1423, t. j. do wydania statutu wartskiego, kmieć mógł naganić szlachcicowi, który z tego zarzutu musiał się oczyścić. Po tym roku szlachcic, naganiony przez chłopa, nie oczyszcza się wcale ale wprost żąda kary za przekroczenie postanowień statutu. Nie dotyczył ten zwyczaj mieszczan, którzy mogli bezpośrednio dokonywać nagany szlacheckiej jak przed, tak po roku 1423. Oczyszczenie szlachectwa należało w całej Polsce, z wyjątkiem Rusi, do właściwości wszystkich sądów, a więc ziemskich, grodzkich, nadwornych i wiecowych. Stosunek między nimi był taki, że najczęściej

dokonywano wywodu szlachectwa na sądach grodzkich, najrzadziej na sądach nadwornych, Prócz tego odbywało się nieraz oczyszczenie na sądzie komisarskim. Jeśli w terminie oznaczonym sąd się nie zebrał, mógł naganiony prosić króla, aby mu wyznaczył sędziów w celu oczyszczenia szlachectwa. Czasem król sam był obecnym przy akcie wywodu. Na Rusi oczyszczenie w zasadzie należało do sądu ziemskiego, i nie spotykamy ani jednego wypadku, iżby go dokonano na sądzie wiecowym.

Przewód sądowy przy oczyszczeniu szlachectwa, jakkolwiek prowadzony był według zasad zwykłego procesu, miał jednak pewne cechy odrębne, i te autor z całą dokładnością przedstawił. Nagana mogła spotkać szlachcica w sądzie lub po za sądem. W pierwszym wypadku sąd zazwyczaj odrazu wyznaczał rok w celu oczyszczenia się z zarzutu. Jeśli jednak nagana nastąpiła poza sądem, inicyatywa rozpoczęcia procesu musiała wyjść od naganionego, którego obowiązkiem było pozwać przed sąd osobę, uchybiającą jego czci szlacheckiej. Sędziowie, uznawszy potrzebę oczyszczenia szlachectwa, zapytywali naganionego o jego herb. Zdarzało się czasem, że naganiony nie umiał na to odpowiedzieć, zazwyczaj jednak naganiony wymieniał świadków klejnotników, których po przyjęciu przez sąd i stronę zapisywano do księgi wraz z rotą, którą sędzia lub podsędek dla nich układali z podaniem sądu i czasu, w którym oczyszczenia dokonać należało. Czas, jaki wyznaczano stronom dla dokonania oczyszczenia, najczęściej wynosił 18 tygodni, choć czasami przedłużano go do roku i 6 tygodni. Wypadki odwołania, czyli odmówienia nagany były stosunkowo rzadkie, i zwykle szlachcic nie odwoływał publicznie tego, co już raz powiedział. Odmówienie musiało być dokonane osobiście, i rzadko naganiający przysyłał na sąd prokuratora, który w jego imieniu odwoływał.

Jeśli świadkowie złożyli przysięgę, odbieraną według ogólnych zasad procesowych, i w ten sposób szlachectwo naganionego potwierdzili, wówczas naganiającemu groziła kara za niesłuszne obwinienie. Aby ją przynajmniej odwlec, zarzucał on niekiedy samym świadkom, jednemu albo wszystkim, nieszlachectwo. Drugim sposobem oczyszczenia szlachectwa było przedłużenie dokumentu szlacheckiego, zwanego listem oczyszczenia. Czynność ta w języku sądowym nazywała się list pokładać lub listem się podpierać. List oczyszczający musiał posiadać zwykłe cechy dokumentu dowodowego, a więc być nienaruszonym i opatrzonym pieczęcią osoby, która go wydała. Narówni wreszcie z dowodem z dokumentów stoi dowód przez świadectwa sądowe.

Są wskazówki, przemawiające za tem, że pierwotną karą było wyrwanie języka, ale wcześnie wszelkie kary cielesne zamieniono na pieniężne. Owa kara pieniężna, zwana pokupem lub karą wielką, wynosiła zazwyczaj trzy grzywny. Jeżeli kto jednak naganę odwołał, to w zasadzie nie powinien był płacić swej kary. Jeśli naganiony upadł w dowodzie i nie zdołał się oczyścić z zarzutu nieszlachectwa, skazywano go na karę, którą w przeciwnym wypadku zapłaciłby jego przeciwnik.

Pan Semkowicz w studyum swem na podstawie bogatych źródeł archiwalnych przedstawił w wyczerpujący sposób historyczny rozwój instytucyi nagany i oczyszczenia szlachectwa, uwzględniając przytem dzielnicowe różnice między Wielkopolską a Małopolską. Ścisłość i logiczność argumentacyi a gruntowność źródłowych badań nadają wysoką wartość jego rozprawie, zapewniając jej zaszczytne miejsce w literaturze naszej historyczno-prawnej.

A. R.

Kazimierz Rojan. „Lepsze czasy“, powieść odznaczona na konkursie „Kuryera Codziennego“. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1899.

Bohaterem niniejszej powieści, (drukowanej w roku zeszłym w odcinku „Kuryera Codziennego"), jest młody chłopiec, Janek Stawczyński, który kończy właśnie kursa medyczne, czekając z upragnieniem chwili otrzymania dyplomu. Nie tak to łatwo jednak w tych warunkach, w jakich autor stawia swego bohatera. Dla przystąpienia do ostatniego egzaminu, tak zw. rigorosum (rzecz dzieje się w Galicyi) potrzebne są pieniądze, by opłacić taksę, a państwo Stawczyńscy — to rodzina rozbitków, których gorączka nafciana wyrzuciła na bruk miejski.

Ma o czem myśleć biedny Janek: fundusik, jaki pozostał z rozbicia, starczy na nadzwyczaj skromne utrzymanie licznej rodziny, chciałby więc jak najprędzej mieć pacyentów i zarabiać, ale skąd wziąć pieniędzy na rigorosum? ma o czem myśleć, gdyż w domu prócz matki jest siostra, która pracuje w biurze kolejowem i od dwu lat czeka z utęsknieniem na podwyżkę dla siebie oraz dla swego narzeczonego Marka, nawiasem mówiąc, wielkiego niedołęgi; jest dwoje starych dziadków, egoistów i nudziarzy, jak wogóle ludzie w starszym wieku, no i wreszcie dwoje młodszego drobiazgu.

Na dobitkę złego biedak zakochał się w Kazi Korczakównie, sierocie, córce również wykolejonego obywatela-nafciarza. Ta za-

rabia nieźle lekcyami, nic od nikogo nie potrzebuje, ale o małżeństwie myśleć w takich warunkach niepodobna.

Kłopoty pieniężne i sercowe, a także ich kombinacye stanowią główny wątek powieści. Janek przyrzekł Kazi, że na pewien oznaczony termin będzie doktorem — zdać więc musi! Na pierwsze rigorosum z pomocą zaliczek, lombardu i wszelkich innych abnegacyi znalazły się z trudem pieniądze, ale skąd wziąć na drugie?

Opatrzność i autor nie pozostawiają sympatycznego bohatera w tej krytycznej chwili i zsyłają mu ducha opiekuńczego w postaci dawnego kolegi Janka, barona Psztyka, birbanta i szulera, ale podobno z dobrem sercem; pożycza on Jankowi na dzień przed oznaczonym terminem niezbędną sumę i daje mu możność spełnienia danej Kazi obietnicy.

Janek więc ku ogólnej radości całej rodziny od dziadka aż do najmłodszej latorośli zostaje doktorem — i czeka na pacyentów z prawdziwie stoicką cierpliwością. Kwestya sercowo-finansowa, rzecz prosta, nie zostaje tem rozwiązaną. Kazia nawet powiedziała kiedyś młodemu doktorowi, że się już nigdy nie zobaczą, pomimo, iż całem sercem jest mu oddaną; a rodzina Janka stara się niemiłosiernie wybić mu z głowy romantyczne mrzonki wobec smutnej rzeczywistości. iż wszyscy ci nieszczęśliwi ludzie czekają na chleb z jego ręki.

Tu jednak nie koniec utrapień młodego adepta nauk medycznych. Czuwając nocami przy chorej, nabawia się tyfusu, życie jego wisi na włosku. Poczciwa Kazia wraz z matką pielęgnują go w chorobie. A że cnota musi być nagrodzoną (w powieści), Kazię więc spotyka niespodziewane szczęście. Opatrzność i autor poraz drugi zsyłają nieszczęśliwym ducha opiekuńczego, tym razem w osobie p. Ferdynanda Naharka, jednego z eks-wspólników przedsiębiorstwa naftowego, w którem „przewiercili” majątek ś. p. Korczak i ś. p. Stawczyński. Prawdziwy to *deus ex machina* ten p. Naharek, którego istnienia dotychczas nie przeczuwaliśmy nawet zupełnie!

Dość, że zjawia się on u Kazi i opowiada jej o pewnych malwersacyach przy „wierceniu”, których ofiarą padł jej ojciec, o należnem córce odszkodowaniu i t. d., w rezultacie ofiarowuje jej 120,000 złr. wzamian za zupełne zrzeczenie się pretensyi do p. Naharka i jego wspólników. Ot i węzeł rozcięty!

Resztę wiemy. Rzecz oczywista, że teraz Janek musi wyzdrowieć, że stracona przez rodziców majętność zostaje odkupioną przez dzieci — no i: *crescite et multiplicamini!* Jak w bajce: I ja tam byłem...

Bodaj się tacy Naharkowie na kamieniu rodzili!

Co do charakterów, to te nakreślone są dość sylwetkowo. Nie mówiąc już o postaciach drugorzędnych, które zaledwie się zaznaczają, nawet bohaterowie niniejszej opowieści, Janek i Kazia, nie uwypuklają się dostatecznie: wiemy od początku, iż oboje są dobrzy, poczciwi, obowiązkowi, z charakterem względnie niepodległym, gotowi poświęcić swe własne szczęście dla dobra innych, ale do tej charakterystyki aż do końca autor nic nie dodaje nowego.

Charakter Janka urozmaicony tem, iż obok tego wszystkiego jest on marzycielem trochę, utalentowanym muzykiem, wielbicielem Bacha i t. p. Wszystkie zaś inne postacie, nawet odgrywające pewną rolę w przebiegu akcyi, w rodzaju rodziny Stawczyńskich, arcypraktycznych Waciulskich, cierpliwego narzeczonego Marka, barona Psztyka, to poprostu cienie chińskie.

W obrazku p. Rojana jest tylko dużo ciepła, przez co „Lepsze czasy" czyta się z zaciekawieniem i serdecznem współczuciem dla bohaterów, którzy są dość zacni i dość nieszczęśliwi, aby obudzić sympatyę czytelnika.

Styl p. Rojana gładki i poprawny, płynie w żywych dyalogach. Kilka tylko znaleźliśmy niedokładności: po przeczeniu np. stawia się 2-gi, nie 4-ty przypadek, również niezupełnie po polsku brzmi zdanie: „bardzo łatwo być może"; wreszcie czas przeszły od posłać (tryb dokonany od pościełać) będzie w 3-ciej osobie posłał, a nigdy pościelił.

Zwracamy wreszcie uwagę autora (czy może zecera), że w Galicyi ruble nie mają obiegu, nie może więc ktoś mieć 600 rs. rocznego dochodu. *H. G.*

Mikołaj Rej z Nagłowic", życiorys skreśliła *A. M.* Warszawa. skład główny w księgarni J. Centnerszwera. 1897.

Popularne życiorysy dla młodzieży czy dla ludu są bezsprzecznie rzeczą nader pożądaną i pożyteczną, — ale pod tym warunkiem, by do roboty tej brali się ludzie, pobieżnie chociaż obeznani z przedmiotem, o którym zamierzają pisać.

Nie można tego powiedzieć o wyżej wymienionej książce Autorce jej nie brakło zapewne na dobrych chęciach, ale znajomości rzeczowej, niestety, posiadała zbyt mało. Bo też napisać charakterystykę jakiegoś pisarza z epoki klasycyzmu i reformacyi czy nawet późniejszej nie jest rzeczą tak łatwą, jak skreślić sylwetkę współczesnego nam autora. Epoka ta — tak od nas odległa, ludzie

tak niepodobni do naszych, ich pojęcia, dążności, ideały, język wreszcie tak odmienny, iż nie dosyć jest przejrzeć pobieżnie jeden lub dwa utwory, by skreślić udatny wizerunek.

Zobaczmy, co daje nam autorka niniejszego życiorysu. Przedewszystkiem biografię według Trzecieskiego (innych materyałów nie zna), mocno niedokładną. Urodził się np. autor „Zwierciadła" nie w 1507, lecz w 1505 roku; a potem autorka nie zadała sobie trudu, by życiorys Trzecieskiego przeczytać uważnie—inaczej nie pisałaby, że gdy miał lat 18, „chciał go ojciec oddać do szkoły i kupił mu czerwonej kitajki na nowy żupanik" (str. 5). Nie do szkoły bowiem oddawano go wtedy, bo w szkole już był, wprawdzie „nic się nie nauczywszy" ani w Skalmierzu, ani we Lwowie, ani w Krakowie w bursie Jeruzalem, — lecz „na służbę" t. j. na dwór możnego pana; a dalej, skąd pani A M. wie, że ta historyczna kitajka była czerwona? Trzecieski przez dziwną niedbałość przeoczył ten ważny szczegół.

Pani A. M. wogóle wie więcej, niż wszyscy biografowie Reja. Wie np. że na dwór Tęczyńskiego jechał „z wielką radością" (str. 6), że „w pierwszych dniach pobytu w Tęczynie" już go „żal ogarnął", że, gdy kto zagadał do niego po łacinie, „on tylko oczy spuszczał i milczał" (str. 7)—ba! wie nawet, iż w Tęczynie odbywały się wyścigi konne; szkoda tylko, iż nie dodała, czy istniała już wtedy instytucya totalizatora.

Po tym życiorysie idzie wyszczególnienie dzieł, a raczej jednego tylko dzieła „Żywotu człowieka poczciwego", który autorka bierze za jedno ze „Zwierciadłem". Innych utworów Reja pani A. M. nie zna lub znać nie chce.

Zresztą mniejsza o to: „Żywot" jest wszak najbardziej charakterystycznem dziełem ojca naszej literatury narodowej. Byleby treść i charakterystyka utworu podana była umiejętnie i sumiennie.

Treść przytoczona jest dość pobieżnie, ale za to podane są wyjątki, lecz w takim stanie, że sam Rej by ich nie poznał, tak są poprzekręcane jego własne słowa przez niedbałość autorki czy też może przez fałszywą chęć modernizacyi języka.

Rozumiemy intencyę autorki uprzystępnienia urywków, ale nie możemy się zgodzić na taką trawestacyę szanowanego przez nas wszystkich pisarza — czyż nie lepiej byłoby przytaczać go w oryginale, archaizmy zaś objaśniać w odsyłaczach? lub wreszcie nie cytować, lecz tylko streszczać? W streszczeniu chodzi tylko o myśl, nie o wyrazy, słowa zaś, ujęte w cudzysłów, są rzeczą

nietykalną, czy będą one Reja czy Baki, Mickiewicza czy Rozbickiego.

Nie uszły nawet cało wierszowane urywki, przytoczone przez niefortunną popularyzatorkę. Oto np. wyjątek z „Przemowy krótkiej do poćciwego Polaka stanu rycerskiego": w wydaniu Ambrożego Grabowskiego (Kraków, 1848) brzmi on, jak następuje:

Bom ja też prosty Polak nigdziey nie jeżdżając,
Tam się pasł na dziedzinie, iako lecie zając;

zaś u naszej autorki:

Bom ja też prosty *człowiek*, nigdzie nie jeżdżając
Tum się pasł na *dziedzińcu*, jako *w lesie* zając.

W zakończeniu swej książeczki pani A. M. podaje znaną anegdotkę o hołdzie, jak stary Rej złożył wschodzącej gwiaździe Kochanowskiego słynnym swym dwuwierszem:

Temu w nauce dank przed sobą dawam
I pieśń bogini słowiańskiej oddawam.

Dla wiadomości jednak autorki dodamy, iż cały ten epizod, jak tego dowiódł prof. Brückner i inni, jest zmyślonym.

Oto wszystko, co się możemy o Reju z książeczki p. A. M dowiedzieć; nie radzilibyśmy jednak nikomu korzystać z tych wiadomości. —*g*.—

E. v. Philipovich „Polityka gospodarcza" (Volkswirthschaftspolitik) Fryburg, 1899.

Liczne nader monografie z zakresu polityki agrarnej, handlowej, oraz prace, zajmujące się badaniem stosunków robotniczych, przedstawieniem walki między pracą a kapitałem i udziału, jaki w niej władzy państwowej przypada, nagromadziły zwolna bogaty nader materyał, który teraz poraz pierwszy został zdolną ręką ujęty w jasną i przejrzystą całość. Kiedy ekonomiści niemieccy, posługując się metodą, pozostałą nam w spuściznie po ekonomii klasycznej, traktują politykę gospodarczą nie jako odrębną gałęź wiedzy, lecz tylko jako praktyczną część ekonomii politycznej, żąda Philipovich dla niej nietylko odrębnego stanowiska w nauce, ale nadto daleko szersze od wszystkich swych poprzedników nakreśla jej granice. Pojęcie, iż pod miano polityki gospodarczej podpada tylko gospodarcza działalność państwa i ciał ustawodawczych, które

spotykamy jeszcze u Buchenbergera, Conrada, Kohna, odrzuca Philipowich, jako zbyt ciasne i zbyt w treść ubogie wobec bogatego urozmaicenia stosunków gospodarczych w każdem nowożytnem państwie. Związki producentów, przywołane do życia polityką państwową, wspierane ze skarbu państwa i ściśle przepisami państwowymi określone, nie większą przecież odgrywają rolę w życiu gospodarczem od fachowych związków robotniczych, które, powstawszy z prywatnej inicyatywy, częstokroć całą swą historyę wypełniają walką z władzą państwową. Premie wywozowe, opusty od podatków, ulgi, przy których pomocy państwo stara się pewne gałęzie przemysłu ochronić i wzmocnić wobec konkurencyi zagranicznej, nigdy może nie mają tak wielkiego znaczenia gospodarczego, jak np. kartele i „trusty", broniące interesów wielkiego kapitału. I dlatego też między czynnikami polityki gospodarczej, tuż obok państwa i ciał ustawodawczych, wymienia Philipowich— i w tem jego ogromna zasługa — pojedyńczych wytwórców i ich związki, stowarzyszenia, nie zapominając wszakże nigdy o poważnej roli, jaka tutaj państwu przypada w udziale, zarówno ze względu na autorytet prawny, jaki mają jego rozporządzenia, jak i na zasób pieniężnych i fizycznych środków, którymi przeprowadzenie ich poprzeć jest w stanie.

Wprowadzenie to do nauki gospodarczej nowego czynnika umożebniło nietylko Philipovichowi przedstawienie zjawisk gospodarczych lat ostatnich w całej ich rozmaitości, ale dopomogło mu też do wyświetlenia sprzecznej częstokroć gry interesów prywatnych, siły, z jaką na siebie wzajemnie działają, i związku ich z prawnym i politycznym ustrojem państwa. Zrywając z dotychczasowym szablonowym podziałem polityki gospodarczej na agrarną, przemysłową i handlową, rozpatruje on czynności gospodarcze wyłącznie ze względu na znaczenie ich dla organizacyi społecznej, wytwórczości i podziału bogactw. Pierwsza to dotychczas próba zastąpienia czysto zewnętrznego podziału, podjętego według pewnych, łatwo w oczy bijących znamion, czysto rzeczowem, z treścią, nie z formą liczącem się ugrupowaniem, przy którem jednolity charakter organizmu społecznego o wiele jaśniej i dobitniej się zarysowuje. Pytania bowiem, tyczące się stosunków robotnicznych, opieki, jaką wytwórcza działalność jednostek od państwa domagać się ma prawo, znaczenia związków i stowarzyszeń zarówno przy badaniu stosunków agrarnych, jak i przemysłowo-handlowych wyłącznie tylko ze względu na najwyższą wydatność pracy i najkorzystniejszy społecznie podział rozstrzygnięte być mogą. Zaznaczenie też tego punktu

widzenia już z góry przez samo ugrupowanie materyału uważać należy za ogromną zdobycz metodologiczną, która zapewnie stałym już pozostanie nabytkiem na polu badań ekonomicznych.

Helena Landau.

„Poradnik dla samouków“ Część II. „Nauki filologiczne“. „Nauki historyczne. Pod redakcyą Piotra Chmielowskiego, Ludwika Krzywickiego i Adama Mahrburga przy współudziale grona specyalistów. Wydawnictwo Aleksandra Heflicha i Stanisława Michalskiego. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem im. dra Józefa Mianowskiego. Warszawa 1899.

Niezwykłe powodzenie I części „Poradnika”, zawierającej nauki matematyczne i przyrodnicze, pouczyło, jak tego rodzaju wydawnictwo jest niezbędnem w naszem społeczeństwie. Wykształcenie szkolne może dać zaledwie podstawy, niezbędne do dalszego samorozwoju; wykłady zaś uniwersyteckie obejmują jedną jakąś specyalną gałąź wiedzy, o inne nie troszcząc się zgoła. Żądza wiedzy jednak i upodobania umysłowe dziwnym nieraz ulegają fantazyom: czyż nie znamy prawników, interesujących się sprawami biologii, medyków, studyujących z zapałem socyologię, przyrodników, dla których kwestye historyczne nie są zupełnie obce?

A zresztą, każdy wykształcony człowiek, nie poprzestając na tym szczupłym zakresie wiedzy, jaki mu wskazał dowolny wybór lub ślepy los, pragnąłby zdobyć choć podstawy jaknajogólniejsze i w innych dziedzinach, nie chcąc uchodzić w nich za kompletnego ignoranta. Cóż taki samouk ma robić? dokąd się zwrócić o wskazówkę, radę, źródła? Gdzieindziej nieocenione pod tym względem usługi oddają uniwersytety ludowe, systematyczne wykłady popularne itd.; u nas, gdzie te rzeczy albo wcale nie istnieją, albo też są w stanie zarodkowym, nie odpowiadając bynajmniej swemu przeznaczeniu, dobry i taki „Poradnik”.

Pożyteczność i zalety „Poradnika dla samouków” są aż nadto oczywiste, aby się nad niemi rozwodzić. Samo wyszczególnienie odnośnych do każdego działu źródeł w pewnym systematycznym porządku wraz z krytycznemi uwagami może okazać się wielce pomocniczem przy studyowaniu tej lub innej gałęzi wiedzy. A prócz tego „Poradnik” zawiera wskazówki teoretyczne i praktyczne, szereg tematów, których wykonanie może utrwalić w pamięci samouka pewien krąg luźnych wiadomości i wyrobić w nim poglądy ogólne, wstęp do każdego działu itd.

Komitet wydawniczy wywiązał się ze swego zadania jak najsumienniej, powołując do współpracownictwa najlepszych naszych specyalistów w każdym zakresie nauki, którym śmiało czytelnik może dowierzać; jeżeli więc są tu jakie braki, to wynikły one w większej części z trudności technicznych, jakie połączone są z tego rodzaju przedsięwzięciem.

Współpracownicy „Poradnika" nie stanowią jakiegoś ciała naukowego o ścisłej jedności poglądów i zapatrywań; nie mieli więc możności bliższego porozumienia się co do metody, rozmiarów i drobiazgowości informacyi, kwestyi spornych itp. Stąd pochodzi pewna dająca się zauważyć niejednolitość w ogólnym planie i wykonaniu: jednym przedmiotem poświęcono względnie niewiele miejsca, inne traktowane są nader obszernie. Ten brak jednolitości daje się szczególniej zauważyć we „wstępach", gdzie każdy ze specyalistów wypowiada swe *credo* naukowe, a że *quot homines, tot mentes*, niechaj to nas nie dziwi, iż, co jeden uważa za rzecz wątpliwą, inny ma za pewnik, co jeden poleca gorąco, o tem inny wyrazi się z lekceważeniem. Lecz mniejsza o to: podstawową część „Poradnika" stanowią informacye i wskazówki — a te wykonane są jak najlepiej.

Przystąpmy po tych kilku uwagach, które nam nasunęła lektura „Poradnika", do szczegółowego sprawozdania z jego treści

Omawiana tu przez nas drugą część „Poradnika" rozpada się na dwa wielkie działy: nauki filologiczne i nauki historyczne.

Na pierwszem miejscu wśród nauk filologicznych widzimy językoznawstwo ogólne, opracowane przez J. Karłowicza; dalej język polski, w którego zakresie udziela szczegółowych informacyi A. A. Kryński.

Następuje „nauka literatury", do której wstęp pisze P. Chmielowski, stylistyka w opracowaniu Stan. Mieczyńskiego, poetyka — Br. Chlebowskiego (część ogólna) i Ign. Chrzanowskiego (część informacyjna), wreszcie krytyka przez Chmielowskiego; Mieczyński między innemi (str. 56—57) wylicza kilkunastu naszych wybitnych stylistów od Reja do Świętochowskiego — szereg ten możnaby w dziesięćkroć powiększyć: ze współczesnych np. wymieniono tylko Świętochowskiego.

Języki nowożytne opracowali: K. Appel (francuski). W. Osterloff (niemiecki) i H. Benni (angielski), podając metodę i krytykując odnośne podręczniki.

Dział nauk filologicznych zamyka filologia klasyczna. Na tem miejscu M. Rowiński pisze gorącą apologię klasycyzmu przeciw „realizmowi i wszelkim „mizologom" (tj. nieprzyjaciołom filologii):

wykazuje znaczenie klasycyzmu w historyi, literaturze, pedagogii i wogóle w każdej nauce, walczy przeciw rozpowszechnionemu wśród naszego ogółu mniemaniu o bezużyteczności i jałowin klasycyzmu itd.

Do działu nauk historycznych pisze wstęp L. Krzywicki. Poszczególni zaś badacze roztaczają przed nami całe bogactwo wiedzy historycznej w różnych jej gałęziach: T. Korzon i Sz. Askenazy w zakresie historyi powszechnej nader szczegółowo, Wł. Smoleński—w historyi polskiej, Edward Grabowski—w historyi literatury powszechnej, P. Chmielowski przy współudziale Br. Chlebowskiego w historyi literatury polskiej, przyczem Chmielowski nader umiejętnie dzieli autorów naszych na kilka coraz obszerniejszych kręgów, z którymi kolejno zapoznawać się trzeba. Rozumową bibliografię historyi sztuki podaje Ign. Matuszewski, historyi rozwoju społecznego (kultury) — L. Krzywicki, wreszcie historyi nauki i historyi filozofii Ad. Mahrburg.

Taką jest zawartość II części „Poradnika". Widzimy więc, że treść to obszerna, a nazwiska współpracowników ręczą za wiarogodność informacyi.

Życzyćby należało i społeczeństwu i komitetowi wydawniczemu, by i ta II część „Poradnika" znalazła takież same gorące przyjęcie, jak i pierwsza, tembardziej, iż zachęca do tego niebywale nizka cena (80 kop. za olbrzymi tom o 700 stronicach), za co wdzięczni jesteśmy Kasie Mianowskiego, która poparciem swem uprzystępniła to niezwykle pożyteczne dzieło szerszemu ogółowi.

Oczekujemy z niecierpliwością III części „Poradnika", która ma zawierać nauki społeczne i filozoficzne; komitet redakcyjny zapowiada ją jeszcze na koniec bieżącego roku—przyjmujemy i przyjmiemy ze szczerą wdzięcznością.

H .G.

= *A. Brückner*. Spuścizna rękopiśmienna po Wacławie Potockim. Część druga, Kraków, 1899 (Odb. z t. XXIX Rozpraw Akad. Um.). Ta druga część pracy największego znawcy literatury staropolskiej zawiera w sobie szczegółowy rozbiór dzieł Potockiego p. t. „Ogród niewyplewiony" i „Moralia", na które składają się facecye, przypowieści, przepyszne obrazki rodzajowe, i t. p., rzucające bardzo ciekawe światło nie tylko na talent i indywidualność autora, lecz i na historyę obyczajów polskich w XVII wieku. Przy końcu monografii podaje prof. Brückner jedrną charakterystykę Po-

tockiego, jako człowieka i pisarza. Jak wszystkie wogóle publikacye prof. Brücknera, tak i ta jest nadzwyczajnie ważnym przyczynkiem do historyi naszej literatury, jako zawierająca w sobie rzeczy zupełnie albo prawie zupełnie dotychczas nieznane.

= *A. Karbowiak.* „Szkoła katedralna krakowska w wiekach średnich". Kraków, 1899. Autor oddawna już pracuje nad historyą oświaty w Polsce; w roku zeszłym ogłosił pierwszą część swej monografii „Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich (966 — 1363)", z której „Ateneum" zdawało w swoim czasie szczegółową sprawę. Rzecz o szkole katedralnej jest bardzo sumiennem studyum o szkole krakowskiej przy kościele Panny Maryi, jej historyą mianowicie od roku 1000 aż do 1510. Umiejętność korzystania ze źródeł, naukowe posługiwanie się metodą porównawczą, systematyczność są głównemi zaletami tej pracy.

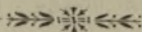
= Wydawnictwo Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu z funduszu Norberta Bredkrajcza. „Nieznane zabytki piśmiennictwa polskiego". Do „Biblioteki pisarzów polskich", wydawanej przez Akademię Umiejętności w Krakowie, oraz do „Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich", wydawanej przez prof. T. Wierzbowskiego, przybywa obecnie biblioteka trzecia pod wyżej zaznaczonym tytułem. Jej zeszyt I (Poznań, 1899) zawiera w sobie „Kazania niedzielne i świąteczne nieznanego autora, spisane około roku 1555", w opracowaniu zasłużonego badacza języka i piśmiennictwa staropolskiego *d-ra Bolesława Erzepkiego* Wydawca znalazł kazania w rękopisie, będącym własnością biblioteki śmigielskiego dekanatu (w kościele parafialnym we wsi Białczu pod Kościanem). Autor tych kazań jest nam nieznany, nie ulega jednak wątpliwości, że był prawowiernym katolikiem; dwukrotnie występuje przeciw różnowierstwu, zbijając naukę Kalwina o przeznaczeniu i piorunując na sekciarstwo, biada nad rozluźnieniem karności wśród wyższego duchowieństwa polskiego. Główną osnowę kazań stanowi pierwiastek moralno-dydaktyczny; ich treść nie odznacza się ani różnorodnością, ani bogactwem rysów kulturalnych, ich forma nie znamionuje wybitnego krasomówcy, ale prostota wyrażenia oraz poprawny, czysty, czasami nawet piękny język (tu i owdzie zabarwiony prowincyonalizmami wielkopolskimi) najzupełniej usprawiedliwia ich wydanie w „Nieznanych zabytkach": stanowią one jeden dowód więcej, że już przed Rejem i Orzechowskim umiano pięknie pisać po

polsku; wobec tego dla historyi wyrabiania się języka literackiego w wieku XVI te kazania anonima stanowią wcale cenny przyczynek, i za ich ogłoszenie należy się prawdziwa wdzięczność uczonemu badaczowi.

= „Rok czytania" książeczka układu *J. Chrząszczewskiej* i *J. Warnkówny*, część wstępna (Warszawa, nakład i własność Mauryceego Orgelbranda, 1899). Jest to rodzaj wypisów dla dzieci i młodzieży; zawiera powiastki, opowiadania historyczne i życiorysy, opisy natury, pogadanki naukowe i moralne oraz wierszyki. Całość ułożona nader systematycznie i rozumowo: cały materyał rozłożony według miesięcy roku szkolnego, od września do czerwca. Przyjmujemy z wdzięcznością tę ofiarę do skarbony tak nielicznej u nas literatury pedagogicznej.

= *Józef Dunin-Karwicki*. „Ze starego autoramentu". Typy i obrazki wołyńskie. (Serya druga). Warszawa, 1900. Z biegiem lat zupełnie przeistacza się nie tylko zewnętrzna postać, lecz i wewnętrzna treść pewnych codziennie spotykanych typów. Pan Józef Dunin Karwicki w swych obrazkach nakreślił szereg typów wołyńskich z przed lat 40—50, to jest z czasów swego dzieciństwa i młodości. Typów takich dziś już niema, lub istnieją, lecz niemal zupełnie przeistoczone. „Barwniej i dokładniej", mówi autor, „opisuje się to, na co się własnemi patrzało oczyma i co się „sercem odczuwało". To „odczuwanie sercem" nadaje tym prostym opowiadaniom ton ciepły i sympatyczny. Całość składa się na dość dokładną charakterystykę życia obywatelstwa wołyńskiego z przed laty 40-tu, nacechowanego wielką lekkomyślnością, ochotą do zabawy, bezradnością wobec chytrego wyzysku, lecz nie pozbawionego stron jasnych (Wielka pani Polska) lub malowniczych dzielnych postaci (Gajowy).

= *Józef Kallenbach*. „Dziady" Mickiewicza w oświetleniu p. Maryi Konopnickiej. Kraków, 1899 (str. 26). Jestto replika na artykuł znakomitej poetki, wydrukowany w „Bibliotece Warszawskiej" (1898) p. t. „O I-ej i II-ej części Mickiewiczowskich „Dziadów" słów kilka". Prof. Kallenbach zbija dowodzenie p. Konopnickiej punkt po punkcie i jasno wykonuje, że jej wywody nie wytrzymują krytyki.



Bibliografia.

= **Biblioteka Warszawska** w ostatnich dwu zeszytach drukuje: „Chopin i Fontana" F. Hoesicka, Sz. Askenazego „Przymierze polsko-pruskie", K. Kaszewskiego „Gimnazyum", Marcina Okszy „Modernizm w Niemczech i Stanisław Przybyszewski".

= Sierpniowy zeszyt **Przewodnika Naukowego i Literackiego** zawiera artykuły: Fr. Rawity-Gawrońskiego „Adam Mickiewicz na Wschodzie (1855)", „Korespondencyę J. B. Zaleskiego", podaną przez Dyonizego Zaleskiego. ks. Jana Sygańskiego „Nowy Sącz w epoce Wazów".

= Pomiędzy artykułami, ogłoszonymi w **Przeglądzie Powszechnym** (sierpień — wrzesień), zwracają uwagę studya: prof. Ant. Mazanowskiego „Młoda Polska w powieści i poezyi", ks. Józefa Sasa. „Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III".

= W sierpniowym zeszycie **Przeglądu Polskiego** czytamy ciekawe studyum prof. A. Brücknera p. t „Taniec Rzeczypospolitej polskiej", rzecz o nieznanym utworze poetyckim z XVII w., Gabryela Krasińskiego, kasztelana płockiego, jednego z przodków Zygmunta († 1674); w tymże zeszycie p. Witold Rubczyński drukuje studyum „Z najnowszej naszej literatury filozoficznej".

= **Wisła** w zeszycie II — V tomu XIII podaje prócz drobniejszych przyczynków następujące prace większych rozmiarów: Seweryna Udzieli „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego na prawym brzegu Wisły", J. Radziukinasa „Dusia", H. Saloniego „Lud wiejski w okolicy Przeworska", St. Rożnieckiego „Duńskie po-

dania ludowe o Polakach“ w przekładzie Jana Zakrzewskiego“, „Opowiadanie ludowe z okolic Chodcza w pow. Włocławskim“ przez Helenę Sarnowską, „Kronikę geograficzną za rok 1898“, przez Wacława Nałkowskiego.

= Miesięcznik **Życie** w numerze z dnia 15 sierpnia (№ 15—16), drukuje między innemi: „Sen twórczy“ (wiersz) St. Wyrzykowskiego, „Klątwę“ tragoedyę (!) Stan. Wyspiańskiego, „Święty Boże! Święty Mocny...“ (wiersz) J. Kasprowicza.

= Dodatki tygodniowe do **Gazety Polskiej** z ostatnich dwu miesięcy zawierają: „Wędrowki Childe-Harolda“ Byrona, „Na dnie otchłani“ powieść współczesną A. K. Smacznińskiego, oraz „Bezkrólewie“, powieść historyczną Maryi Łopuszańskiej, (tom I—IV).

= **Biblioteka dzieł wyborowych**, tom 101, zawiera pracę Romana Zawilińskiego „Słowacy, ich życie i literatura“.

= **Teatr Amatorski**, wydawany przez Gebethnera i Wolffa w ostatnich książeczkach daje do użytku miłośników sztuki dramatycznej: „Posażną jedynaczkę“ J. Aleksandra hr. Fredry (№ 55); tegoż „Consilium facultatis“ (№ 56), oraz „Kto to?“ drobnostkę sceniczną w jednej odsłonie E. Lubowskiego.

= Ozdobnego wydawnictwa **Album sztuki polskiej** w opracowaniu Henryka Piątkowskiego ukazały się zeszyt III i IV, zawierający rezrodukcye dzieł sztuki naszej z Wystawy retrospektywnej w Warszawie z r. 1898.

= Wykwintnem również wydawnictwem będzie **Monografia ilustrowana kościołów rzymsko-katolickich w Królestwie Polskiem;** dotąd wyszedł zeszyt pierwszy tego dzieła (fol., str. 16), zalecający się wytwornością szaty zewnętrznej.

= W osobnej odbitce wydał p. Leonard Lepszy monografię swą, drukowaną w r. b. w „Przeglądzie Powszechnym“ p. t. **Lud wesołków w dawnej Polsce**, cenny przyczynek do historyi sztuki dramatycznej w dawnej Polsce.

= **Bystroń J.** Ortographie und Sprache der polnischen Gesetzbücher des XV Jahrhunderts (nadbitka z Bulletin de l'Academie des sciences), Kraków, 1899.

= **Koskowski Bol.** Gmina wiejska, zarys samorządu gminnego w Królestwie Polskiem.

= **Lutosławski W.** Ueber die Grundvoraussetzungen und Consequenzen der individualistichen Weltauschauung, Helsingfors, 1899.

= **Niemojewski Stanisław.** Pamiętnik, 1606 — 1608, wydał Aleksander Hirschberg (wydawnictwo Zakładu nar. im. Ossolińskich, II), Lwów, 1899.

= **Książka zbiorowa** pamięci Józefa Korzeniowskiego, Brody, 1899.

= **Piekosiński Fr.** Studya, rozprawy i materyały z dziedziny historyi polskiej i prawa polskiego, tom III (nadbitka z VI tomu sprawozdań Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce), Kraków, 1899.

= **Ciszewski Stan.** Bajka o Midasowych uszach, studyum z literatury ludowej (odbitka z XXVIII tomu Rozpraw wydziału filologicznego Akademii Umiejętności).

= **Hlasko S.** Poezye, Warszawa, 1900.

= **Nowiński J.** Biała Gołąbka, poemat dramatyczny w 5-ciu aktach. Warszawa, 1899.

= **Nitowski J.** Poezye, Lwów, 1899.

= **Król K. i Nitowski J.** Podręcznik do nauki literatury polskiej, Warszawa, 1899.

= **Bohowityn.** Nasi dekadenci, powieść ze schyłku XIX wieku. Kraków, 1899, Tom I—II.

= **Sieroszewski Wacław (Sirko).** Risztau, powieść z ilustracyami Ant. Kamieńskiego, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Niemojewski Andrzej.** Listy człowieka szalonego, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Merczyng Henryk.** Dumania przyrodnika, Petersburg, 1900.

= **Moor Tomasz.** Epikurejczyk, powieść poetyczna, tłómaczona z angielskiego przez Karola Forstera, wydanie drugie poprawione, Warszawa, 1899.

= **Lockyer Norman I.** Pierwsze początki astronomii, Warszawa, 1899.

= **Thomé O. W.** Zasady botaniki, podług 23 wydania dzieła „Księga przyrody“ d-ra Fryderyka Schoedlera, opracował i dopełnił M. Heilpern, z 281 rysunkami w tekście, Warszawa, 1899.

= **Kadlčak J. M.** Z haličských potulek, dojmy a wspominki z cest, Brno, 1899, knihovna našeho lidu, ročnik III, čislo 3, 1899.

= **Amicis de Edmund.** Serce, pamiętnik chłopca, książka dla młodzieży, wydanie drugie, Warszawa, 1900.

= **Zaborowski A.** Światy zaginione, przełożył J. K. Potocki, Warszawa — Kraków, 1899.

= **Sonnenberg E. N.** Tajemnica lekarska, jako nakaz stanowy, przepis prawny i postępowanie etyczne, odczyt miany w Towarzystwie Lekarskiem Łódzkiem w dniu 5 kwietnia 1899 r. (odbitka z „Czasopisma Lekarskiego“ №№ 5, 6, 7, 8), Łódź, 1899).

= **Reymont Wł.** Lili, żałosna idylla, z ilustracyami T. Jaroszyńskiego. Warszawa—Kraków, 1899.

= **Dugas L.** Nieśmiałość, studyum psychologiczno-etyczne, przełożył z francuskiego Edward Stojowski, wydawnictwo Przeglądu Filozoficznego, Warszawa, 1900.

= **M. Dzierżanowska — C. Niewiadomska — J. Warnkówna.** Ćwiczenia do nauki języka i gramatyki polskiej podług najnowszych źródeł ułożone.

= **Wiedza i życie.** Tom I i III: **Robert de la Sizeranne.** Ruskin i kult piękna, tom I—II, przełożył z francuskiego Antoni Potocki; tom II: prof. dr. **Józef Nusbaum** Z zagadnień biologii i filozofii przyrody; tom IV: **Angelo Mosso**, Fizyczne wychowanie młodzieży, tłómaczył Stanisław Brzozowski; tom V: **Oswald Külpe** — O zadaniach i kierunkach filozofii, tłómaczyli z upoważnieniem autora członkowie „Kółka filozoficznego“ pod redakcyą prof. d-ra Kazimierza Twardowskiego, tom I, Lwów—Warszawa, 1899.

= **Dragomirow A. generał.** Joanna d'Arc (Dziewica Orleańska), z upoważnienia autora przetłómaczył S. Stawczański, Kijów, 1900.

= **Program** ces. król. Szkoły politechnicznej we Lwowie na rok naukowy 1899—1900, XXVIII, Lwów, 1899.

= **Kozłowski Wł. M.** Filozofia Schillera i wiersz „Artyści“, Łódź, 1899.

= **Augustynowicz Jan.** Ksiądz Prot, historya ludzka, powieść, odznaczona zaszczytnem odznaczeniem na konkursie literackim „Głosu“, Warszawa, 1900.

= **Maeterlinck Maurycy.** Księżniczka Malena, przekład Kazimierza Sterlinga, Warszawa, 1900.

= **De Flavigny comtesse.** Saint-Hyacinthe et ses compagnons, XIII-e siècle, Paryż, 1899.

= **Cuny George.** Beiträge zur Kunde der Baudenkmäler in Westpreussen, (Mitteilungen des Copernicus-Verein für Wissenschaft und Kunst zu Torn, XII Heft), Toruń, 1899.

= **Arctowski Henryk.** Materyały do bibliografii prac naukowych polskich, Warszawa, 1897.

= **Balzer Oswald.** Historya ustroju Austryi w zarysie, Lwów, 1899.

= **Dunajewski Julian.** Mowy w sejmie krajowym i w Radzie państwa, Kraków, 1899

= **Górski Ludwik.** Ochronki wiejskie, Warszawa, 1899.

= **Jezlenicki M.** Celniejsze utwory łacińskie Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego ze wstępem i objaśnieniami, część II, Lwów, 1899.

= **Kasprowicz Jan.** Bunt Napierskiego, poemat dramatyczny, Lwów, 1899.

= **Kraushar Aleksander.** Bonneau, ostatni konsul generalny Rzeczypospolitej francuskiej za Stanisława-Augusta, 1759—1805, Kraków, 1900.

= **Lewicki Anatol.** Unia florencka w Polsce (odbitka XXXVIII tomu Rozpraw Wydziału histor.-filoz. Akademii umiej.), Kraków, 1899.

= **Lutosławski Wincenty.** Źródła pesymizmu, Krakow, 1899.

= **Łuszczkiewicz Władysław.** Najstarszy Kraków na podstawie badania dawnej topografiii, Kraków, 1899.

= **Pazdanowski T.** Pieśni polskie protestanckie w XVI w. (Sprawozdanie c. k. gimnazyum w Jaśle za r. n. 1899).

= **Leciejewski J.** Pierwiastki starożytne w pieśniach ludowych słowiańskich. (Sprawozdanie dyrektora c. k. IV gimnazyum we Lwowie za r. n. 1899)

= **Maślak Włodzimierz.** Charakterystyka ód Naruszewicza i ich znaczenie we współczesnej literaturze (Sprawozdanie c. k I gimnazyum w Przemyślu za rok szkolny 1899).

= **Świętochowski Aleksander.** Pisma, tom V i VI, Utwory dramatyczne, Kraków—Warszawa, 1899.

= **Tretiak Józef.** Puszkin i Rosya, Kraków, 1899.

= **Wróblewski Kazimierz.** Bronisław Trentowski, 1807 — 1869, Lwów — Warszawa, 1899.

= **Zakrzewski Wincenty.** Historya powszechna na klasy wyższe szkół średnich: Tom I — Historya starożytna, Tom III — Historya nowożytna, Kraków 1899.

= **Caro J.** Dzieje Polski, tom V, Warszawa, 1899.

= **Pepłowski St.** Z papierów po Fredrze, Kraków, 1899.

= **Życiorysy sławnych Polaków:**

№ 11. **Stanisław Konarski** przez H. Wernica.

№ 12. **Jan Kochanowski** przez Wł. Nehringa.

№ 13. **Jędrzej Śniadecki** przez L. Świeżawskiego.

№ 14. **Michał Czajkowski. Sadyk-pasza** przez Fr. Rawitę-Gawrońskiego.

№ 15. **Józef Bohhan Zaleski** przez M. Mazanowskiego.

№ 16. **Stanisław Moniuszko** przez B. Wilczyńskiego, Petersburg, 1900.

= **Carus P.** Buddhism and its christian critics, London, 1899.

= **Heinrich W.** Die moderne physiologische Psychologie in Deutschland (2 Ausg.), Zürich, 1899.

= **Hertz F. O.** Die agrarischen Fragen im Verhältniss zum Socialismus, Wien, 1899.

= **Masaryk Th. G.** Die philosophischen und sociologischen Grundlagen des Marxismus, Wien, 1899.

= **Roscher W.** System der Volkswirtschaft, 3 Bd. (7 Aufl.). Stuttgart, 1899.

= **Voigt M.** Römische Rechtsgeschichte, Stuttgart, 1899.

= **Handbuch.** der klas. Altertums-Wissenschaft. hrsg. von I. von Müller 8 Bd. Geschichte der röm Litt.: Die augustische Zeit (2 Aufl), München, 1899.

= **Jahrbuch** der deutschen Shakespeare-Gesellschaft, 35 Jahrg., Berlin, 1899.

= **Moore E.** Studies in Dante. London, 1899.

= **Spingarn J. E.** A history of literary criticism in the Renaissance, New-York, 1899.

= **Wiener L.** The history of Yiddisch literature in the nineteenth Century, London, 1899.

= **Aveling E.** Die Darwinsche Teorie (4 Aufl.), Stuttgart, 1899.

= **Leben E.** Histoire abrégée de l'astronomie, Paris, 1899.

= **Friedjung H.** Der Kampf um die Vorherrschaft in Deutschland 1859 bis 1866, 2 Bd. (3 Aufl), Stuttgart, 1899.

= **Simond Ch.** La vie parisienne au XIX-e siècle, Paris, 1899.

= **Ulmann H.** Russisch-preussische Politik unter Alexander I und Friedrich-Wilhelm III bis 1806, Leipzig, 1899.

= **Wittichen P.** Die polnische Politik Preussens 1788—90, Göttingen. 1899.

= **Bode W.** Rembrandt. Geschichte seines Lebens und seiner Kunst. 3 Bd. Paris, 1899.



Z żałobnej karty.

† Józef Majer

urodzony w roku 1808 w Krakowie, zmarł tamże 3 lipca r. b. Dziecię ludu krakowskiego, w rodzinnem swem mieście kończył nauki szkolne i studya uniwersyteckie, tam też uzyskał stopień doktora medycyny. Od 1831 r. nauczyciel farmokologii przy uniwersytecie jagiellońskim, potem zastępca profesora, wreszcie od 1850 roku profesora, wreszcie od 1850 roku przez lat 27 zajmował katedrę fizyologii. Dwa razy był rektorem w trudnych nader dla uniwersytetu okolicznościach. Od 1848 r. przez lat 4 piastował godność prezesa Towarzystwa naukowego krakowskiego, a od chwili założenia Akademii umiejętności, powołany do przewodniczenia tej instytucyi, przez lat 18 sprawował trudne te obowiązki. Dopiero w 1891 r. 80-letni starzec, żegnany powszechnym żalem, usunął się ze swego stanowiska. Celniejsze dzieła ś. p. Majera — to „Fizyologia układu nerwowego" (1834), „Fizyologia zmysłów" (1837), „Zwrócenie uwagi na związek między ciałkami zwojowemi a włóknami nerwowemi" (1850), wreszcie owoc benedyktyńskiej pracy „Literatura fizyografii ziemi polskiej" (1862).

† Feliks Rybarski

nauczyciel języków starożytnych gimnazyum w Kielcach, zakończył życie tamże w dniu 29 sierpnia r. b. w 55 roku życia. Zmarły, były wychowaniec wydziału historyczno-filologicznego b. Szkoły Głównej, oddawał się z zapałem poszukiwaniom archiwalnym, których rezultatem było kilka cennych przyczynków do biografii ludzi zasłużonych w naszej historyi i literaturze. Studya swoje zamieszczał przeważnie w „Ateneum", między innemi: „Nowe dokumenta odnoszące się do Jana Chryzostoma Paska" (Ateneum, 1878, III), „Dokumenty odnoszące się do Mikołaja Reja z Nagłowic i jego rodziny" (Ateneum, 1880, III), „Przyczynek do życiorysu Wespazyana Kochawskiego i jego rodziny" (Ateneum, 1897, IV).

---

† Henryk Elsenberg

zdolny publicysta, współwłaściciel „Opiekuna domowego", potem zamienionego na „Tygodnik Powszechny", współpracownik „Przeglądu Tygodniowego", „Niwy" (dawnej), „Gazety Handlowej", jeden z założycieli „Dziennika Łódzkiego", pierwszego pisma polskiego w Łodzi, tłómacz Monteskiusza, zmarł w pierwszych dniach września r. b. w Nauheim; w kołach palestry łódzkiej, której zmarły był jednym z dzielniejszych pracowników, śmierć jego budzi ogólny żal.





Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna*.
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*